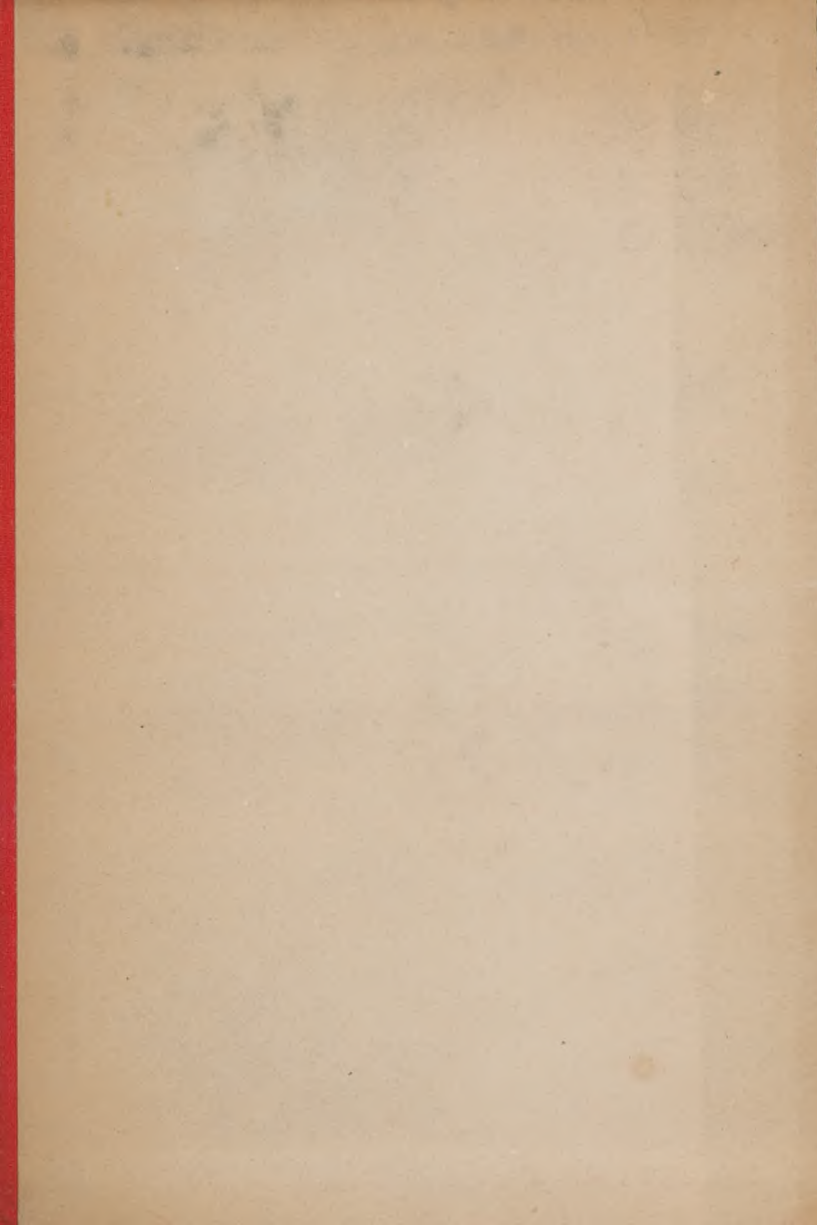
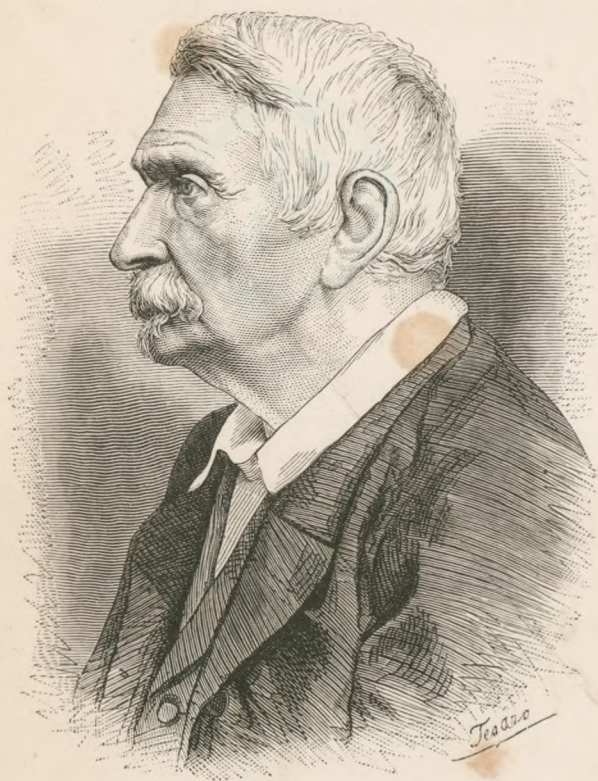




WŁASNOŚĆ J. HULEWICZA

1149



Afron

WŁASNOŚĆ J. HULEWICZA

KOMEDYE

ALEXANDRA HRABIEGO FREDRY.

*Kochanek
swa Raczka
na parafie*

T O M I.

PAN GELDHAB.
DAMY I HUZARY.

CUDZOZIEMCZYŻNA.
ZRZĘDNOŚĆ I PRZEKORA.

Łódź, 28/XI. 922

WYDANIE CZWARTE.

Z PORTRETEM AUTORA.

WARSZAWA.

NAKŁADEM GEBETHNERA I WOLFFA.

1871.



277231

ALEXANDER FREDRO.

Zmiana czasów, ludzi i ich wyobrażeń, zazwyczaj wiele przynosi uszczerbku twórcom dramatycznym, a szczególnie komedyom; te bowiem, będąc odbiciem swojej chwili, prędzej później starzeją się. Uwaga ta dosięga wszakże tylko płodów pośledniczej wartości, a bynajmniej nie stosuje się do tych wyborowych kreacyi, którym lata nie szkodzą; bo chociaż w nich spotykamy liczne archaizmy wyobrażeń, obyczajów, charakterów, to mimo tego głębokie prawdy serca ludzkiego, zdrowa filozofia życia, stanowiąca główną wartość takich utworów, nie starzeją się nigdy, jak się nie starzeje Arystofanes, Plaut, Moliere.

Uwagę tę możnaby już, choć w części, zastosować do komedyi Alexandra Fredry. Od lat czterdziestu utrzymują się na naszej scenie i zawsze są z upodobaniem widziane, chociaż przedewszystkiēm malują okres, który dla nas przeminął, okres Księstwa Warszawskiego. Koloryt, rysy charakterysty-

czne, obyczaje, wszystko to wydaje się jak odległe przypomnienie, a nie jak otaczająca nas rzeczywistość. Szata znoszona, wewnątrz tylko człowieka to samo; tajemnice natury naszej, najdelikatniejsze poruszenia namiętności, schwycone na uczynku i odmalowane z całą prawdą życia: oto niestarzejący się przymiot dramatycznych utworów Fredry. Drugi przymiot, stanowiący jego oryginalność, tkwi w umiejętności tworzenia postaci i charakterów skupiających wszystkie rozpierzchnione rysy swojego czasu. Doskonałość tych kreacyi szczególnież w tém się objawia, że żyją, że je każdy zna lub pamięta, jakby osoby widziane w towarzystwie.

Taki Geldhab, Radost, Cześnik, Rejent, Jowialski, Łatka, wszystko to dobrzy znajomi, którzy weszli i skryształizowali się niejako w wyobraźni narodu, gdy nowsi nasi pisarze komedyi pochlubić się nie mogą, aby ich kreacye używały tego przywileju. Być może, że towarzystwo dzisiejsze nie wyradza tak osobliwych oryginałów, aby z całą charakterystyką zewnętrzną mogli pokazać się na scenie; ależ właśnie na tém sztuka, żeby ich stworzyć w danych warunkach,—a na to właśnie nie zdobyli się nowsi pisarze dramatów i komedyi. Ludzie ich są to pół-charaktery, ułamkowe typy, z bardzo niedostrzeżonemi odmianami, jak stado szarych wróbli. Napróżno pamięć męczę, napróżno pytam wrażeń odniesionych z dzisiejszej sceny,—nie i nikt się nie przypomina,—bo nikt nie ży-

je na deskach teatru; a to, co niby mówi, co się rusza,—to wszystko maryonetki; autor za kulisami rozprawia za nich, moralizuje, demonstruje, kierując ku swemu celowi i stosownie do tego pociąga za druty. Skutek to zmienionego procederu; dawniej prawdziwy geniusz dramatyczny tworzył ideały charakterów i napełniał je prawdą życia,—dziś komedyo-pisarz zbiera wzorki, ubiera je w krynoliny, fraki, kontusze, mundury, ale w manekinów tych nie tchnie żywotnego ducha, tylko robi z nich jakby ruszające się i gadające argumenta, mające służyć do dowodzenia pewnych założeń *a priori*. Cóż dziwnego że głębsza prawda życia, prawda natury ludzkiej wyniosła się ze sceny, a jeżeli została, to w bladej kopii? Gdyby nie innego, to już wymowny fakt tworzenia charakterów, tak do zaprzeczenia trudny, dawałby Fredrze nader wysokie stanowisko w literaturze współczesnej; i w rzeczy samej, ma je sobie przyznane, tylko nie w sądach doraźnych naszych historyografów literatury ojczystej, trzymających się ślepo raz wyrzeczonego zdania przez namiętą krytykę, której szło wcale o co innego, jak o bezstronne i trafne ocenienie sztuk Fredry.

Szczególnym też, lubo nie nadzwyczajnym trafem w sferze umysłowego ruchu, zdarzyło się, że chwila największej świetności talentu Fredry, zetknęła się z chwilą powstającego u nas romantyzmu, który fanatyczny jak wszelka nowość, odrazu skazał na po-

tępienie kilka rodzajów poezyi uprawianych przez wstrętny mu klassycyzm.

Byronizm zgrzytający boleściami ludzkości, które brał w opiekę, ale nie leczył, chciał cały świat powlec krepą melancholii, niesmaku i splinu. Jeżeli się śmiał.

„.....to jak za pokutę—“

jeżeli śpiewał:

„.....to na smutną nutę—“

a choć i bez byronizmu nie było czego weselić się w domu, to znowu nie było rozumnej przyczyny tłumić wrodzony humor, który bynajmniej nie przeszkadzał naszym ojcom i w największych niedolach nie tracić dobrej fantazyi, będącej znamięm czerstwego zdrowia ciała i duszy. Dość że ekskommunika w rodzaju Sawonaroli, dotknęła między innymi rodzaj komiczny, a szczególnie samego Fredrę, któremu przeczytała za grzech śmiertelny, że od lat kilkunastu śmieszył publiczność, jakby to było dziełem policyjnego przymusu, a nie czarodziejstwem jego talentu; jakby śmiech odzwierciadlający słabostki i małostki, kaprysy i dziwolągi natury naszej, miał być co gorszego od pocisków zjadliwej ironii miotanej na społeczność, lub łez wyciskanych tak samo za pomocą sztuki, jak śmiech wyciska komika; jakby wreszcie wesołość, ten przymiot nieoceniony przodków, świadczący o ich towarzyskości i miłości do ludzi, a najwięcej o pogodzie wewnętrznej, nie mógł się pomie-

ścić obok ambitnych zgrzytań, zawistnych spójrzeń, tyrańskich negacyi pędzących drogą konsekwentnego rozwoju, dającego w konkluzyi, że życia i walk jego celem, jest zaspokojenie passyi, a nie trzymanie ich na wodzy. Nie też dziwnego, że zasadniczą ideą tej nowej szkoły poetycznej stało się ubóstwienie namiętności człowieka. Między komedjami Fredry, a teoryami tej szkoły, powstała przepaść, szczęściem nie tak bardzo głęboka, ażeby zdrowy instynkt narodu nie zasypał jej gruzami tylu płodów romantycznych i nieromantycznych, dawno wywietrzałych mu z pamięci, bo się z nich zdrowia nie napił..... To pewna, że jeżeli nawet bardzo niepospolity talent nie pędzi za prądami chwili i nie stawia się na kolei czasowych entuzyazmów i admiracyi,—przywała go obojętność lub zapomnienie. Bywają to momenta, w których trzeba wybierać między prawdą a powodzeniem, czyli, tak zwaną, popularnością. „En m'attachant à la vérité, j'ai pris congé du succès“ powiedziała któraś, nie pomnę, wyższa kobieta. Próba ta najczęściej spotyka autorów narażonych na ciężką walkę z miłością własną, drażliwszą u nich, niż u zwyczajnych ludzi. Cześć temu, co nie opuścił pierwszej dla drugiej! Fredro wolał skruszyć pióro — źle się wyraziłem — wolał nie ogłaszać więcej, niż umizgami do mody polecać się względem publiki. Niewłaściwe, przesadnie stronnicze uderzenie nań w Pamiętniku Naukowym krakowskim z r. 1835 w artykule „Nowa

epoka poezyi“ zraziło go tak dalece, że przestał już udzielać się za pośrednictwem sceny; nietylko zapewne ustąpienie to pochodziło z obrażonej miłości własnej autorskiej, ile było następstwem prostego rozumowania: nie chcecie mię, więc po cóż się mam narzucać?

Świat jednak wie, że pióra nie złożył, jak go nie złożył ojciec francuzkiej tragedyi, gdy na krzywdzące zarzuty Skuderego pierwszy manuskrypt Cyda rzucił był w ogień.

Tymczasem komedye Fredry, przedtém dane na scenie, utrzymują się na niej, przeszedłszy na własność stołecznych i prowincjonalnych repertoarów. Publiczność je lubi i czerpie z nich myśl wesołą, zupełnie jak kiedy się jest w towarzystwie przyjemnego, wesołego i dowcipnego człowieka, który zna świat, zna ludzi, umie odkrywać ich strony śmieszne, żartować z nich, nie wymieniając jednak niktogo po nazwisku, ani też wytykając palcem w sposób krzywdzący. Jest to malarz, a nie fotograf; bystry obserwator, a nie satyryk; a nadewszystko talent dramatyczny czystej próby, jakiego przed nim, ani po nim nie było.

Kto chce bezinteresownie oceniać komedye Fredry, nie może ich brać w każdym usposobieniu, ani pod wpływem najsprzecznieszych wrażeń, jakiemi umysł nasz bywa miotany. Twory pióra, jak twory pendzla, ażeby dały się dobrze zrozumieć i osądzić, potrzebu-

ją nie tylko stać we właściwém świetle, ale wymagają pewnego wtajemniczenia się w życie, w namiętność władnącą malarzem, w chwili gdy swój obraz malował.

Jak pojmował Fredro otaczającą go społeczność, tłumacząc same jego komedye. Należąc do epoki organicznej, nie z miejsca nie rusza, i to mu daje zupełną swobodę obserwacyi, to mu pozwala tworzyć własne stawiać na nogi i poruszać niemi na polu akcyi, nienapotykać tych przeszkód i wątpliwości, jakie stawiają sobie bohaterowie dzisiejszych sztuk w obec zagadek socyalnych. Ztąd niema u niego szyderstw z terażniejszości, na karb jakiej niewcielonej idei lub teoryi społecznej; znawca świata, wie on, że biedna ludzkość, zmieniając się i przeobrażając, zmienia tylko krój swoich śmiesznośtek. Skończony dramatyk nie lubi hamować działania, wiedząc że bez niego niema dramatu; dlatego też nie powierza się młodym ideologom, rozprawiającym tak pięknie, lecz za to niemającym ruchu, ani prawdy życia. Tak akcja, jak charaktery, wszystko u niego zupełnie docierające do swego celu, który tak jest rzeczywisty jak i one.

Po wojnach napoleońskich, co poruszyły rzesze z zachodu na wschód, z południa na północ, co zmieniły egzystencją polityczną państw, nastąpiła kilkustoletnia cisza, w ciągu której wszystko zdawało się wchodzić w dawne karby organiczne. Moment

ten nader był przyjazny dla dramatycznego pisarza. Przenosząc uwagę z wielkich scen życia, gdzie się rozstrzygały losy świata, na otaczające go społeczeństwo, przynosił miarę porównania, a nadewszystko tę bezstronność artysty i światowego człowieka, co jeśli upatrzy strony ujemne, umie wynaleść i dodatnie, a wszystko oddać barwami prawdy wystudowanej *con amore*.

Owe wypoczynki po burzach, a zwłaszcza takie, w których panuje pewne zadowolenie z obecnego stanu, bywają nader pomyślne dla dramatu. Ustalone stosunki pod rządami Elżbiety zrodziły szekspirowski dramat; następne domowe rozterki podały go na półtorawieczne zapomnienie. Cała nasza literatura dramatyczna do czasu Fredry, ma tylko imiona, puste tytuły, —od niego stała się rzeczywistością. Pierwszy on umiał nie z książek, lecz żywcem brać rysy ze społeczeństwa; pierwszy umiał obserwować nie po wierzchu, lecz do dna duszy, pierwszy kształtować postacie oryginalne, jakich nam nikt nie może odebrać, tak są głęboko wycięte, przez wszystkie warstwy w rdzeni życia.

Powie kto może, że komedye Fredry należące do pewnego okresu, będą dla naszego jak historyczne *curiosum*; że takich Geldhabów, Radostów, Jowialskich, Łatków, Ciotuń, Cześników, Rejentów już nie ma. Zapewne, niektórych rysów, składających się na ich oryginalność, nie spotkamy tak łatwo pośród nas;

lecz naturę ich ludzką spotkamy zawsze. Czyż Geldhab, przestawszy być liwerantem, nie może już spekulować i panoszyć się cudzą pracą i dla ozdoby swego domu sięgać po mitrę dla córki, a dla siebie po protoplastów przybyłych z Lechem? Czyż angłoman Radost jest dzisiaj mniej śmieszym? a jeśli w czém nie odpowiada naszemu wiekowi, to chyba że pod dżokejską kurtką przestało bić tak złote serce.

Ciotunia zestarzała się, to prawda, ale zamiast miłosnych korespondencyi, mogłaby pokazać stosy rozpraw o powołaniu, przeznaczeniu, usamowolnieniu płci swojej. Dworak Lisiewicz, Łatka lichwiarz, z małemi odmianami, ciż sami i na dziś. Jowialski, z całym swoim domem, jeden tylko zapadł się w głąb ziemi, a z nim zniknął dobry humor staropolski, niewyczerpany w anegdotki, bajeczki, przysłowia, którym jak mógł oganiał się od ducha czasu nurtującego pod nim.... Cześnik i Rejent, dwa sprzeczne charaktery, na zawsze pozostaną najtrafniejszym wizerunkiem dawnego społeczeństwa: z jednej strony porywczym lecz szlachetnym, czującym obrazę lecz i umiejącym przebaczać, ambitnym otwarcie i serdecznie gościnnym; z drugiej kłótliwym, pieniackim, a lubiącym tulić się pod płaszczyk pokory i miłości publicznego dobra, będącej częstokroć miłością samego siebie.

Wszystkie te postacie nie są bynajmniej wymarzone, ani odfotografowane; poeta znalazł je w mnó-

stwie rozproszonych rysów, co i sam powiada w przedmowie: „Śmieszności chwytają się umysłu uważającego, jak się chwyta przechodnia pajęczyna na polu rozpostarta; i możeż on potem wiedzieć z kąd którą nitkę zaczepił: z róży, czy z pokrzywy?“ I dziś nie jeden zbiera takie pajęczyny, ale najczęściej przyczepi je do jakiej konwencyonalnej figury; kiedy Fredro odlewał z tych różnych cząstek jednolite posągi i dawał im życie i ruchy tak prawdziwe, że każdy przechodził zupełne podobieństwo do kogoś, tylko nieumiał wskazać tego ktosia.

Tym to nieocenionym darem twórczości, niebo hojnie ubogaciło Fredrę, równie jak darem obserwacji, który kazał mu pierwiej czytać w otwartej księdze świata, niż w drukowanych księgach. Pierwsza dała mu wszystko, co ma najlepszego w swych dziełach; drugi dostarczył narzędzia do artystycznego wykonania pomysłów, w czém jednak niezawsze był szczęśliwy, zwłaszcza gdy uległ pewnym teoryom i wpływom literatury niemieckiej swojego czasu, co aż do znudzenia lubiła liryzmem szafować.

Z niewielu szczegółów życia Fredry mających związek z jego autorskim zawodem, przekonać się łatwo, jak bogatym talentem dramatycznym obdarzyła go natura, a jak nic dokoła siebie nie znalazł, coby dopomogło rozwinięciu się tego daru. Instynkt i przypadkowość były jedyną jego szkołą. Ziemia przemyska, gniazdowa siedziba domu Fredrów, która

wydała znamienitego historyka, polityka i moralistę Andrzeja Maksymiliana Fredrę, kasztelana lwowskiego, była kolebką naszego komedyo-pisarza. Urodził się około r. 1793 i do szesnastu lat życia uczył się w domu, ówczesnym trybem szkolnym austriackim, najnieposobniejszym do rozwinięcia jakiegokolwiek wrodzonego talentu. Niedziw że do wyższych rzeczy przeznaczony uczeń, nie okazywał uderzających zdolności, nie dla tego iżby te nie leżały w jego duszy, lecz że nauki szkolne wymagały przedewszystkiém i tylko pamięci, a on jej właśnie nie miał.

Uspodobienie jego ciche, spokojne, niemal poważne, umysł więcej do smętnych dumań, niż do pustoty skłonny, nietylko nie rokowały w nim przyszłego pisarza komedyi, co miała kiedyś być jedyną wyobrazicielką staropolskiego humoru i jowializmu, ale owszem zyskiwały mu w rodzinném gronie przydomek młodego staruszka. Kontrast ten uważano i w charakterze Moliera; Regnard tylko był tak pustym i hulaszczym jak jego komedye.

Co sobie marzył poważny i małomówny chłopczyk? nikt się nie domyślał, a jednak objawiło się w nim coś, co miało później stać się jego chwałą. Dar przyrodzony, nieraz jak źródło żywej wody, wytryska w miejscu gdzie się najmniej spodziewasz. Dwunastoletniego chłopca, ni ztąd ni zowąd tknęła jakaś myśl: pochwycił kilka kart białego papieru

i zaczął pisać komedią. Plan i wykonanie były dziełem jednej chwili natchnienia:

Dzień niedzielny, państwa niema w domu, pojechali na nabożeństwo; zostały same dzieci i nudzą się na śmierć, bo zapomniano im dać rodzenków i migdałów na bankiet, którego przyrządzenie należy do najmilszych zabaw tego wieku. Cóż radzić na te nudy? Michał lokaj, przebiegły i łakomy, ofiaruje się wyprowadzić dziatwę z przykrego położenia, i wpada na koncept ubrać się w prześcieradło, i udając ducha, straszyć starą klucznicę. Przestraszona klucznica oddaje klucze i chowa się.... Michał tymczasem, gospodarując w spiżarni, chwytą co może i pakuje do kieszeni, pamiętając więcej o sobie niż o dzieciach. Aż wtém nadjeżdżają państwo; duch złapany na gorącym uczynku, chowa się w mąkę.... Rozwiązanie, sens moralny, a wszystko pod tytułem: „Strach nastraszony“

Próbka ta została tylko we wspomnieniu autora. Z samej treści widać, że nie brakło w niej komicznej werwy.

Pierwszy krok zwykle pociąga inne; za parę lat już mu się roi dramat wielkiego rozmiaru....

Z tych mglistych wspomnień, można już odgadywać przyszły jego kierunek: w pierwszej próbce chwytą najbliższą dziecięciu rzeczywistość, w drugiej sięga po historyczny fakt, żyjący w duszy narodu.

Nikt jednak wtedy nie przeczuł, że się już objawił genialny malarz społeczeństwa naszego.

Nadszedł r. 1809. Młodzian szesnastoletni wstąpił w szeregi formującego się we Lwowie 11 pułku ułanów, i odtąd zaczęła się dlań szkoła świata, najbardziej urozmaicona i najpraktyczniejsza zarazem ze wszystkich szkół, w jakich uczymy się znajomości ludzi i życia. Na obcowanie z muzami nie było wiele czasu; młody też żołnierz za ich towarzystwem nie tęsknił, lecz jeżeli czasami zdarzyła się jaka pocieszna okoliczność, nie mógł się wstrzymać żeby o niej nie zaimprovizować. Tym sposobem w roku 1810 o przygodzie zdarzonej między kolegami napisał wierszyk, który biegając z rąk do rąk, zyskał w całym pułku pochwały; jeden tylko ze świątlejszych kolegów zrobił mu uwagę, że w wielu wierszach nie było średniówki. „Średniówki? zapytał zdziwiony poeta, nigdy o niej nie słyszałem!“ Z tego wywiązało się tłumaczenie, które było dlań pierwszą lekcją prawdziwego rymotwórstwa polskiego. Wypadki pchnęły niebawem wojsko Księstwa Warszawskiego na północ. Fredro odbył tę okropną kampanię szczęśliwiej niż wielu innych, bo się dostał do niewoli w Wilnie, z której wydobywszy się, w pół roku złączył się z armią Napoleona w czasie zawieszenia broni w Dreźnie.

Z rejterującym a staczającym krwawe bitwy Napoleonem, doszedł do Paryża. Przydłuższemu

pobytowi w tej stolicy, winien poznanie teatru francuzkiego, który zrobił na nim nieopisane wrażenie, jako przedmiot odpowiedni jego skłonności, a przytém całkiem dlań nowy. Lwów bowiem za jego czasów nie miał stałej polskiej sceny, tylko przypadkowe amatorskie przedstawienia, nie dające wysokiego pojęcia o potędze tej sztuki. Tragedya francuzka, lubo szczyliła się wtedy królem tragików, Talmą, znalazła go prawie obojętnym widzem, z powodu zbyt przesadnej deklamacyi i konwencyonalnych ruchów; przeciwnie wodził, komedya, wprawiały go w zachwycenie... Pierwszy raz spotkał tam skończonych artystów, utrzymujących grą samą najlichsze nieraz ramoty, i wtedy to powziął przekonanie, wzmocnione z czasem, że niema dzieła dramatycznego, choćby jak przeprowadzonego mistrzowsko i wykończonego w częściach, któreby się obeszło bez dalszego rozwinięcia i uwydatnienia dobrą grą aktorów.

Jak niezaprzeczoną jest ta prawda, dowód mamy na jego własnych komedjach, które chyba w przyszłości doczekają się kiedyś aktorów, coby z danych myśli potrafili stworzyć czyn, czyli rolę. Dotąd bowiem, z nader małym wyjątkiem, aktorowie recytują tylko myśl poety, lecz się nie wznośzą do czynu... Z wracającym wojskiem, wrócił i Fredro do rodzinnego Lwowa, gdzie znalazł się pośród licznej młodzieży, co równo z nim opuściła

zawód wojskowy. Urok bohaterstwa, zajęcie się nowością, robiły tę młodzież udziałem w kołach towarzyskich; ona jedna dawała ton zabawom i codziennemu życiu. Niekłopotliwość obozowa, lekko-myślność garnizonu, z łatwością otrzymały obywatelstwo, tém bardziej, gdy znalazły grunt przy sposobiony, na którym oddawna nie powstało ani ziarnko umysłowych zajęć, a natomiast w najlepsze krzewiło się niefrasobliwe próżniactwo, podtrzymywane marnotrawstwem, grą i zalotnością... Społeczeństwo z taką fizygnomią, musiało obudzić komiczną żylkę we Fredrze; czuł zapewne potrzebę poprawy tego świata przez ukazanie mu jego śmieszności, lecz nie śmiał jeszcze chwycić za pióro, nie mając objawienia autorskiego zawodu....

Dopiero później szczęśliwy traf przyprowadził mu żyda antykwaryusza, co chodząc po domach z książkami, jemu przyniósł Moliera. Fredro zapłacił dukata, a zabrał arcydzieło, dotąd mu prawie obce: bo jednego tylko Amfitryona miał sposobność widzieć na scenie paryskiej.

Z przewodnikiem tak wybornym jak Molierowskie komedye, wyraźniej narysowało się jego powołanie i odtąd zaczął na dobre kształcić się na dramatycznego pisarza. Z ojczystych wzorów, osobliwie współczesnych, niewiele mógł skorzystać. Niemcewicz „Pan Nowina“, zjawiwszy się wtedy, wskazał mu tylko czego trzeba unikać, żeby nie być

pospolitym i nudnym. Jakoż obudziła się w nim chęć współzawodnictwa, i pewnego razu, bez przygotowawczych studyów, prawie bez namysłu, siadł do stolika i napisał wierszem jednoaktową komedijkę: „Intryga na prędce“, z której to później w rozszerzonych ramach zrobił się „Nowy Donkiszot“, pochwycony w lot przez stronniczą a porywczą krytykę, z pominięciem najlepszych utworów Fredry, niewezwanych nawet na świadków w tym doraźnym procesie. Publiczność mało wprawdzie zważała na wyrok potępiający, boć trudno było wmówić w nią, że komedye Fredry podobać się nie powinny. Dali się tylko ułoić tak zwani registratorowie literatury, co nie mając nigdy swego, chwytają cudze zdanie, rzadko wytrawne i uzasadnione, lecz najczęściej najjaskrawsze i najhałaśliwsze, zupełnie jak prostacy, u których kolor czerwony uchodzi za najładniejszy. Wracając do tej pierwszej komedyi, Fredro znalazł się w kłopotliwém położeniu; nie miał bowiem nikogo, komuby mógł z zaufaniem płód swój przeczytać i rady zasięgnąć. Nie pozostało mu nic innego, tylko przez trzecią osobę posłać komedya Nepomucenowi Kamińskiemu, jednemu znawcy i doświadczonemu praktykowi. Kamiński pochwalił i zrobił uwagę, że jest w niej jakiś plan i świeżość, co jej dawało wyższość nad innemi współczesnemi płodami. Komedia była grana, nikt o niej ani źle, ani do brze nie wspomniął i autor odebrał ją do poprawy,

aby już nigdy nie wróciła na scenę. Probował jeszcze się swoich w dwóch małych sztuczkach, lecz te, doznawszy jakichś przeszkód poszły w zapomnienie. Pierwiastki muzy często ten los spotyka; serce ojcowskie poboleje przez chwilę, tylko świat bynajmniej nie czuje tej straty. Rok 1819 jest rokiem urodzenia się Geldhaba. Właśnie gdy tę komedią napisał, wypadła mu droga do Warszawy. Literaci stolicy tej uchodzili wtedy za wyrocznię dobrego smaku; zabrał więc z sobą manuskrypt i z wielką nieśmiałością przedstawił go jednemu z ówczesnych Arystarchów, który zérknawszy na spory zeszyt, zawyrokował, że wszystkim młodym autorom daje jedną radę: skracać; potem urywkami czytał dni kilka, nareszcie zadecydował, że są dobre miejsca, ale lepiej byłoby przedstawić we Lwowie, bo Warszawa nie zna takich Geldhabów. Sama ta odpowiedź była wyborynym materiałem do komedyi. Szczęściem Osiński wziął w opiekę Geldhaba, i był przedstawiony na scenie warszawskiej w r. 1821. W następnych trzech latach grano tam trzy nowe jego komedye: „Zrędnosc i Przekora“, „Mąż i Żona“, „Cudzoziemczyni“. We Lwowie dopiero w r. 1824 czy 25 dostały się one pierwszy raz na scenę. Dlaczego autor nie dał pierwszeństwa miastu swojej prowincyi, miało może przyczynę wytłómaczoną w przedmowie do wiedeńskiej edycyi jego sztuk, gdzie mówi: „Największém dobrem dla sławy autora dramatycznego jest, — już

nie żyć; największém zaś złém,—być znanym osobiście, zwłaszcza w miejscu gdzie jego sztuki przedstawiane bywają. Jedni radzi cudzej szkody, szukają koniecznie wzorów tego, co widzą na scenie, w towarzystwie otaczającym autora. Autorem zasłonięci, szczypią, szarpią do woli, i kiedy najmniej się spodziewa, ściągają na niego najboleśniejse razy. Drużdy są tylko, jak próżne dzwony, głupich wniosków rozgłosem.“

Komedye Fredry od r. 1826 do 1833 czy 34 wyszły w pięciu tomach, i są drukowane w tym porządku, jak przychodziły na świat.

Od czterdziestu lat prawie, panują one udzielnie na deskach teatralnych i przedstawiane po wielokroć razy, zawsze ściągają i bawią publiczność. Nawet dyrektorowie teatrów, jeżeli mają jakiego aktora lub aktorkę chcących się popisać w gościnnej roli, wybierają zazwyczaj, którą z komedyi Fredry; podobnie jeżeli publiczność sarka na tuzinkowe widowiska dawane jej zbyt często, rehabilituje się Dyrekcya znowu jaką sztuką Fredry. Jestto, można bez niczyjej krzywdy powiedzieć, Alfa i Omega naszego teatru.

L. S....

PRZEDMOWA

DO PIERWSZEGO WYDANIA.

Największém dobrem dla sławy autora dramaty-
cznego jest: już nie żyć; największém zaś złem: być
znanym osobiście, zwłaszcza w miejscu, gdzie je-
go sztuki przedstawiane bywają. Jedni, radzi cudzej
szkody, szukają koniecznie wzorów tego, co widzą na
scenie, w towarzystwach autora. Autorem zaśłonięci,
szczypią, szarpią do woli, i kiedy najmniej się spo-
dziewa, ściągają na niego najboleśniejse razy. Dru-
dzy są tylko, jak próżne dzwony, głupich wniosków
rozgłosem. Zapewne, chcąc malować ludzi, ludzi trze-
ba mieć przed oczyma; chcąc walczyć wady społecz-
stwa, wady uważać należy: śmieszności chwytają się
umysłu uważającego, jak się chwyta przechodnia paję-
czyzna na polu rozpostarta; i możeż on potem wiedzieć,
z kąd którą nitkę zaczepił: z róży czy pokrzywy? Na-
reszcie, godłem każdego autora być powinien znany
wiersz jednego z naszych poetów:

Satyra w szczególności nikomu nie łąje:

Czołem bije osobom, gani obyczaje.

Wykaz komedyi .

Alexandra hrabiego Fredry z objaśnieniem, kiedy każda z nich po raz pierwszy i ile razy do końca roku 1870, graną była w Teatrach Warszawskich.

tytuł komedyi:	pierwszy raz grano:	w ogóle grano razy:
Pan Geldhab	7 października 1821 r.	67.
Cudzoziemczyzna	11 kwietnia 1824 r.	22.
Damy i Huzary	14 maja 1826 r.	105.
ZrzednościPrzekora	29 grudnia 1822 r.	26.
Mąż i żona	22 czerwca 1823 r.	56.
Nowy Don Kiszot	wcale nie grano.	
List	14 października 1826 r.	10.
Pierwsza lepsza	14 maja 1824 r.	38.
Odludki i Poeta	12 listopada 1826 r.	126.
Przyjaciele	28 września 1828 r.	38.
Gwałtu co się dzieje	wcale nie grano.	
Nikt mnie nie zna	17 czerwca 1827 r.	89.
Śluby panińskie	16 listopada 1834 r.	103.
Pan Jowialski	10 maja 1835 r.	90.
Nocleg w Apeninach	wcale nie grano.	
Ciotunia	9 maja 1858 r.	7.
Zemsta	26 września 1845 r.	118.
Dożywocie .	9 kwietnia 1845 r.	70.

PAN GELDHAAR.

KOMEDYA

WE TRZECH AKTACH, WIERSZEM.

Pyszny nądzka, kiedy spanoszeje.

And. Max. Fredro.

O S O B Y:

PAN GELDHAB.

FLORA, córka jego.

KSIĄŻE RODOSŁAW.

LUBOMIR, rotmistrz.

MAJOR, przyjaciel Lubomira.

LISIEWICZ, przyjaciel Księcia.

KONTO, intendent Księcia.

PIÓRKO.

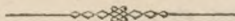
KOMISANT.

KRAWIEC:

KAMERDYNER.

LOKAJ.

Scena w Warszawie, w domu Pana Geldhaba.



PAN GELDHAB.

A K T I.

Teatr wystawia pokój w domu Pana Geldhaba. Na przodzie po prawej stronie stolik z książkami i krzesło; po lewej kanapa, w głębi dwoje drzwi, jedne któremi wchodzi, drugie otwarte, dają widzieć dalsze pokoje. Drzwi na prawo i na lewo.

S C E N A I.

Pan Geldhab, Komisant, Krawiec, Tapicer, Kupczyki, Kamerdynery, Lokaje.

(Geldhab w szlafroku, papiery w ręku, zdaje się być bardzo zatrudnionym. Tapicer przybija firanki. Kupczyki w głębi stoją z różnemi sprzętami.)

Geldhab *(do tapicera).*

A, na mój honor, dobrze, kształtnie i gustownie;
Z firanek kontent jestem, kontent niewymownie;
Haftów, frandzli, muślinu suto i bogato,
Tak u mnie być powinno, Geldhaba stać na to.
(po krótkim milczeniu.)

Przysięgam na mą duszę i majątek stawię,
Że ledwie jest podobnych dwie w całej Warszawie.
(wkrótce tapicer odchodzi.)

Komisant *(z papierami w ręku).*

Panie ...

Geldhab *(do krawca).*

Cóż, liberya dla dworu gotowa?

Krawiec.

Oto jest frak na próbę...

Geldhab.

A nasza umowa?

Waszeć widzęś zapomniał, jaka była zgoda?

Krawiec.

I owszem, wszak zrobiłem jak najnowsza moda.

Geldhab.

Moda z jednym galonem? szalony! szalony!

Cóż dwór pański oznacza, jeśli nie galony?

Krawiec.

Jednak to gust najlepszy.

Geldhab *(śmiejąc się).*

Takie dobre gusta

Pewnie tacy stanowią, których kieszeń pusta;

Gdzież złotem kto przesadzi? do twarzy mu wszędzie;

Więc galon w mojej barwie niechaj w troje będzie.

Krawiec.

Dobrze.

Geldhab.

By sutą była, jak tylko być może.

Czemuż być niema, powiedz, kiedy na to położę?

(krawiec odchodzi.)

(Geldhab spogląda na papiery, potem wokół.)

Komisant.

Wielmożny...

Geldhab.

Ale zaraz, jakżeś uprzykrzony.

(do kamerdynera.)

Dowiedz się czy w gazecie będę umieszczony?

Chciałbym tam mieć wyraźnie artykuł ten cały:

(dając kartkę, czyta.)

„Jaśnie Wielmożny Geldhab, dziedzic Samochwały,

„Przybyszowic, Grypsowa, Łówki et cetera,”
Et cetera pamiętać! „który równie wspiera”

(z przyeiskiem.)

„Licznych swoich poddanych, jak wszystkich dokola,
„Których tylko w niedoli wynajdywać zdoła;
„Raczył dać na spalone Bamberga przedmieście,
„Z zwykłą hojnością, złotych polskich: tysiąc dwieście.”

Komisant.

Gdy dobroć twoja, Panie, tak dla obcych skora,
Siostra, co w niedostatku, od pół roku chora,
Bez wątpienia, próśb swoich skutkiem się ucieszy,
Gdy Pan procent przyspieszyć...

Geldhab.

Nic Pan nie przyspieszy.

Komisant.

Ten list przekona, w jakim strapieniu zostaje.

Geldhab *(z niecierpliwością).*

Cóżto, nie wiesz, że córkę za Księcia wydaję?
Gdy mnie fraszkami nudzić ułożyłeś sobie,
Myśleć o nich nie będę w tej tak wielkiej dobie,
Mając innych ważniejszych zatrudnień tysiące;
I termin też wypłaty, aż za dwa miesiące.
Napisz Waćpan, że bardzo żałuję niebogi,
Ale pomódz nie zdołam... bywaj zdrów... czas drogi.

(odwraca się.)

Komisant.

Wszakto siostra!

Geldhab.

Wiem o tem.

Komisant.

Chora.

Geldhab.

To źle.

Komisant.

W nędzy.

Geldhab.

Ależ mój Panie, nudzisz; że nie dam pieniędzy,
 Wszak ci już powiedziałem i powtarzam jeszcze.
 Kłaniam... *(obróciwszy się, do siebie.)*

Gdzież tę kanapę, te krzesła umieszczę?
*(pokazuje kupczykom, gdzie mają w drugim pokoju postawić.
 Kupczyki stawiają, i odchodzą; tymczasem komisant mówi.)*

Komisant.

Za powinny uczynek nie byłby w gazecie,
 I na cóż być uczciwym, jeżeli w sekrecie?
 Nie dojdzie, niech kto jak chce złoci się i puszy,
 Prawdziwego szlachectwa, bez szlachetnej duszy.
(komisant odchodzi.)

Geldhab *(dając klucze kamerdynerowi).*

Idź, wynieś na stół wszystkie srebra i ozdoby.

Kamerdyner.

Wszystkie? wszakże mam nakryć na cztery osoby?

Geldhab.

Cóż z tego?

Kamerdyner.

Że nie zmieszczę i w największym tłoku.

Geldhab.

Co na stole nie zmieścisz, to stanie na boku.
 Czegóż się patrzysz?... Jakże, czym na to kupował,
 By nikt ich nie widział? co? będę srebra chował!
 Szalony! hm! nie stawiać! chować! to mnie bawi.
 Kogo nie stać na srebra niechże ten postawi!
 Lux, lux u mnie być musi, zbytek, przepych wszelki...
(do odchodzącego kamerdynera.)

A resztki wina scedzić do jednej butelki.

Lokaj *(wchodząc).*

Książę Rodosław.

Geldhab.

Książę? Niech wnijdzie łaskawie.

Za chwilę się ubiorę.

(Na stoliku stojącym na proździe, rozkłada książkę i wraca kilka razy przypatrując się i poprawiając; kładzie złotą tabakierkę i chustkę).

Tak..... i to zostawię.

(odchodzi.)

SCENA II.

Książę, Lisiewicz, Konto.

(Książę we drzwiach się zatrzymuje, jakby słuchał lokaja, który go anonsował; potem obraca się w tył i woła na Konta.)

Książę.

Panie Konto! chodź więc, chodź! *(na stronie.)*

Niežnośne stworzenie

(do Konta.)

Jakież cię za mną pędzi tak nagłe zdarzenie?

Konto *(z głębokim ukłonem).*

Ach Jaśnie Oświecony...

Książę *(wpadając w mowę).*

Prędzej.

Konto.

Mości Książę...

Mimo wdzięczności...

Książę.

Prędzej.

Konto.

Która serce wiąże

Do najlepszego...

Książę.

Dalej.

Konto.

Z wielkich Książąt Księcia,
Mimo, że tak śmiem mówić, mimo przedsięwzięcia...

Książę (*z niecierpliwością*).

Cóż ci do reszty wzięło rozumu niewiele,
Sen, gorączka, czy przestрах jaki?

Konto (*zbliżając się do ucha*).

Wierzyciele.

Książę (*z gniewem*).

Ech zawsze jedno, jedno, aż już słuchać nudno!

Konto.

Ależ mnie w własnym domu usiedzieć się trudno.
Rzemieślnicy wciąż piszczą, a rabinów roje
Za ul sobie obrały pomieszkanie moje;
Nieczułe jak opoki, uparte jak żmije,
Łakomstwa ich nie wzruszą, morały, ni kije.
Dawny szwajcar był wprawdzie wielki moczymorda,
Lecz go się przecież bała wierzycielska horda;
Gdy nie mógł dostojęństwa zatrzymać powagą,
Uczył mores natrętnych pozłacaną lagą;
Ale dzisiaj przy nowym, za pierwszym natłokiem,
Aż do biura wpadnięto niewstrzymanym krokiem
I zelżono haniebnie pod Pańskim obrazem,
Całą intendenturę z mą osobą razem.

Książę.

Szturmem cię więc dobyto?

Konto

(*korzystając z wesołości Księcia, dobywa papierów
i mówi przeglądając*).

Książę Pan się śmieje,

A ja dalibóg wkrótce, wkrótce oszaleję.

Lisiewicz.

Jednak kasę odbito.

Konto (*przeglądając papiery*).

Nic w niej nieruszono...

Książę.

Bo próżna.

Konto.

Takto niby.

Książę.

Lecz tych gości grono,
Do Waścinej szkatułki że się nie dobrało,
To szkoda; tam być musi zapasów nie mało.

Konto.

Książę Pan najłaskawiej żartem mówić raczy,
Niewiele sług pocziwych sakiewka dziś znaczy:
Ach gorzkie w tych godzinach, gorzkie zbiory nasze!
(*przybliża się do Księcia z ukłonem, patrząc w papiery.*)
Gdyby Książę Pan... przejrzeć...

Książę (*uderzając ze spodu w papiery*).

Ach nudzisz mnie Wasze!

Lisiewicz (*biorąc Konta na stronę*).

Nie uprzykrzaj się Waćpan... przyjdiesz w innej
porze...

(*Konto okazuje nieukontentowanie.*)

Nie trzeba Księcia martwić...

Konto.

To nic nie pomoże...

Lisiewicz (*przytrzymując go*).

Zdrowie Księcia najdroższe...

Konto (*wyrywając się*).

Proszę!... wiem co robię...

(*z uśmiechem*.)

Gdyby Jaśnie...

Książę.

Ach, dobrze że wspomniałem sobie;

Daj Wasze, daj rachunki.

Konto

(*z wielkim ukłonem; do Lisiewicza*).

Źle robię?

(*do Księcia*) Niech służą.

Książę.

Lecz staraj się pieniędzy, pieniędzy i dużo.

Konto.

Pie... pieniędzy?

Lisiewicz.

Pieniądzy, Książę Pan powiada.

Konto

(*w zamyśleniu powtarza*).

Pieniądzy!

Lisiewicz.

Wolę Księcia uczynić wypada.

Książę.

Rób, co ci się podoba: zastawiaj, przedawaj,
Lecz kiedy chcę pieniędzy, to pieniędzy dawaj,
Rozumiesz... bądź zdrów.

Lisiewicz.

Książę żegnać się z nim raczy

Konto (*na stronie*).

Bierz lichu taką łaskę i takich tłómaczy! (*odchodzi*.)

S C E N A III.

Książę, Lisiewicz.**Lisiewicz.**

Natętność nadzwyczajna, chcieć odbierać długi,
Księżu! Księżu beczelnie odmawiać usługi!
Wszystkie już społeczeństwa zwalone zasady.
Nieznane były dawniej podobne przykłady!
Dziś ten, co w rzędzie szlachty ledwie ojca kładzie,
Śmie często Panu z Panów stanąć na zawadzie.

Książę.

Takich to gmin pożyczkał...

Lisiewicz.

Panowie tracili.

Była przecie różnica; ale co w tej chwili...

Książę.

Same sknerstwo, natętność, rozpusta bezbożna.

Lisiewicz.

Nawet dla Księcia dostać pieniędzy niemożna!

Książę.

Ach Lisiewicz, gdyby...

Lisiewicz.

Próżno mnie łeb boli:

Lichwiarze dać już nie chcą, a panowie goli.

Książę.

Mamci ja wprawdzie wioski, lecz się wspomnieć boję.
Największe, wierzyciele trzymają jak swoje;
Resztą intendent rządzi, z tych nic nie wykradnę,
I mam tylko co kwartał rachunki dokładne.

(z niecierpliwością.)

Gdyby pożyczyć chcieli jakie bądź urwisze,
To na ciotce bogatej pewnoś im zapiszę;

Bo jeno się przeniesie do wieczystej chwały,
Biorę po niej majątek czysty i niemały.
Wtedy mając pieniądze myśli bym odmienił,
I mniej ceniąc posagi siebie więcej cenil;
Gdyż nader nie zostają ujęty powabem
Złączenia się tak z bliska z Imć Panem Geldhabem.
Smutno będzie się znaleźć w swych znajomych gronie,
I nowego Kopciuszka widzieć w swojej żonie.

Lisiewicz.

Ubodzy bez znaczenia niech się boją świata,
Jego zwykły szacunek za pieniędzmi lata;
W dobrej uczcie przez głowę nie przejdzie nikomu,
Za to ręczę, że Księżna Geldhabówna z domu.

Książe.

Zapewne! moja świetność jej nizkość pokryje,
A na odwrót jej złotem mój kredyt ożyje.

Lisiewicz.

Możemy też zapobiedz wczesném przedsięwzięciem,
Aby się nadal Pan teść nie bratał ze zięciem;
I gdy Książe Pan zechce, *(z ironją)*.

to może i żonie

Podoba się dalekie od miasta ustronie.

Książe.

Zrobiłbym to niemylnie, gdybym był Wacanem,
Lecz ja nie pragnę zostać mej żony tyranem;
Jest pewny kres wszystkiego, nawet i swawoli,
Który nigdy przestąpić honor nie dozwoli.

Lisiewicz.

Ach, ta wspaniałość duszy jest mi nader znana,
I tytkom dla rozrywki mówił Księcia Pana.

Ale inne bojaźni muszę wyznać szczerze:
Gdy wspomnę Lubomira, wielki mnie strach bierze:
Może nagle przyjechać w tak znaczącej porze.

Książę.

I cóż z tąd?

Lisiewicz.

On się dawniej kochał w Pannie Florze.

Książę.

Ha! tém gorzej dla niego!

Lisiewicz.

Ona go kochała.

Książę.

Cóż z tąd, powtarzam jeszcze?...

Lisiewicz.

I słowo mu dała;

Ma zatem prawo...

Książę.

Ależ tak śmiesznym nie będzie,
Stanać jak współzalotnik w jednym ze mną rzędzie?

Lisiewicz.

Wielka by śmiałość była, temu nikt nie przeczy,
Lecz miłość... zaręczenie... a podobne rzeczy...

Książę.

Miał co miał, zaręczony czy nie zaręczony,
Niech sobie Pan Lubomir innej szuka żony.

Lisiewicz.

Zapewne. Jednak jeśli powiedzieć się godzi,
W każdym razie ostrożność nie nam nie zaszkodzi;
Zwłaszcza, że bardzo łatwo Księciu Panu będzie,
Mając w swoim znaczeniu tyle związków wszędzie,
Wyrobić najspieszniejsze rozkazu wydanie,
By Lubomir od pułku jechać nie był w stanie.

Tak go więc zatrzymując, jak długo wypadnie,
My tu nasze zamiary ukończymy snadnie.

Książę.

Hm!.. nie źle.. lecz z Geldhabem pomówimy wprzód,
Może nam nie potrzebne te wszystkie zachody.

S C E N A IV.

Książę, Lisiewicz, Geldhab.

Geldhab.

Książę... (*całują się*)

cieszę się... (*całują się*)

Książę... (*całują się*)

czekał, czekał nieco...

Ale wiesz u nas... (*do Lisiewicza z hardością*)

Witam... (*do Księcia*)

jak godziny lecą.

Lisiewicz.

Oto papiery, które Pan dałeś dla Księcia,
Posag nie jest powodem jego przedsięwzięcia...

(*Książę śmieje się na stronie.*)

Więc nie czytał ich nawet, spokojny w tej mierze.

Geldhab.

Nie trzeba mi to mówić, bardzo temu wierzę.
Między Panami jeden drugiego nie zdradzi;
Lecz choć słowo dość u nas, pismo nie zawadzi.
Więc niema o czém mówić, notaryusz zjedzie,
I wszystko ukończymy po dobrym obiedzie;

(*po krótkim myśleniu*)

Ach, tak dziś pracowałem, że nie czuję głowy...

Ależ upraszam siedzieć... (*siadają*)

Jakto w dzień pocztowy;

Nie mogę się opędzić suplikantów zgrai;
A że teżto na świecie nic się nie utai!
Że żyję z ministrami, i choć się nie chwale,
Przyznać potrzeba, żyję dosyć poufale,
Dla tego wiejska szlachta ułożyła sobie,
Że jak się za kim wstawię, co zechcę to zrobię.
Mogę ja wprowadzić pomódz, mam i wpływu trochę,
Ale, żebym mógł wszystko, to są myśli płochę;
Koniec końców, co poczta, jak minister jaki,
Odbieram oprócz suplik, samych listów paki;
Do tego jeszcze rządów mych wiosek niewielkich,
Także pliki raportów i rachunków wszelkich;
Przy naszym miejskiem życiu rzecz to niby zdrożna,
Lecz mając duże dobra gardzić nią nie można.

Lisiewicz.

Szczęśliwy, komu nieba przyjaciele dały,
Jemu wtedy powierza rządów ciężar cały,
Ten się wszystkiem zatrudnia odebrawszy wioski,
A on żyje spokojnie i nie zna co troski;
Szczęście! szczęście!... Lecz Pana wypada żałować,
Że tak sam jeden musisz myśleć i pracować.

Geldhab.

Sam jeden? Waćpan myślisz, żem brudny ów sknera...

Lisiewicz.

Broń Boże!

Geldhab.

Co na złoto tylko się obziera?

Lisiewicz.

Bynajmniej.

Geldhab.

Że wraz jestem i sługą i panem?

Lisiewicz.

Nie!

Geldhab.

Żem nieumiejącym żyć w świecie bałwanem?

Lisiewicz.

Któż to mówi?

Geldhab.

Że płacić sług nie jestem w stanie?...

Lisiewicz.

Ależ mnie nie rozumiesz, mój łaskawy Panie.

Geldhab.

Więc nie sam jeden; trzymam rządców, sekretarzy,
Rachmistrzów, budowniczych, mądrych gospodarzy;
Mógłbym słowa nie mówić, tylko ręką kiwać;
Więc nie sam jeden, niema czego utyskiwać;
(po krótkim milczeniu do Księcia.)

Donoszą mi...

Lisiewicz.

Zapewne o wojska przechodzie.

Geldhab.

Lecz któż...

Lisiewicz.

Po co się kręci, kiedy wszyscy w zgodzie.

Geldhab.

Pozwól...

Lisiewicz.

Po wsiach bez tego, ubóstwa dokoła.

Geldhab.

Niech skończę...

Lisiewicz.

I pan swoich obronić nie zdoła.

Geldhab.

Czyż mówię...

Lisiewicz.

Które mają ciężarów już tyle...

Geldhab.

Cóż u diabła...

Lisiewicz.

I nawet, jeśli się nie mylę...

(głośno, patrząc na Księcia)

Pułk, w którym pan Lubomir, już tam postawiono.

Książe.

A! Lubomir... Waćpanu znajomym jest pono?

Geldhab.

Lubomir? he?... Lubomir? rotmistrz?

Książe.

Tak, ten właśnie.

Geldhab.

Nibyto... ale zkądże...

Książe.

Mówmy zatem jasnie:

Lubomir kochał córkę Waćpana?

Geldhab.

Tak... trochę.

Książe.

A ona?

Geldhab.

Nie, nie; ale... tak, jak dzieci płocze,

Niby tak... swawolili, ale z Florki strony...

Książe.

Wszak mówią, że Lubomir był z nią zaręczony?

Geldhab.

Coś niby obiecałem, bo z ojcem w przyjaźni...

Książę.

Dosyć. Wiem com chciał wiedzieć, pewnie nie z bojaźni,
Lecz wcale z innych przyczyn. Ależ Panna Flora
Gdzie jest? możnaż ją widzieć?

Geldhab.

Jestto właśnie pora,
W której się rozlicznemi trudni naukami;
Nie wiem wprawdzie, to dziewczę, mówiąc między nami,
Czego się uczyć może, gdy już wszystko umie,
Nauczycieli nawet przewyższa w rozumie.
Pójdę po nią i dobra moje w zakład stawię,
Że ją znajdę przy jakiej uczonej zabawie:
Albo przeziera listy, czyta dykcyonarze,
Albo też czule dumki nuci przy gitarze.
Diabli ma rozum! przy niej ja znaczę

(pokazując na palce)

o! tyle!

A jaka poetyczka, aż ją słuchać mile.
Czasem powiem żartując: Florko, powiedz ode,
Naprzykład... na ten czarny stolik, lub komodę;
Wnet dwieście utnie wierszy nad czarnym stolikiem,
Tak, że niech się schowają Nelson z Kopernikiem.
Idę więc. *(Odchodząc, do siebie)*

Ach, to rozum, rozum niesłychany!

*(odchodzi)***Lisiewicz** *(do odchodzącego).*

Czekamy.

Książę.

Ach, to głupiec, głupiec niewidziany!

SCENA V.

Książę, Lisiewicz.**Książę.**

Ktoby się chciał zatrudnić człowieka obrazem,
Nagle spanoszonego i dumnego razem,

Niechże sobie z Geldhaba dokładny wzór bierze.
Co słyszałem, na honor, ledwie jeszcze wierzę;
A najbardziej z wszystkiego ta śmiałość mnie bawi,
Śmiałość, z którą o swoim urodzeniu prawi.
Gdybym nie był wiadomym, a słyszał ze strony,
Przysiągłbym, że nasz Geldhab z Lechem pokrewniony;
Wiadomym mówię, jednak to dziwne stworzenie
Nie jest mi dobrze znane, choć się z córką żenię.

Lisiewicz.

Ma pieniądze, wszak dosyć, na cóż nam dochodzić
Kto mu ojcem, kto dziadem, kto go może rodzić.

Książę.

Kiedy *(rozkazując)*
chcę wiedzieć.

Lisiewicz.

Ha!... więc...

Książę.

Tylko proszę szczerze.

Lisiewicz

(skłania się po chwili milczenia).

Ta historia chwilę niedługą zabierze:
Czas, który zwykle wszystko niszczy lub przemienia...

Książę *(śmieje się).*

Zniszczył i świetny wywód Geldhabów imienia.

Lisiewicz.

Tak jest, albo też raczej Geldhaba majątek
Kładzie w nim pierwszym, rodu świetność i początek:
Przybysz, potem mieszczanin, w końcu burmistrz
w Schowie...

Książę.

Pięknie szło sądownictwo, miarkuję po głowie.

Lisiewicz.

Ach, nie źle, Mości Książę, bo wkrótce miał wioski,
Różnie o tém mówiono... różne były wnioski...
Ale na to potrzeba spoglądać przez szpary...
Kogoż ludzkie języki, kogoż te poczwary...

Książę.

Tak, tak, tak... i cóż dalej?

Lisiewicz.

W możniejszym już stanie
Przedsięwziął różnych rzeczy wojsku dostarczanie,
I jak to zwykle bywa, gdy szczęście posłuży,
W dwójnásób jeszcze zwiększył majątek dość duży,
I choć on niby głupi, jak na mękach plecie,
Był niczem, jest bogatym, będzie znaczył w świecie.
Osobę zaś...

Książę.

Tę, pozwól, niechaj ja odgadnę,
Na pamięć opisanie czy też dam dokładne:
Geldhab, jak wszystkie jemu podobne istoty,
Których wyrwał z pomiotu zysk, ale nie cnoty,
Których los zbyt rozumnie umieścił na dole,
A ślepe szczęście wzniosło na przewrotném kole,
Jest próżnym i nadętym, brudnym sknerą w domu,
Podły i chciwy w sprawie, uczynny nikomu;
Lecz niechaj świat nań patrzy, gotów dla pozoru
Zostać chwilę wspaniałym i mężem honoru.
Jego ukłon, krok, uśmiech, wszystko wymierzone;
W drobnostkach urażliwy, bo kto w jego stronę
Nie dość się skłoni, spojrz, zniży kapelusza,
Już mu chybia, i godność na wieki obrusza.
Mówisz o gwiazdach, słońcu, lub świata początku,
On zawsze wspomnieć musi o swoim majątku;

U niego *ja i moje*, w jakimkolwiek względzie,
 I pierwszym i ostatniem słowem zawsze będzie.
 Nareszcie, poufałość bliska grubijaństwa
 I tylko próżna duma jest w nim cechą państwa.
 Jakże? zgadza się Geldhab z mojem opisaniem?
 Jestto obraz takiego, który twojem zdaniem:
 Był niczém, jest bogatym, będzie znaczył w świecie.

Lisiewicz.

Taki też Geldhab.

Książę.

Jego córkę biore przecie.

Cóżby mój pradziad mówił, gdyby ożył w grobie,
 Że Książę...

Lisiewicz.

Powiedziałby: wnuku, wystaw sobie,
 Że teraz bez pieniędzy w Księstwie pomoc słaba;
 Nie gardź więc złotem, ani osobą Geldhaba;
 Nawet prawo powiada wszelkich związków świata:
 Bądź zgodnym, dziel się z bliźnim, w człowieku widź
 brata.

Książę (*śmieje się*).

Dziel się z bliźnim... wybornie ta myśl wyszukana;
 Bawisz mnie jak z urzędu: (*uderzając go po ramieniu*)
 lubię też Waćpana.

SCENA VI.

Książę, Lisiewicz, Geldhab, Flora.

Książę (*do Flory*).

(*Przez całą tę scenę Książę mówi z ironią.*)

Miłą jaką zabawę przerwaliśmy pewnie?

Geldhab

(*glaszcząc Florę pod brodę*).

Czytała nieboraczka i płakała rzewnie.

Książę.

Jakieżto smutne dzieło tak rozczulać zdoła?

Flora.

Ach, nie smutne; to bajka, i dosyć wesoła,
Ale ja nad przyjemnym często stylem płacę.

Książę.

Tak?

Flora.

Kwilić się zaczynam, gdy książkę zobaczę,
Każde *ach*, lub *niestety*, już mi łzy wyciska,
A cierpnę na wspomnienie miłości nazwiska.

Książę.

To pięknie!

Flora (*coraz prędzej*).

Cóż dopiero ze mną się nie dzieje,
Jakież niebieskie czucie w sercu mém nie tleje!
Jakiż mojej istoty ogień nie porusza,
Jakże się nie unosi zachwycona dusza!
Kiedy czytam serc tkliwych cudne piórotwory,
Owe, sztuki miłości doskonale wzory...
Czyjaż moc przyrodzenia może być tak twarda,
By nie płakać nieszczęścia cnego Abelarda?

Książę.

Pewnie!

Flora.

Komuż nie straszne Heloizy żale,
Któż ze Safo nie zadrży na okropnej skale?

Geldhab (*do Lisiewicza*).

A co? to moja córka!

Flora.

Któż we łzach nie tonie
Przy smutnym i zawczesnym Wirginii zgonie?

Takie dzieła mają duszę, takie dzieła czytam
I w nich światło rozumu z rozczuleniem chwyta.

(znowu z prędkością i uniesieniem)

A w tkliwym Floryanie, lub czułym Gesnerze,
Te nadobne pasterki, przyjemni pasterze,
Te miłości wzajemne, ta niewinność prawa,
Do wylewu łez naszych czyż nie mają prawa?

Książę.

Tak!

Flora.

Gdy czytam boskiego dumi Ossyana,
Chwyta gitarę, śpiewam zdrojem łez zalana;
Zdaje mi się, najczulsze wybierając tony,
Że wdzięcznej lutni barda dotykam się stróny;
Z Kornela, Krebillona lub Rasyna dzieła,
Scenę, która mnie mocą najwięcej ujęła,
Wnet ołówkiem na papier dokładnie przenoszę;
Tak, we wszystkiem znajduję czucie i rokosze,
One są mym żywiołem, nauki—zabawą.

Geldhab *(do Księcia)*.

A jak pisze, rachuje, jak tańczy żwawo!

Książę *(do Lisiewicza cicho)*.

Otóż rozum na sprzedaż, bez żadnego składu.

Geldhab *(z radością)*.

Cóż Książę? nie mówiłem?

Lokaj *(wchodząc)*.

Dano do obiadu.

Geldhab.

Florko, daj Księciu rękę!... dajże!

(do Lisiewicza) Jak się boi;

Nadto skromna, lecz z czasem z wszystkiem się oswoi.

A K T II.

SCENA I.

Lubomir

(sam).

Niesłychane zdarzenie... cóż czynić wypada...
Flora mnie kocha... ale ojca, ojca zdrada!...
Mnie córkę obiecuje, a Księcia z nią żeni...
Nie, nie; albo zamysły dobrowolnie zmieni,
Albo też jeszcze dzisiaj zmienić go przymuszę,
Pamięć słowa, powinność, honor w nim poruszę...
Ale nie, cóż to zdziała na miedzianém czole?
Żem o niczém nie słyszał raczej udać wolę.
Bojaźń jego zwyczajna może mi wygodzi;
Nie będzie śmiał powiedzieć... lecz otóż nadchodzi.

SCENA II.

Lubomir, Geldhab.

Lubomir

(biegnąc naprzeciw Geldhaba).

Jakże się miewasz, przyszedł

(z przyciskiem) teściu mój kochany!

(ściska go)

Widzę, widzę żeś hoży, czerstwy i rumiany.

(Geldhab z pomieszaniem przyjmuje uściśnienie)

(po krótkim milczeniu)

No jakże, Panie teściu, nie spełniamże słowa?

Jestem, choć jeszcze Czerwca nie zeszła połowa.

Geldhab (*pomieszany*).

Witam Waćpana, witam...

Lubomir.

Cóż za przywitanie?

Nie cieszysz się?...

Geldhab.

I owszem!

(*na stronie*) Przekłęte spotkanie!

Lubomir.

Czyż mnie, teściu, nie kochasz?

Geldhab (*zamyślony*).

Hm!... a z całej siły.

(*na stronie*)

Bogdajbyś był kark skreślił.

(*głośno*) Lecz mój Panie miły...

(*na stronie*)

Jak powiedzieć...

(*głośno*) Myślałem...

Lubomir.

Że już nie przyjadę?

Geldhab (*na stronie*).

Powiem mu.

Lubomir.

Na dzień, w którym szczęście moje kładę?

I że tak dawny, święty układ zapomniałem?

Ale jakżeś mógł myśleć, kiedy słowo dałem?

Geldhab (*na stronie*).

Śmiało!

Lubomir.

A kto je łamie, lub złamać się trudzi,

Wzgardy tylko jest godzien od uczciwych ludzi.

Geldhab (*na stronie*).

O! źle.

Lubomir*(z wzrastającym zapamiętaniem).*

Jest łgarzem, łotrem, hultajem!

Geldhab *(na stronie).*

Drzę cały.

Lubomir.

Przecie, że na nich sposób dobre nieba dały.

Geldhab*(na stronie, nie słuchając dalej).*

Ale czegoż się boję?

Lubomir.

Tu, z honoru broni

Zwykłą biorą zapłatę.

Geldhab *(na stronie).*

Książę mnie zasłoni,

Tylko śmiało!

(głośno) Gniew Pański i śmieszny i próżny.**Lubomir.**

Ja się nie gniewam, czegoż...

Geldhab.

Zbieg zdarzeń jest różny,

Czasem słowa danego nie można dotrzymać,

Więc nie trzeba przeklinać, gniewać się i zżymać.

Właśnie... z Waćpanem... w takim przypadku zostaje,

Gdy... jego narzeczoną za Księcia wydaje.

*(oddycha i pot ociera)***Lubomir.**

To żart.

Geldhab.

Nie, nie.

Lubomir.

Ale żart.

Geldhab.

Nie żart, mówię szczerze.

Lubomir.

Wiem dobrze, żeś uczciwy...

Geldhab.

Nie, wierzaj...

Lubomir.

Nie wierzę.

Geldhab.

Daję słowo honoru, że tak w samej rzeczy;
Teraz przecie twój upór prawdy nie zaprzeczy?

Lubomir.

Dajesz słowo honoru, że honoru nie masz,
I chcesz... ale dość tego.

Geldhab.

Cóżto, Waćpan mniemasz
Być rzeczą niepodobną, godną podziwienia,
Że mój rozum ojcowski układy odmienia?
Że dla większego dobra, mniejsze dobro mija?
Że Pan z Panem się łączy, że Pan Panu sprzyja?
Wszak Geldhaba stać na to, mogę mówić śmieie.

Lubomir *(z ironią).*

O, postrzegam, że Pana stać na bardzo wiele.

Geldhab.

A... a... więc widzisz, mówmy, lecz mówmy bez zwały,
A poznasz, jak prawemi są moje zasady:

(odchrząknąwszy)

Znaczenie jest znaczenie, i znaczenie znaczy...

(po krótkim milczeniu)

Któż znaczenia w złączeniu z Księciem nie zobaczy?

(po krótkim milczeniu)

Nie gniewaj się i rozważ szybkim twym pojęciem,
Żeś ty tylko szlachcicem a Książę Książęciem!

Lubomir.

Przodkowie nasi, którzy przez tak długie lata
 Mieli godnie nabyte znaczenie u świata,
 Którzy mężstwem i cnotą ojczyźnie służyli,
 Na samym szczycie sławy tylko szlachtą byli;
 Dla nich z tytułów, w które stroi zagranica,
 Najchlubniejszym był zawsze polskiego szlacheica.

Geldhab.

Hm!... człowiek od człowieka, czas od czasu różny,
 Dziś więcej od Waszmości, znaczy Pan Wielmożny,
 Pan Wielmożny mniej znowu, jak Wielmożny Jaśnie,
 A ten Jaśnie przy Jaśnie Oświeconym gaśnie;
 Bo Wielmożni... tak, dobrze... Wielmożni Panowie,
 Nie, nie; lecz Oświeceni... nie tak... w jednym słowie:
 Czém Jaśnie Oświecony, czém jest? hm.. czém? Księciem;
 A Oświecony Książę czém?... hm? moim zięciem.
 Nie masz co mówić, nie masz; już cię przekonałem,
 Że Florki mieć nie będziesz, choć ci słowo dałem.

Lubomir.

Gdy rozumieć nie można, trudno odpowiedzieć;
 Jednak dosyć jest dla mnie piękny koniec wiedzieć.
 Zapomnij Waćpan honor i moją zniewagę,
 Lecz na własne swe dobro chciej zwrócić uwagę:
 Czy mniemasz, że Rodosław...

Geldhab.

Książę! suplikuję.

Lubomir.

Ach, Książę; że do Flory szczerą miłość czuje?

Geldhab.

Mniemam.

Lubomir.

Fałszywie.

Geldhab (*z ironią*).

Czy tak?

Lubomir.

Wszakżeto rok drugi,
Jak on szuka posagu, by opłacić długi.

Geldhab.

Zazdrość, zazdrość.

Lubomir.

Nareszcie, wszak uczą przykłady,
Jakie u wielkich panów w małżeństwie zasady;
Niechaj gdziebądź dla córki ojciec brzęknie złotem,
Najpierwej pan usłyszy... pędzi orła lotem,
O sto mil się oświadcza ufny w urodzenie,
A jak przejrzy zapisy, kocha się szalenie.

Geldhab.

Mądrze myślą; pieniądze nie są maryl płoche.

Lubomir.

Wszak i ja mam majątek.

Geldhab.

Szarpnąłeś go trochę.

Lubomir.

Dałem pół dla ojczyzny, sam poszedłem służyć,
Siebie i majątności możnaż lepiej użyć?

Geldhab.

Pięknyto morał, ale...

Lubomir.

Dość jeszcze zostało
I dla mnie i dla Flory.

Geldhab.

Wszystko jest za mało
Przy tytule Książęcym, przy tej wielkiej sławie:
Mieć wielką mitrę w herbie, być wielkim w Warszawie.

Lubomir.

Gdy rozsądną uwagę nie jesteś ujęty,
Niechże cię wzruszy ojca obowiązek święty:
Chceszże dla czczej próżności przez inne zameścić,
Zniszczyć na całe życie własnej córki szczęście?

Geldhab.

Ja mam zniszczyć jej szczęście? *(śmiejąc się głośno)*

Ha, to myśl nie lada!

Kiedy ona z radości ledwie się posiada;
I jak się nie ma cieszyć, gdy już ogłoszono,
Że będzie za dni parę Jaśnie Oświeconą.

Lubomir.

Jakto Floraby miała?... ach, to już zawiele,
Tak mnie szarpać, i wspierać fałsz fałszem tak śmieie;
Flora pewnie mnie kocha i wątpić nie mogę.

Geldhab.

Zapytać się jej samej najkrótszą masz drogę.

Lubomir.

Tak, niech sama odbierze daną mi nadzieję.

(na stronie)

Mamże wierzyć? o nieba!... cóż się ze mną dzieje!

Geldhab.

O! odbierze; tém jedném najpewniej usłuży,
Ja zaś szczerze pomyślnej życzę ci podróży.

(odchodzi)

SCENA III.**Lubomir**

(sam).

Ta Flora luba, wdzięczna, skromna przy rozumie,
Miałażby się tak zmienić, dać się uwieść dumie?



I ta twarz, oko szczere i tak piękne razem,
Miałyżby nie być prawym jej duszy obrazem?

SCENA IV.

Lubomir, Major.

Lubomir.

Ach Majorze!

Major.

Wiem wszystko; Geldhab z tobą kręci,
Dodam ja mu cokolwiek obietnic pamięci!
Tam do licha!... aż zadrży... aż mu włos powstanie!
Bo ja lubię każdemu przełożyć me zdanie
Grzecznie, ładnie... a Flora byłaże ci rada?

Lubomir.

Jeszcze z nią nie mówiłem; lecz ojciec powiada...

Major.

Temu nie wierz, on kłamie i zawsze i wszędzie,
Bo jeśli Florka stałą, to inaczej będzie;
Książęta nie Książęta (*wskazując na brzoń*)
tędy przejdą wprzód.

Lubomir.

Florka mnie kocha pewnie, lat tylu dowody...

Major.

Fraszki! niech cię nadzieja zawczesna nie mami:
Kobiety, przyjacielu, mówiąc między nami,
Jestto piękny twór Boga, ale bardzo słaby;
Okazałość dla kobiet wielkie ma powaby.
Żądza pochwał, odmiany i znaczenia w świecie,
Często najszlachetniejsze w nich czucia przygniecie.
Są, które przyznać trzeba, z przyrodzenia ręki
Wzięły gruntowne cnoty, rozsądek i wdzięki,

A takich jeszcze w Polsce nie mało naliczę,
I taką znaleźć Florę serdecznie ci życzę.

Lubomir.

Taką pewnie ją znajdę, idę bez bojaźni,
Resztę twojej szanownej powierzam przyjaźni.

(odchodzi)

Major *(sam).*

Trzeba będzie dziś, widzę, broń z rozumem złączyć,
I grzecznie, ale dobrze z Geldhabem ukończyć.

S C E N A V.

Major, Książę, Lisiewicz.

Lisiewicz

(wchodząc i nie widząc Majora).

Przyjechał, proszę wierzyć, rozkaz późno dany,
I ten Major przekłety... *(postrzega Majora)*

A... Major... kochany...

Pozwól niech cię uściskam. *(pomieszany)*

Dawno tu w Warszawie?

(na stronie)

Nie dobrze.

(głośno)

Ale Księciu niechże cię przedstawię...
Grzeczność wymaga... jeśli zechcesz tu zabawić...

(do Księcia)

Waszej Książęcej Mości mam honor przedstawić...

Major.

Mie masz Waćpan honoru, my się z Księciem znamy.

Lisiewicz *(na stronie).*

O! źle...

(głośno)

Więc żegnam.

Major.

Nie, nie, trochę pogadamy.

Lisiewicz *(na stronie).*

Uf!

(obciera pot)

Otóżto nie zważać na przecucia wieszce.

Major.

Ale ciebieto, bratku, Książę nie zna jeszcze:

(do Księcia, biorąc za rękę Lisiewicza.)

Jestto Imć Pan Lisiewicz.

Lisiewicz *(na stronie trąc oczy).*

W oczach mi się mieni.

Major.

Wszystkich szczerzy przyjacieli, a zwłaszcza pieczeni.

Słuchać go... ma majątek w czystym kapitale,

Bez długu, w pewnym ręku, procent duży... ale...

Proces, zbieg interesów, zawód, ciężkie lata,

Skutkiem, że nie ma grosza a w słowach intrata.

Lisiewicz *(cicho do Księcia).*

Podobnoś Mości Książę, on zaczepki szuka.

Major.

Jak żyje?... tam do licha!... w tém największa sztuka.

Oto zrécznie latając od domu do domu,

Różne wieści rozdaje, i wie co dać komu:

Zrana, gdy brukowego towaru nabiera,

Biegnie, gdzie sprzedać może; jednakże wybiera

Krótką chwilę wprzód, kiedy siadają do stołu;

Nie odmawia, gdy proszą by siadał pospołu,

I dla dobrego wina, lub smacznej potrawy,

Czerni bliźnich, lub wojny rozrządza wyprawy.

Lisiewicz *(do Księcia).*

Wszak mi przymawia?

Książę.

Prawda.

Lisiewicz (*do Księcia*).

I w brzydkim sposobie.

Książę.

Prawda.

Lisiewicz (*do Księcia*).

Mocno mi chybia.

Książę.

Nie daj chybiać sobie.

Lisiewicz (*do Księcia*).

Jak w złość wpadnę?

Książę.

To wpadnij.

Lisiewicz (*do Księcia*).

Ach, kiedy się boję...

Książę.

To milcz.

Lisiewicz.

Nie, wolę odejść.

Major (*przytrzymując Lisiewicza*).

Zaraz, weź co twoje.

Jeszcze jedna pochwała . . . niech Księciu zostanie
Lisiewicz dobrze znanym.

Lisiewicz

(*na stronie ocierając czoło*).

Lubi zalecanie.

Major.

Nie dosyć że pożytkiem, gdzie jakiebądź gody,
Żniwem mu jeszcze młodzian wyzwania i zgody.
Gdy się dwóch sprzeczać pocznie, co się często zdarza,
On pierwszy między nimi jeszcze gniew rozżarza,
I temu i tamtemu tyle szepce, plecie,

O urazie, honorze, o przykładach w świecie,
 (Gdzie nieraz już się bito o pół słowa prawie,
 Aby nie przypisano spokojność obawie),
 Póki radzi nieradzi z gniewem czy bez gniewu,
 Nie zabiorą się do krwi srogiego wylewu;
 Wtedy, jak wicher niesie między baby plotkę,
 Tu trzeźwi matkę, siostrę, tam pociesza ciotkę;
 A gdy wieść pojedynku po mieście rozgada,
 Powraca do młodzików i zgodę układa.
 Tak więc gdzie miała zostać srodze krew przelana,
 Kończy się na ostrzygach i koszu szampana.
 O, jakiejż sobie wtenczas nie zjedna zalety!
 Lisiewicz pod nieba wynoszą kobiety,
 Wszędzie proszon, bo pięknie rzecz tę opowiada,
In gratiam jednej kłótni, sześć obiadów zjada.
 Trąba często fałszywa każdego zdarzenia,
 Natręt wielki, tchórz większy, sługa, gdzie pieczenia,
 I gdzie lepiej zapłaca, intrygant do wzięcia:
 Oto Lisiewicz. Jestże przyjacielem Księcia?

Książę.

Ale na cóż, Majorze. . .

Lisiewicz (*trochę śmieje*).

Tak, na co . . .

Książę.

Ta mowa.

Lisiewicz (*śmieje*).

Ta mowa.

Książę.

Wiem o wszystkim, więc stracone słowa.

Lisiewicz (*coraz głośnie*).

Tak, Książę Pan wie wszystko. . .

(*zuchwale*)

A prawo stanowić. . .

Major*(tupa nogą i postępuje ku Lisiewiczowi).*

Ja tak chcę! tam do licha!

Lisiewicz*(cofając się z ukłonem, pokornie).*

A, a. . . proszę mówić.

(na stronie)

Wiedziałem, że tak będzie.

Major *(do Lisiewicza).*

Z tobą już skończyłem,

Teraz słówko do Księcia.

Lisiewicz *(na stronie).*

Diable się skłóciłem;

Nauczę ja go kiedyś, jak mnie trzeba cenić!

Major *(do Księcia).*

Wiesz Książę że osoba, z którą się chcesz żenić,

Zdawna Lubomirowi obiecaną była?

Że to ich familia zdawna ułożyła,

I że te dzieci miłość najściślejsza wiąże,

Którą teraz nie łatwo zerwać? wie to Książę?

Książę.

A ja się znowu spytam: ten ton co ma znaczyć?

Major.

O! to chcę i winienem jasno wytłómaczyć:

Słowo dane jest świętém, cudza własność świętą,

Tamto łamać, tę chwytać jest łotrom ponętą;

Ale człowiek uczciwy ściśle zważa na nie. . .

Lecz chcąc tłómaczyć, muszę powtórzyć pytanie,

Czy wiesz . . .

Lisiewicz.

Że z Księciem mówisz, zapominasz, widzę.

Major.

Człowieka w nim uważam, a z tytułów szydę;

Jeśli duszy nie zdobi prawej cnoty darem,
Ta wstęga i ta ranga tylko mu ciężarem.

Książę.

Mości Panie. . .

Major.

Bez gniewu.

Książę.

Za długo mu znoszę . . .

Major.

Bez gniewu, tam do licha!

Lisiewicz *(na stronie).*

Gadajże z nim proszę.

Major.

Więc widzę, z własnej woli, nie z podstępnej rady,
Sprawiasz smutek i zrywasz tak święte układy!

Mości Książę! dla wszystkich, jak kraju ustawa,

Tak dla wszystkich są równe i honoru prawa.

Lubomira od ciebie spotkała zniewaga,

Więc zadość uczynienia od ciebie wymaga.

(po krótkim milczeniu.)

Odstąp twego zamiaru, jeśli pragniesz zgody,

Chcesz zaś przy nim pozostać, bronią zmierz się wprzód.

Książę *(nieco pomieszany).*

Lecz . . . ale . . .

Lisiewicz.

Bić się z Księciem! Mospanie Majorze?

Major.

Tak, tak, strzelać się z Księciem, Mospanie faktorze.

Lisiewicz *(z zadziwieniem).*

Strzelać do Księcia!

Major.

Księstwo nie składa pancerza,

Kula w haft i siermięgę, zarówno uderza.

Lisiewicz *(na stronie).*

Czart, nie Major.

Major.

Wybieraj . . . czyń Książę dowoli.

Lisiewicz.

A ja, nim drugi przyjdzie, wymknę się powoli.

(Odchodzi.)

SCENA VI.

Książę, Major.

Książę

(po krótkim milczeniu z udanym uśmiechem).

Cóżto, czyśmy wrócili w te szalone wieki,
Gdzie płeć piękna wzywała rycerzów opieki?
Mamyż na Rosynantach, długa dzida w dłoni,
Zbijać karki po polu w miłosnej pogoni?
Albo też siłą barków, lub dzielnością ręki
Wysławiać swej kochanki przymioty i wdzięki?
A na końcu tych szaleństw, po odmiennym losie,
Śpiewać miłość i boje przy echa odgłosie?
Nie, nie; co to, to pozwól, mój luby Majorze,
Trudno, ażebyś całkiem odnowił w tej porze.

(śmieje się)

Major.

Tam do licha

Lisiewicz

(przebiegając w lewe drzwi przez scenę, do siebie).

Już idzie.

Książę

(śmiejąc się głośno z przymusem).

Tego brakowało.

(seryo ironicznie)

Wprawdzie dla Lubomira największą jest chwała

Ścierać się o dziewicę tyrana Geldhaba,
Ale dla mnie, jak sława, tak nagroda słaba.

(śmieje się odchodząc)

Geldhab *(we drzwiach).*

Gdzież Książę?

Książę.

Ha! precz *(śmiejąc się)*

Oto nowego masz zięcia.

(Wychodzi)

SCENA VII.

Major, Geldhab.

Geldhab.

Cóż to znaczy, mój Panie, rozgniewałeś Księcia?

Widzisz go! . . . to mi śmiałość i śmiałość nie lada.

(Chodzi prędko poprzód Majora, który stoi zamysłony)

Księcia gniewać... hm... gniewać... jak szalony wpada,
Moralność, cnotę, związek, mój honor obala...

Któżto w moim pałacu rządzić się pozwala?

Powtarzam, Lubomira próżne przedsięwzięcia,

A Florka nie forteca dla ciebie do wzięcia;

Zatém szturmuj gdzie indziej, szturmuj sobie wszędzie...

Major

(tupa nogą, Geldhab staje jak wryty).

A tam do licha! ciszej! pókiż tego będzie?

Milczę, tak mnie oburzył ten dumny niecnota,

A ten sobie rozpuścił w gębie kołowrota.

(Chodzi w gniewie poprzód Geldhaba, który stoi w miejscu; do siebie.)

Śmiać się, drwić, kiedy grzecznie... a! tego za wiele;

(w złości)

Księcia, i Lisiewicza i...

(staje przed Geldhabem)

ciebie zastrzele.

Geldhab (*przestraszony*).

Mój Majorciu, Majorciu, siadaj, (*daje krzesło*)
gniew ci szkodzi ...

Siadaj, Majorciu, powiedz, o co, o co chodzi?

Major (*do siebie, chodząc*).

Rosynant, nie Rosynant, w dobrym czy złym losie,
Ale ty, Mości Książę, oberwiesz po nosie!

Geldhab (*na stronie, z zadziwieniem*).

Książę po nosie!

Major.

Słuchaj, oddawna cię znałem

(*za każdym słowem Geldhab się kłania.*)

Z rozsądkiem, z sercem, głową; lecz się oszukałem,
Jesteś chciwy, nieczuły, w uczciwości... różny,
Jesteś próżny.

Geldhab.

Nie, ale...

Major.

Tam do licha, próżny!

(*Geldhab skłania głowę, jakby przystawał na to.*)

Bo na cóżbyś dla córki sklejał związek nowy,
Gdyby ci tytuł Księcia nie zawrócił głowy?
Myślisz, że po tym kroku zapomną w Warszawie
Tę mąkę... hm?... ten owies w ostatniej przystawie,
Co to zgnięły... rozumiesz? każdy to pamięta;
Jakże w świecie ty będziesz, jak córka przyjęta?
A jeśli ona dumę równą twej posiada,
Ręczę, widzieć cię w domu, że nie będzie rada;
Wnuki, coby twych późnych lat pociechą były,
Teraz Książęta, będą dziada się wstydyli;
Bo ty siebie nie zmienisz oświeconym zięciem,
Geldhab będzie Geldhabem, a Książę Książęciem.

Geldhab.

Córka mnie bardzo kocha, on wielce poważa.

Major.

Ech, bajki, on drwi z ciebie, a szkatułkę zważa.
 Już dosyć jesteś starym, i mógłbyś już wiedzieć,
 Że panowie zwyczajni na dwóch stołkach siedzieć;
 Więc twój Książę Jegomość pełen dobrej chęci,
 Gdy lepszy związek ujrzy, może jeszcze skreśli,
 Nareszcie o twém szczęściu niech nie będzie mowa,
 Lecz któż cię, tam do licha, uwolnił od słowa?

Geldhab (*pomieszany*).

Musiałem...

Major.

Co, co pleciesz, chciej się zastanowić.

Geldhab.

Namowa...

Major.

He?

Geldhab.

Przypadkiem...

Major (*z ironią*).

Dałeś się namówić.

Geldhab.

Niby, tak; raz Lisiewicz, tak mnie...

Major.

Zbałamucił.

Geldhab.

Nie, lecz słowo...

Major.

Podchwycił i na złe obrócił:

Podszedł cię zdradą?

Geldhab.

Ale...

Major.

Poczekajno drabie!

Kiedy tak, daj, daj rękę: (*wstrząsa mocno*)

nie bój się Geldhabie.

(*Wstrząsa kilka razy ręką Geldhaba.*)

Nie bój się! dobrze będzie; zrobimy to snadnie.

(odchodząc)

O, drwinkami nie wyjdzie, kto mi w ręce wpadnie.

SCENA VIII.

Geldhab *(sam).*

Cóż teraz... o dla Boga! cóż czynić potrzeba?

(chodzi)

Zastrzele, mówił... Florka... nos Księcia... o nieba!

(po krótkim myśleniu)

Żeby jak... hej, jest tam kto?... lecz cóż zrobić mogę?

Ha!... będę komendanta prosił o załogę.

(Siada i pisze. Kładzie pióro.)

Cóż potem? wszak on Major, a to będzie żołnierz,

Jeszcze mu za broń weźmie, gdy mi ściśnie kołnierz,

A jak mu w ręce wpadnę, to już po mnie będzie.

(po krótkim myśleniu)

Gdybym jak... ha, tak dobrze; drzwi niech zamkną
wszędzie.

Jest tam kto?... hej!... dokoła zamknąć, zatasować;

Hej, liberya moja! niema co żartować.

(Ze wszystkich stron zbiegają się służący.)

SCENA IX.

Geldhab, Flora, Lokaje, Kobiety.

Flora.

O nieba! cóż się dzieje?

Geldhab

(chodząc i nie widząc nikogo).

Niech strzela do bramy...

Ja się schowam... jest tam kto?

Lokaj.

Już dawno czekamy.

Geldhab.

A, jesteście... ty, Florko, zamknij się w pokoju,
Muszę wszystko w tej chwili urządzić do boju.

Flora.

Jednak...

Geldhab.Idź, idź. *(Flora sama odchodzi.)*

S C E N A X.

Geldhab, Lokaje, Kobiety.**Geldhab.**

Potrafię tę chmurę oddalić.

Jest tam kto? *(postrzegając)*

A... drzwi wielkie zamknąć i zawalić.

(pokazuje)

Bierzcie krzesła, kanapy, książki, graty... baby!

*(Lokaje biorą sprzęty.)**(Po krótkim milczeniu.)*

Cóż z tego... czekać!

(krzycząc) czekać!*(do siebie)* wszystko odpór słaby...

Jak wrzaśnie: tam do licha! nie dostać nie może.

Liberya moja, precz! *(siada zmęczony)*

Cóż robić, o Boże!

(Lokaje i kobiety odchodzą.)

S C E N A XI.

Geldhab, Lisiewicz.**Lisiewicz** *(pokazując głowę).*

Jest Major?

Geldhab.

Niema.

Lisiewicz.

Pewnie?

Geldhab.

Niema, mówię, niema.

Lisiewicz*(wchodząc i obzierając się wkoło).*Ma szczęście, że już poszedł, *(chodzi prędko)*

mnie nikt nie dotrzyma;

Bo jak w złość wpadnę... to... to... Trzeba słyszeć było
Jakoś się tu starli, aż wspomnieć nie było.**Geldhab** *(wstaje i słucha).*

Pst!... pono idzie.

Lisiewicz*(biegnąc ku drzwiom przeciwnym).*

Pójdę...

Geldhab *(siadając).*

Nie, to wiatr zaszumiał.

Lisiewicz.Ma szczęście że nie przyszedł; lecz on rzecz zrozumiał:
Ze mną niema żarcików!**Geldhab.**

Z nim także, mój panie.

U niego się wyrębać, jak nam zjeść śniadanie;

Już on tutaj w Warszawie nie jednego zucha

Należycie naznaczył od ucha do ucha;

Albo na pistolety... aż mnie dreszcz przechodzi:

Kiedy wyzwie, to w sam łeb, lub w serce ugodzi,

Nie wyzywaj go! jutra nie dałby ci dożyć.

Lisiewicz.

Zabije?

Geldhab.

Jak bekasa.

(Lisiewicz kiwa głową nie dowierzając.)

No, chcesz się założyć?

Lisiewicz.

A, nie chcę!

Geldhab.

Tak, dla próby.

Lisiewicz.

Czyś Waćpan szalony!

Geldhab.

Wygrałbym, bo jak strzela, jestem zapewniony:

Raz tu przypadkiem strzelił, jednakże nie chybił,

Jak wyrznął! *(pokazując)*

W same okno, i dwie szyby wybił.

Lisiewicz.

Fraszki.

Geldhab.

Nic się nie boisz?

Lisiewicz.

Nie.

Geldhab.

Wcale?

Lisiewicz.

Nic wcale.

Geldhab.

A kiedy tak, więc dobrze, przednio, doskonale.

Słuchajże przyjacielu: ten major przekłety,

Na mnie, ciebie i Księcia okropnie zawzięty,

Trzeba się bić, lub milczeć, chcąc przywrócić zgodę;

Zatém zrób nam tę grzeczność i wielką wygodę,

Strzelaj się za nas wszystkich, powiem żeś ty winny...

Lisiewicz.

Nie, nie...

Geldhab.

Proszę cię.

Lisiewicz.

Nie chcę, nie; mam projekt inny...

(myśląc mówi pomalutku)

Dobrze można.. rzecz... skończyć, i bez krwi wylewu...

Trzeba, żebyście z Księciem nie bojąc się gniewu,

Wpadli z góry na niego. Powiedzcie mu śmiało,

Że nie chcecie odmieniać, co się raz już stało;

Że twoja córka Księżną musi być koniecznie.

Tylko z nim żwawo, huczno, nawet i niegrzecznie,

A on sam zaraz będzie załatwiał tę zwałę.

Tylko krzyczcie...

Geldhab.

A Waćpan?

Lisiewicz.

Ja na wieś pojadę.

Geldhab.

Tak? Waćpan widzę śmiały do dawania rady;

Lecz taką rzeczą nasze pieniężne układy...

Lisiewicz.

Jakto, mógłbyś je znosić? czyjażeto głowa

Pierwszy projekt wydała? czyjażeto mowa

Księcia nam zniewoliła? Całemi godziny

Chwaliłem mu twe cnoty i twojej rodziny,

Aż nieraz głosu brakło. I za te staranie

Takaż nagroda? taka...

Geldhab.

Ale mój Mospanie,

Chciejże sobie rozważyć, za cóż ja mam płacić,

I razem córkę, Księcia i pieniądze tracić?

Lisiewicz.

Wszak jeszcze nie stracona.

Geldhab.

Tém lepiej, lecz rada...

Lisiewicz.

Innej poszukać teraz, i działać wypada,
Chodźmy do Księcia, niechaj z komendantem mówi.

Geldhab.

Niech idzie do senatu, niech senat stanowi.

Lisiewicz.

Ten poradzi...

Geldhab.

Rozstrzygnie...

Lisiewicz.

W najkrótszym sposobie.

Geldhab.

Wszak to napaść...

Lisiewicz.

Obelga na mojej osobie.

Geldhab.

Gwałt względem mojej córki.

Lisiewicz.

To mniejsza, lecz przecie...

Geldhab.

Ale nie mniejsza, proszę...

Lisiewicz.

Któż słyszał na świecie,

Ażeby jeden major...

Geldhab.

Śmiał mój dom szturmować!

Lisiewicz.

Łajać!

Geldhab.

Grozić!

Lisiewicz.

Chcieć strzelać!

Geldhab.

Rozbijać!

Lisiewicz.

Rabować!

Geldhab.

Chodźmy.

Lisiewicz.

Chodźmy.

Geldhab.

Zobaczy, z Księciem jaka sprawa.

Lisiewicz.

Jutro Pana Majora nie ujrzy Warszawa.

(przytrzymując Geldhaba)

Jednak mnie przestrzeż, jeśli zoczysz go z daleka;
Chcę unikać, bom w złości, a szkoda człowieka.

A K T III.

SCENA I.

Flora, Lubomir.

(Flora siedzi przy stoliku, przegląda książkę i odpowiada nie patrząc na Lubomira.)

Lubomir.

Wybacz, Pani, że jeszcze do ciebie przychodzę,
Nie skarżyć się, już serca nadzieją nie zwodzę;
Lecz oznajmić, niestety! że pełniąc twą wolę,
Spełniłem szczęście Księcia i moją niedolę.

Flora.

Dziękuję.

Lubomir.

Zapewniłem go, że z mojej strony,
Zamiar związku waszego nie będzie burzony.

Flora.

Spodziewam się.

Lubomir.

I owszem, gdy znam chęci twoje,
Odwracać od nich będę troski, niepokoje.

Flora.

Dziękuję.

Lubomir.

Gdybym dawniej przewidzieć był w stanie,
Nie byłbym ojca twego odrzucał żądanie;
Nie byłbym go na spory niemiłe wystawił,
A tobie mém przybyciem tyle zmartwień sprawił.
Bądź spokojną, szczęśliwą, kochaj Rodosława,
Innego nie chcę szukać nad twą miłość prawa,

Gdy tę tracę, cóż znaczy twych obietnic siła?
Pocóż masz jej ulegać, gdyś serce zmieniła?
Dziś jeszcze moją duszę łudziłem przyjemnie,
Że gdy cię tracąc cierpię, ty cierpisz wzajemnie.
Mówiłem z twoim ojcem w zbytecznym zapale,
Gdyż myśl o twoich, moje podwajała żale;
I gdym groźby używał w ostatniej potrzebie,
Pamiętałem o tobie, zapomniałem siebie.
Ach! pochlebiałem sobie twą miłością stałą;
Kochałem cię nad siły, myśląc że za mało,
Że ty jeszcze... Lecz dosyć, niech ci los życzliwy,
Ile pragnę, da rokosz a będę szczęśliwy;
Jednak smutne przeczucie...

Flora.

Ach, nie wróćmy, proszę,
Do uwag raz skończonych; troski czy rokosze,
Szczęście czy też niedola, będą mym udziałem,
Nie troszcz się, wiem co czynię.

Lubomir.

Gniewać cię nie chciałem;
Ale twój wzrok oziębły srodze czuć mi daje,
Że ci moja rozmowa natrętną się staje.
Czyś się nawet przyjaźni wyrzekła już teraz,
I najpierwszej miłości przysięganej nieraz,
Czyż ci nawet niemiłe i samo wspomnienie?

Flora (z ironią).

Zająć się nim nie mogę, chociaż wielce cenię.

Lubomir.

Ach! czemuż ciebie tracąc, siły nie mam tyle!
O, jakże was zapomnieć szczęścia drogie chwile?
Jak pysznym mi się zdawał, jak pięknym świat cały,
Uciecha, rokosz dla mnie we wszystkiem jaśniały;

Com widział, słyszał, uczuł, gdzie mnie myśl wabiła,
Wszystko miłość tajemna wdziękiem swym stroiła.
Dopiero przy rozstaniu czucie me poznałem,
Wahać się było wstydem, lecz ileż cierpieiałem!
Tu mnie miłość pociąga, tam ojczyzna woła;
Lecz na jej głos, kto Polak, któż się oprzeć zdoła?
Poszedłem, a gdym walczył z wrogiem i przygodą,
Miłość twa zachęceniem była i nagrodą;
Gdym krzyż otrzymał, nawet gdym odebrał ranę,
Pierwszą miał myśl, że ciebie godniejszym się stanę.
Wszystkom znosił cierpliwie nadziei oddany,
Bom cię kochał i byłem, ach! byłem kochany!
Wróciłem... ciebie... ojca... Ach! Floro, tę chwilę
Mogłażes ty zapomnieć?

Flora.

Na cóż jęków tyle?

Nie skarżyć się przychodzę, wszak mówiłeś przecie,
Zresztą głuche na skargi jest Cytery dziecię,
A te żale, rozpacz w miłosnym zawodzie,
Piękne są w elegii, trenach lub też odzie.
Wtedy w wierszach wzgląd mając na muzy natchnienia,
Dla układu czułego, myśli uniesienia,
Poetycznych obrazów i ważności dzieła,
Nawet straszne przekleństwa możebym przyjęła;
Ale tak, wierz mi Waćpan, w zwyczajnej rozmowie
Skargi męczą i nudzą.

Lubomir.

Już ich nie ponowię,

I wybac mi tą razą; czas przeszły w pamięci,
Mówiłem co uczulem, mimo własnej chęci.
Jednak słuchaj mnie jeszcze: nie zazdrość zdradliwa,
Nie nadzieja mnie wiedzie, lecz przyjaźń troskliwa;
Odmów Księciu, by szczęście nadal ci służyło.

Flora.

Nadto tej troskliwości i nadto jej było,
Wszystko z tej troskliwości nieszczernej wypływa:
Z troskliwości nas nudzisz, a major wyżywa.
Lepiej było pozostać w swych kolegów gronie,
Ścigać w puszczy niedźwiedzie i ujeżdżać konie;
Tam major silniejszego znalazłby atletę,
Niż starca, Lisiewicza i słabą kobietę.
Tam mógłby godnej siebie Pan Major dojść sławy,
Potém na łonie Bacha spoczywać z wyprawy;
I Waćpan, pilny uczeń swojego Mentora,
Mógłbyś z czasem z słabemi udawać Hektora.

Lubomir.

Co słyszę? Floro! jakież...

Flora.

Lepiej było zostać,
Niż zmieniać naszą ciszę na Erebu postać;
I gdy już nie pomogło ni straszyć, ni prosić,
Heroicznej miłości poświęcenia głosić.

Lubomir.

Na gniew czyż zasłużyłem?

Flora.

Kto nudzi czas długi,
Na mój gniew sprawiedliwy ma dosyć zasługi.

Lubomir.

Ja ciebie nie poznaję...

Flora.

Ach, proszę w tej dobie,
Zapomnijmy o dawnym mówienia sposobie;
Poufałości z sobą nie miejmy za wiele,
Myśląc o wzrastającym pośród nas przedziele.

Lubomir.

Niszczysz miłość ku sobie, zostawże szacunek.

Flora.

Dla wielkich w dostojenstwie najmniejszy frasunek;
O moje teraz łaskę świat będzie się starać,
Moim wzrokiem nagradzać potrafię i karać,
Szacunek szlachty panom jest winną daniną,
A ich złość i obmowa pośród wzgardy giną.

Lubomir.

Tak? nie mam co powiedzieć, ten sposób myślenia
Zadziwia mnie, oświeca, razem czucie zmienia.

Flora.

Zatém związek zerwany?...

Lubomir.

Za twą łaskę liczę;
Żegnam cię więc, żałuję, jednak szczęścia życzę.

(*odchodzi*)

S C E N A II.

Flora (*sama*).

Straszna rozpacz nim miota, zazdrość go pożera,
Ale wszak on nie pierwszy z miłości umiera;
Darmo wszystkich nagradzać darem naszej ręki,
Których często powabne zniewalają wdzięki.

(*po krótkim milczeniu*)

Wprawdzie dawnemi czasy lubiłam go nieco,
Lecz zwykle nasze gusta z godzinami lecą;
Co wczoraj było pięknem, dziś brzydkim być może,
Mamże dla dawnej woni, zwiędłą nosić różę?
Nareszcie co za śmieszna i razem myśl płocha,
Odmawiać rękę Księżciu, że Lubomir kocha?

(po krótkim milczeniu)

Ach, Jaśnie Oświeconą gdy wkrótce zostanę,
Jakież szczęście mojemu będzie porównane!

Ileż dla mnie radości i sławy nie będzie?

(Idzie do drzwi, powraca i co mówi, wykonywa.)

Wchodzę... wszystko się wzrusza... wszyscy stoją w rzę-
dzie,

Księżna Pani przychodzi! mocny szmer powstaje,

Księżna, Księżna! ten temu do ucha podaje,

Każdy zaraz się kłania, a ja? ja, nikomu.

Ide dalej... wzrok w górę... witam panią domu,

Kilka innych wachlarzem, i czém prędzej łapię

Nawiasem spostrzeżone miejsce na kanapie; *(siada)*

Wtedy sunąc szkło z góry, brzeg na brwiach opieram,

I powoli na koło z uwagą pozieram;

Każdy już niecierpliwy, czy mu wzgląd oznaczę,

Sześć razy mi się kłania, nim go raz zobaczę.

(wstaje)

Takato jest moc Księstwa! Ja zaś z mojej strony,

(Geldhab wchodzi, czytając list)

Podług rangi każdego wymierzam ukłony.

S C E N A III.

Flora, Geldhab *(nie widząc się).*

Flora.

Które także dla kobiet na stopnie podzielę.

Na przykład: *(kłania się, tyłem obrócona do ojca)*

Geldhab

(czytając list, tyłem obrócony do Flory).

Ach! *(kłania się)*

Ach! *(kłania się)*

Flora *(zawsze się kłania).*

Albo!

Geldhab *(kłania się).*

To łaski za wiele.

(kończy list głośno)

„Do nóg upadam. Książę.“ *(kłania się)*

A, bardzo dziękuję.

Flora *(nizko się kłania).*

Nareszcie czasem.

(Powtórnie kłania się; obraca się ku ojcu.)

Geldhab

(składając list, obraca się z ukłonem do Flory, i mówi do siebie).

Mości Książę! wielce czuję...

(postrzegając się; czas krótki zadziwienia)

Ach Florko, czytaj, *(całuje ją)*

czytaj... jak ci się *(daje list)*

podoba?

Lokaj.

Pan Piórko.

Geldhab.

Prosić, prosić.

(do siebie) To wielka osoba.

(do Flory)

Idź do siebie, ciesz się, ciesz, wszystko już skończono,

I w dni kilka powitam Jaśnie Oświeconą.

(patrzac za nią)

Księżna, Księżna, jak ulał... córeczka kochana!

(Flora odchodzi)

SCENA IV.

Geldhab, Piórko.

Piórko.

Do nóg pańskich upadam.

Geldhab.

A witam Waćpana;

Hej! liberya moja! hej! (*Lokaje ubiegają*)

Krzesel łajdaki!

Piórko.

Cóż za rozkaz...

Geldhab*(daje znak lokajom, aby wyszli, potem sadza Piórka i sam siada mówiąc).*

Siadajmy, interes jest taki:

Chciałbym mieć rys pokoleń mojego imienia,
 Niby drzewo wyrasta z rycerza ramienia;
 Z tego pięknie wyrosłe, różne mając związki,
 Niechaj idą gałęzie, a z tychże gałązki;
 A z pnia najprościejszego jedna w samej górze,
 Niechaj będzie ja. Wszystko na jasnym lazurze...

Piórko.

Już, już wiem, lecz papiery...

Geldhab (*dając sakiewkę*).

To są, reszta w głowie.

Piórko.

Rozumiem, łatwo znajde, mam nawet w połowie.

Geldhab.

Kto historią umie ten wzorów dostanie.
 Powiesz w notach, naprzykład... naprzykład, mój panie:
 Że pierwszy Geldhab sławny dzieły wojennemi,
 Wraz z Henrykiem Walezym z szwedzkiej przybył ziemi;
 Potem, że... za... Jagiełłów przez czas bardzo długi,
 Wielkie zawsze ojczyźnie czynili usługi...
 Lecz gdy... Krakus świętego zabił Stanisława,
 Wraz z nim, Geldhabów rzymskie wypędziły prawa.

Piórko (*z ironią*).

Pan umie historią.

Geldhab (*z uśmiechem*).

Ha! widziałeś z mowy.

(*przypomniawszy sobie*)

A jeszcze, proszę zważać, by konar środkowy,
Na którym ja wyraźnie w samym będę szczycie,
Wszystkie inne przechodził w honorów zaszczycie;
Włóż kilku wojewodów i kilku hetmanów,
Kanclerzy choć ze czterech, z parę kasztelanów,
I biskupów... ze sześciu, zresztą jak wypadnie;
Rób jak chcesz, byle było zrobione dokładnie.

Piórko.

Rozkaz pański wypełnię; lecz wcześniej powiadam,
Że temu rysunkowi ważności nie nadam;
Ten poczet senatorów nic nie znaczy wcale,
Jeśli innych dowodów...

Geldhab.

Wiem to doskonale;

Lecz z czasem, gdy zapomną, a ja natrę śmieie,
Będęż mógł zostać Hrabią?

Piórko.

Trudności za wiele.

Geldhab.

Baronem?

Piórko.

Wątpię.

Geldhab.

Niczém? (*Piórko wzrusza ramionami*)

No, to Szambelanem?

Piórko.

Nie wiem; może nareszcie, będąc wielkim panem...

(*rusza sakiewką*)

Geldhab (*wstając*).

Jakoś to... ale, ale; czy wiesz, panie Piórko,
Że się Książę Rodosław żeni z moją córką?

Piórko.

Słyszałem.

Geldhab.

I to pewnie, kontrakt ułożony.
 Powiedz to w mieście... bądź zdrów.

Piórko.

Sługa uniżony.

(odchodzi)

SCENA IV.

Geldhab *(sam).*

O, szczęśliwy Geldhabie! szczęśliwy człowieku!
 O, najszczęśliwszy panie w dziewiętnastym wieku!
(po krótkim milczeniu, zacierając ręce z radością)
 Ode mnie na dół idąc całe pokolenie,
 Będzie już mitrę nosić, mieć Księstwa znaczenie.
 W górę przodków mi brakło, wkrótce ich dostanę;
 I jak dla równowagi na pośrodku stanę;
 Śmiało się teraz Geldhab pokaże przed światem,
 Gdy na dół i do góry zostanie magnatem.
 O, szczęście!... córka Księżna, a mój zięć Książęciem,
 Ja teściem Księcia, Książę, Księżna mém dziecięciem;
 A wnuczki moje, lubie wnuczki i wnuczęta,
 Wszystko to będzie, wszystko Księżniczki, Książęta;
 Zatem...

(biegnie do okna)

Ktoś wjechał, Książę... znam turkot karety,
 Florko! Florko!... on pewnie... Florko!... te kobiety...

SCENA VI.

Geldhab, Flora.**Flora.**

Przebóg, cóż znowu...

Geldhab.

Książę.

Flora *(po krótkim milczeniu).*

Zawsze się tak strwożę.

Czego tak krzyżeć... Książę czy czekać nie może?

S C E N A VII.

Geldhab, Flora, Major, Lisiewicz.**Major** *(jeszcze za drzwiami).*

Marsz; tam do licha!

Lisiewicz*(ciągnięty od Majora bez kapelusza, laski i trzewika; które wkrótce lokaj wnosi i oddaje).*

Nieba! za cóż mnie karzecie!

(do Majora prosząc)

Puść...

Major*(stawiając go przed Geldhabem).*

Stój! w prawo! równaj się!

Geldhab*(do Lisiewicza cicho).*

Dopadłeś go przecie?

Major.Tu, do oczów niech jeden drugiemu dowodzi,
Który z was obu kłamie, i który mnie zwodzi.*(po krótkim milczeniu)*

Milczycie?

Geldhab *(pomieszany).*

Cóż mam mówić?

Lisiewicz.

Ze mnie dech ucieka.

Flora *(do Majora).*

Dopókiż...

Major.

Już, już kończę, niech panna zaczeka.

Flora (*z niecierpliwością*).

Ja nie chcę...

Major.

Wiem, wiem, zaraz odprowadzę też Księcia.

Flora (*w gniewie*).

Ależ...

Major.

Ach, bądź spokojna, znam sztukę ujęcia.

Flora (*na stronie*).

Cóż gadać z tym dragonem? Gdybym się nie bała,
Zarazbym mu, niestety! oczy wydrapała.

Major.

Nic się więc już nie dowiem?

Lisiewicz.

Ach, luby Majorze,

Proszę cię, błagam, błagam w największej pokorze,
Puść mnie ztąd, wszak pan Geldhab...

Geldhab.

Na cóż na mnie składać?

Lisiewicz.

Jednak...

Geldhab.

Zważaj...

Lisiewicz.

Lecz...

Geldhab.

Pozwól...

Obydwa (*razem*).

Ach, dajże mi gadać.

Major.

Ech, tam do licha, ciszej!

Flora (*zatykając uszy*).

Co za krzyk, o nieba!

SCENA VIII.

Geldhab, Flora, Major, Lisiewicz, Lubomir.

Lisiewicz.

Lubomir! Ach Geldhabie, umierać potrzeba!

Lubomir (*do Majora*).

Znajduję cię nareszcie, drogi przyjacielu,
Niepotrzebnieś mi służył wśród przykrości wielu.
Nadzieja mnie zawiodła, wszystko się odmienia,
Spadła z oczu zasłona i znikły marzenia.
Flora blaskiem znikomym znaczenia ujęta,
Odrzuca stałą miłość, przysięg nie pamięta.
Chociaż me serce wzgardę nader wielce czuje,
Jednak nad jej zbłąkaniem więcej się lituję;
Bo gdzie przyszłość oparta na wielkości chwale,
Tam krótka bywa rokosz, a zbyt długie żale.
Lecz na cóż raz wzgardzone powtarzam uwagi?

Major.

Nasze zatém staranie...

Lubomir.

Niema żadnej wagi,
Gdy ulega mniej ojca, niż swej własnej woli.

Flora

(*kłania się bardzo nisko z ironią Majorowi*).

Nieinaczej.

Geldhab

(*kłania się Majorowi*).

Do usług.

Lisiewicz (*na stronie*).

Ostygam powoli.

Major

(po krótkim milczeniu).

Moja Panno!

Lubomir *(prosząc).*

Majorze...

Flora.

Czy nowe wyzwanie?

Major.

Nie; prawdy trochę.

Lubomir *(do Majora).*

Proszę...

Flora.

Słucham ją, mój Panie.

Lubomir *(do Majora).*

Nie zacznij...

Major *(do Lubomira).*

Grzecznie powiem.

(po krótkim milczeniu, do Flory)

Tam do licha! proszę...

Lubomir.

Majorze!

Flora.

Waćpan nie wiesz, z tych kilku słów wnoszę,
 Że chcąc żyć w świecie, nie dość prawdami szafować,
 Nie dość być strasznym, trzeba płeć piękną szanować.
 Słabość jest naszym działem, naszą bronią wdzięki;
 Lecz te oreź nie z jednej wytrąciły ręki.
 Nie zmieniaj Waćpan prawa, które niebo daje,
 Nam w miłości rozstrzygać, wam błagać przystaje.
 W pięknym czuciu serc naszych przymus nie jest znany,
 I musi być podległym, kto chce być kochanym.
 Jeśli na to Pan Major ma co odpowiedzieć,
 Słucham.

Lisiewicz *(na stronie).*

Śmiało na honor!

Flora *(po krótkim milczeniu).*

Prawdę będę wiedzieć?

Major.

Już szanując płeć piękną milczeć mi wypada;
Wiem oraz, że rozsądnie nikt ją nie przegada.

(kłania się)

Flora

(urazona, obraca się od niego).

Grzecznie!

Major

(biorąc na stronę Lubomira).

Wolę być grzecznym i ustąpić trochę,
Zresztą nic też dziwnego, że kobiety płocze.

SCENA IX.

Ciż sami i Książę.

Książę.

Że wszystkich tu zastaje najmocniej się cieszę,
Tém bardziej, gdy z pomyślném oświadczeniem śpieszę;
Pomyślném

(do Lubomira)

dla Rotmistrza

(do Flory)

i dla ciebie Pani,

Coście z dawna kochali i byli kochani;

Ja zaś, lubo mém dziełem *(z udanym żalem)*

srodze szarpie duszę,

Lecz honor rozkazuje, wypełnić je muszę.

(po krótkim milczeniu)

Nie wiedziałem jak silna miłość wami włada,

Gdy mnie dzisiaj Majora oświeciła rada.

Zrazu myślałem, jakiej uchwycić się strony,
 Wahałem się, nadzieją przyjemną łudzony:
 Może on ją zapomni, ona mnie pokocha;
 Lecz wnet honor przemówił, umilkła chęć płocha.

(po krótkim milczeniu)

A do tego wiadomość odbieram od brata,
 Że ciotka ukochana zeszła z tego świata,
 I mnie dała majątek, niestety! po sobie.
 Zatem czas, który trzeba poświęcić żałobie,
 Smutek, powinność, rozum, ważne zatrudnienia,
 Wszystko dzisiaj dawniejsze zamiary odmienia;
 Chcę więc je odwołując, prawo moje stracić,

(do Lubomira)

I chociaż w małej części tobie się wypłacić.
 Tyś mi poświęcił miłość, w niej szczęścia zasady,
 Ja ci tylko poświęcam przyjemne układy.
 Bądź kochanym, szczęśliwym, to ci szczerze życzę,
 I pozwól niech cię w rzędzie przyjaciół policzę.

(do Majora wstrząsając mu rękę)

Majorze, z nami zgoda.

(do Flory)

Ty, serca powabie,

Floro! żegnam cię, żegnam!

(kłaniając się)

Bywaj zdrów Geldhabie!

(odchodzi)

Major

(przytrzymując Lisiewicza).

Dokąd, dokąd Mospanie? prosim na wesele.

Lisiewicz.

Ach do nóżek upadam, honoru za wiele.

(odchodzi)

S C E N A X.

Geldhab, Flora, Major, Lubomir.

*(długie milczenie)***Major** *(do Geldhaba).*

Jakże, Książę... hm ... kocha, wielce cię poważa,
Nie chce zwiększyć majątek, lecz zaszczyt pomnaża!

(śmieje się)

Być teściem Księcia, Księcia! ach, jak to przyjemnie;
Lecz nie chcę się naśmiewać, boś słabszy odemnie.

Geldhab*(do Flory po krótkim milczeniu).*

Cóż Florko! he?

(wskazując głową)

Lubomir?...

*(Flora daje znak głową potwierdzając)***Major***(spoglądając na Florę i Lubomira).*

Z wszystkiego więc wnoszę...

Geldhab.

Co się dotąd zdarzyło, zapomnijmy, proszę,
Lepiej szukajmy szczęścia w dawnym przedsięwzięciu;
Lubomirze, pozwalam, bierz Florę po Księciu.

Major.

Szczęść Boże, tam do licha!

Lubomir.

Nie, w jej duszy zmianie,
Uczynić ją szczęśliwą nie byłbym już w stanie.

(do Flory)

Kochałem cię zbyt stale, bo cię inną znałem,
Dziś twój sposób myślenia jest naszym przedziałem.
Szczęścia twojego pragnę, dar twej ręki cenię,
Lecz biorąc go, rozsądnych zamiarów nie zmienię.

(kłania się z wielkim uszanowaniem i odchodzi)

Major

(wysłuchawszy z wielką uwagą).

Dobrze! Takato dumy zwykła jest zapłata,
Nadzieje zawsze próżne i wzgarda u świata.

(do Geldhaba)

Nadtoś myślał o księstwie, gdy Książę o groszu,
Tak osiadłeś na łodzie, a Panna na koszu.

CUDZOZIEMCZYNA.

KOMEDYA

WE TRZECH AKTACH, WIERSZEM.

Kto wielu naśladowe, cudzego nie dojdzie,
a swoje pomiesza.

And. Max. Fredro.

O S O B Y:

RADOST.

ZOFIA, córka Radosta.

HRABINA JULIA, wdowa w średnim wieku.

ZDZISŁAW, brat młodszy Hrabiny.

ASTOLF.

ETIENNE, kamerdyner Astolfa.

JAKUB, stary sługa w domu Radosta.

EKONOM i KILKU SŁUŻĄCYCH Radosta.

Scena na wsi, w domu Radosta.

CUDZOZIEMCZYNA.

A K T I.

Scena wystawia pokój dobrze umeblowany; po prawej stronie stół, na którym leżą damskie robótki; kilka krzeseł.

S C E N A I.

Julia, Zdzisław.

Julia.

(kładąc robotę i wstając od stołu).

Nie, nie, Panie Zdzisławie, nie będę milczała,
Dzisiaj wydać się musi tajemnica cała.

Zdzisław.

Ależ, kochana siostro...

Julia.

Nie, ścierpieć nie mogę,
Ażeby kto do szczęścia sam utrudniał drogę,
I to przez jakieś śmieszne, niedorzeczne myśli.

Zdzisław.

Każdy sobie inaczej drogę szczęścia kręśli.

Julia.

Dopókim zostawała w niezachwianej wierze,
Że prawdziwej swobody chcesz i szukasz szczerze,
Chociaż zawsze otwartość w każdej sprawie wolę,
Przybyłam tu w sąsiedztwo, wzięłam daną rolę.

Lecz dziś widząc, że właśnie, co kryjesz w uporze,
Zyskać rękę Zofii, zjednać ojca może,
Mamże milczeć? sam rozważ.

Zdzisław.

Lecz powtarzam jeszcze,
W dotrwanii tajemnicy szczęście moje mieszczę.

Julia.

Kiedy tak, to rób co chcesz, przeszkód ci nie kładę,
Ale każę zajechać, wsiadę i pojedę.

Zdzisław.

Może długo, niestety, i ja nie zostanę;
Ależ ostatnie słowo jeszcze mi nie dane.

Julia.

Wszak przyjęcie Astolfa za odpowiedź służy.

Zdzisław.

Wprawdzie nie mi dobrego dotychczas nie wróży;
Lecz Zofii tak prędko wyrzec się nie mogę,
I źle czy dobrze, skończę przedsięwziętą drogę.

Julia.

Bądź zdrow.

Zdzisław.

Dobra Julio, posłuchaj mię trochę;
Poznasz, że myśli moje nie są tak zbyt płóche:
Kiedy już kilkoletnią podróżą strudzony
W miłe swoje nareszcie powróciłem strony,
Kiedy już ostygł zapał tej radości czystej,
Którą nas poi widok zagrody ojczystej,
Doznałem w krótkim czasie, że ta wolność nasza,
Która się tak okropnie małżeństwem zastrasza,
Która nad wszelkie dobro najdroższą się zdaje,
Wcześniej czy później trochę ciężarem zostaje.
Trzeba mieć swoich działań przyczyny nadane,
Trzeba nosić i więzy, lecz więzy różane,

Coraz nowych nadziei nie słuchać już głosu,
I jeśli nie swobodę, znaleźć zakres losu.

Julia.

Pisałam ci wyraźnie...

Zdzisław.

List przerwał dumanie.

Opis Radosta domu, o Zofii zdanie,
Którą bardzo chwaliłaś, lecz jednak za mało,
Wszystko z mojem życzeniem zgodnem się być zdało.
Lecz wstrzymawszy się w mieście, muszę wyznać
szczerze,

Nie bardzo miłe wieści zbierałem w tej mierze:
„Radost, a! stary Radost“ każdy się odzywa,
„Niezbyt to głowa tęga, lecz dusza pocziwa,
„Najlepszy Polak w sercu, i jak taki słynie,
„Lecz dziś cudzoziemczyzną oddycha jedynie:
„Zrzucił kontusz, pas, czapkę, przywdział modne stroje,
„Zmienił siebie, dom, sługi, nawet wioski swoje;
„Uczy się w dzień i w nocy, nie cudzych języków,
„Lecz tylko słów urywczych, próżnych wykrzykników;
„Słowem, co cudze, modne, to tylko ma w względzie.
„Ten, kto nie zna jak Polskę, źle przyjętym będzie,
„Lecz kto prawi o Rzymie, Paryżu, Londynie,
„Radosta przyjacielem zostaje w godzinie.“

Julia.

Powziąwszy takie wieści, każdy pewnie zgadnie,
Stosownie do nich działaś, korzystasz z nich snadnie,
Jak prosto z zagranicy do niego przybywasz,
Coraz nowym językiem nie chcąc się odzywasz,
O krajach, modach, dziwach prawisz nieustannie,
Starasz się ojca bawić a podobać pannie.
Wcale nie; kto tak mniemał, całkiem się omylił,
Na inny sposób rozum Pan Zdzisław wysilił:

Przyjeżdżasz... ażem zbladła... srokatych pięć koni,
Krakowiak z bicia trzaska, każdy chomąt dzwoni,
Kolaska! jakiej nawet już i nie dostanie,
A miast kamerdynera, pacholek w żupanie;
I oznajmiasz beczelnie, zaraz pierwszej chwili,
Żeś za Polski granice nie zrobił i mili,
Że żadnym cudzoziemskim nie mówisz językiem,
A co lepiej, wszystkiego jesteś przeciwnikiem.
Wszystko, co tu kto robi, złém ci się wydaje:
Tu chwałę tylko nowe, ty dawne zwyczaję,
Tak: tu obiad wieczorem, ty z nami nie siadasz
I z panem Telembeckim o dwunastej jadasz,
Ty o siódmej już chrapiesz, ty nie śpią do trzeciej,
Tu wstają o południu, ty — nim dzień zaświeci.

Zdzisław.

Ale na cóż wyliczać te mniemane winy?
Jestem tu dziwakiem, wiem, lecz nie bez przyczyny:
Byłbym Radosta śmieszność na korzyść obrócił,
Gdybym się był tą wieścią inną nie zasmucił,
Że i córka tym błędom ulega powoli;
I to mnie przymusiło do wzięcia tej roli.
Zofia dobra, ładna, ma rozumek miły,
Ale jej, baśnie ojca, głowę zawróciły.
Sama jeszcze wyraźnie nie wie, czego żąda:
W nieznaną przestrzeń świata z tęsknotą spogląda,
Świetność, znaczenie, moda, są szczęścia obrazem,
Który sprawdzić i pragnie, i lęka się razem;
Ztąd to mniema, że męża najlepiej wybierze,
Gdy w nim światową śmiałość i układ postrzeże.
Przyjechać, blaskiem, wrzaskiem młodą zająć głowę,
Nie jestto nadal szczęścia ustalić budowę.

Chcę i poznać dokładnie i tak być poznany;
Przeto, co mój charakter, ten nie jest udany:
Jestem z nią samym sobą, i to tylko kryję,
Że żyłem w wielkim świecie i tam zawsze żyję.
Jeśli bez tej zalety będę jednak w stanie
Podobać się Zofii, zmienić jej żądanie,
Jeśli poświęci miłość świata, zabaw, mody,
Będę miał jej uczucia niemyłne dowody;
Ale jeśli brak zalet, których nie chcę użyć,
Za jedyną przeszkodę do szczęścia ma służyć,
Ha!

Julia.

Ależ mój paniczku, wszystko dobrze, ładnie;
Lecz niech ci na myśl, Zosi lat szesnaście wpadnie.
Pewnie panna w tym wieku piękna i wesoła,
(z uśmiechem wskazuje Zdzisława)
Człowieka co się nażył, zrozumieć nie zdoła;
A potem, nie wiem czemu każdy szuka żony
Wtedy dopiero, kiedy już światem znudzony,
I jeszcze za złe bierze tej młodej osobie,
Jeśli uciech i zabaw trochę życzy sobie.

Zdzisław.

Tak, to... Ale niech skończę, co wyznać zostaje,
Nieumiejętność cudzych języków udaję,
Bo romanse, któremi zajmują się damy,
Których my swoich mało, wiele obcych mamy,
Gramatyką się stały potocznej rozmowy!
Żadna nie potrzebuje łamać sobie głowy:
Myśli, zdania, zwrót sensu, i przyjemność cała
Staną się jej własnością byle pamiętała.
Wziąłem tę broń Zofii; jej sposób myślenia,
Wdzięk wyrazu i zdania, niech się sam ocenia.

Julia.

Bardzo dobrze...

Zdzisław.

Z tém wszystkiém, nie będę się chlubił,
Lecz Zofia mi sprzyja i ojciec polubił.

Julia.

Ale kiedy ty idziesz mądrym, wolnym krokiem,
Astolf przy tejże mecie stanął jednym skokiem:
Jego stroje, karykle, konie i żokiety
Pono nad twój rozsądek lepsze są zalety.

SCENA II.

Julia, Zofia, Zdzisław.

Zofia *(wbiegając).*

Ach kochana Julio...

(nagle się wstrzymuje postrzegłszy Zdzisława. Julia zdaje się czekać co powie, nareszcie)

Julia.

Co Zosiu?

Zdzisław.

Jak wnoszę,

Moja przytomność...

Zofia.

Ach nie, proszę zostać, proszę...

Wprawdzie teraz się tylko za wahanie wstydzę,
Bo w tém, com miała mówić, nic złego nie widzę;
Chciałam prosić Julię, by z nami jechała
Ztąd o milkę, na spacer.

Julia *(z niedowierzaniem).*

To przyczyna cała?...

Zofia.

Ależ bo chciałam także... pokazać ci wprzód...
Astolfa cudny zaprząg, kocz najświeższej mody,

Jakie konie w karyklu, jakie pyszne stroje,
 I... znowum się wstrzymała, bo się zawsze boję,
*(zbliża się do Julii i mówi ciszej, ale tak żeby i Zdzisław
 słyszał)*

Kiedy chwale te fraszki, urazić Zdzisława.

Zdzisław

(z ironią pierwszy wiersz).

Ach, więc już do litości dostąpiłem prawa!
 Ale, piękna Zofio, strać na zawsze twogę,
 Że pochwał w takim względzie zazdrosnym być mogę;
 Bo wiem, że jeśli Astolf twoje serce zyska,
 To nie dla tego tylko, że koczem połyśka.
 Takie fraszki dla duszy słabe są ogniwa,
 Łatwo ich się dostaje, jeszcze łatwiej zbywa.

S C E N A III.

Julia, Zofia, Zdzisław, Radost.

*(Radost w surducie, pod spodem szpencer i również pantalo-
 ny z pończochami; chustka grubo zawiązana. Nalega trochę
 na nogę i laską się czasem podpiera.)*

Radost.

A charmant, charmant, superbe! już hrabina wstała.

(Zofia w rękę go całuje; Radost głaszcząc ją pod brodę)

Buon giorno moje dziecię... ślicznaś moja mała.

A! Zdzisław, ranny ptaszek...cóż?...podług zwyczaju
 Może już z polowania?

(Zofia i Julia siadają, Zofia od sceny; haftują.)

Zdzisław.

Byłem w blizkim gaju,
 Ale psy nie goniły, bardzo ostre pole.

Radost.

Nie goniły, *a, charmant!* dla tego ja wolę
Par force, par force...eh goddam! to mi polowanie!
 Hussa! przez płoty, rowy, niech się co chce stanie!

Po angielsku! *a, charmant*, krocie uciech, krocie.
 Mój Tarant, dobry szłapak, lecz staje przy płocie,
 A gdzie rów to się kładzie, więc nie mogę ścigać;
 Ale mnie na rok przyszyły, Anglik będzie dźwigać.
 Konie i psy sprowadzam, a wtedy dopióro
 Wszystkich myśliwych proszę niech się do mnie zbierają.

Julia.

Ależ, panie Radoście, któż w wieku Waćpana
 Tak poluje.

Radost.

Radotage, Komtesso kochana!

Dla wieku nie polować! idea nielada!
 Co tu wiek ma do rzeczy? sam Astolf powiada,
 Że lord Fic...Fec...jakże...Fen... bodaj się nie święcił,
 Ot ten, coto, rok temu na łowach kark skrecił...
Comment donc, diable! no mniejsza jak się nominował,
 To gdzie! starszy odemnie, a jednak polował.

Zofia.

Nie, ojczy, i ja na to zezwolić nie mogę,
 Dotąd jeszcze kulejesz i cierpisz na nogę.

Radost (*prostując nogę*).

Nie bardzo.

Zofia.

Zawsze z koni masz jakieś przypadki.

Radost.

Tak, prawda, nogę wybił, było *casus* rzadki.

Zdzisław.

Jakto z konia?

Radost (*z fanfaronadą*).

Na kursach raz mi się trafiło.

Zdzisław.

Gdzie?

Radost (*jak wprzód*).

Na kursach powiadam.

Zdzisław.

Lecz gdzież miejsce było?

Radost.

Od bramy do arendy.

Zdzisław.

Tu, tu?

Radost.

Tak, tu, u mnie.

Zdzisław.

Po wzgórkach?

Radost.

Tak.

Zdzisław.

I mostkach?

Radost.

Nie bardzo rozumnie.

Wiem, wiem *mais c'était charmant!***Zdzisław.**

I któż tam był jeszcze?

Radost.

Ja i moi dworzanie. Wszystkich w szereg mieszczę,
W szereg...przy bramie...wszystkich...*superbe!*...

staję razem;

Mamy wszyscy wyruszyć za danym rozkazem.

Moja nieboszczka ciotka miała głos jak tuba,

Jeszczem jej dał za dyszkant starego Jakuba;

Słuchamy...wtém oboje już krzyczą co mogą,

Eh goddam, jak pocisnę Taranta ostrogą!...

Zarazem koniuszego przy mostku wyminał,

Ekonom wraz ze siodłem z kobyły się zwinął,

Potém jeden i drugi, obydwaj pisarze,

Zostali ten przy gumnie, tamten przy browarze;

I leśniczy gniademu okładając boki,

Już, już, nie był przedemną, jak na cztery kroki,

Wtém żyd idąc... bo żyda zawsze pełno wszędzie,
 Nuż do lisiej kapuzy; a mój Tarant w pędzie
 Jak forknie, stanie, wierzgnie... musiałem zeskoczyć.
 No, w Anglii na kursach, żyda ani zoczyć;
 Lecz u nas, u nas! *goddam!* jak tu kursa robić?
 Jednak i moja wina, trzeba przysposobić
 Miejsce, konie i ludzi. Wszystko to urządzę.

Julia.

I wszystko niepotrzebnie.

Zofia.

Ach, i ja tak sędzę.

Zdzisław.

Przypadki zawsze będą.

Radost

(siadając po lewej stronie sceny).

O, gadajcie sobie!

A ja na przyszłe lato nowe kursa zrobię.

Ale widzę, że jesteś lękliwy Zdzisławie.

Zdzisław *(zbliżając się do Zofii).*

O, czasami i bardzo, lecz nie w takiej sprawie:

Lękam się, kiedy przyszłość położę na szalę,

A nie wiem co przeważy, nadzieja czy żale.

Radost *(w zamyśleniu).*

W mijaniu cała sztuka, a to łatwo umieć.

Zdzisław *(do Zofii).*

Kiedy mnie nie rozumią, lub nie chcą rozumieć.

Julia.

Rzecz jasną każdy pojmie, więc niema bojaźni.

Zofia.

Dowodem zrozumienia, jest dowód przyjaźni.

Zdzisław.

Wolę nienawiść, wolę, jak przyjaźń w nagrodę
 Nadziei serca, którą...

Radost (*wstając*).

Do skutku przywiode!

Zdzisław

(*idąc ku Radostowi i dziękując*).

Ach Mości dobrodzieju...

Radost

(*odprowadzając na stronę Zdzisława i pokazując*).

W końcu... meta stanie,

Przy której damy będą; tak, meta, mój panie.

Charmant! superbe!... tylko że...

(*wpada w zamyślenie i siada*)

Julia.

Jemu kursa w głowie.

Zdzisław.

Ach, kiedy wyrok szczęścia w jedném leży słowie,

Wtedy lada głos ludzki dochodząc zdaleka,

Zdaje się, że spełnienie nadziei wyrzeka;

Ale jakże bolesno, gdy z niczém przemija!

Nieszczęście nas zasmuca, niepewność zabija.

Ach Zofio! zbliż mało-oddaloną porę;

Błagam cię, dzisiaj, teraz, niech wyrok odbiorę.

Zofia.

Nic nie słyszę.

Zdzisław.

Z tym żartem prośba nie ulata;

Siostro przyczyn się za mną.

Zofia.

Nie, za mną proś brata,

Proś, niech mnie nie zawstydzą, niech mnie tak nie
dręczy;

Jutro od tego słowa nic mnie nie wyręczy,

Na cóż dzisiaj wspominać chwilę rozstrzygnięcia?

Lękam się coraz bardziej w miarę jej zbliżenia,

I jeśli ojciec zechce, to jeszcze odłożę...

Ale nie, jutro koniec...

Radost (*wstając*).

Nie, to być nie może.

Julia, Zofia, Zdzisław.

Czemu?

Radost.

Bo dwie mil tylko, moim gruntem będzie;
Dwie mało; więc aż Lublin zatrzyma nas w pędzie.

Julia (*śmieje się*).

Lublin? mil trzy chcesz pędzić?

Radost.

Z czegoż śmiać się tyle?

Po pięć w Anglii robia.

Zdzisław.

Ależ inne mile.

Radost.

Inne?

Zdzisław.

Mniejsze.

Radost.

Tak, *charmant!* przypominam sobie.

O, zaraz w moich drogach taki podział zrobię!

Przecie zimą czy latem, czy polem czy lasem,

Miło, angielską milą przejechać się czasem.

SCENA IV.

Ciż sami, Astolf.

(*zupełnie ubrany jak Radost*)

Radost

(*idąc naprzeciw Astolfa i podając rękę*).

Buon giorno.

Astolf.

Bon jour, Mesdames.

Radost

(obracając się przed idącym Astolfem).

Patrz, mój surdut nowy.

Astolf

(z uśmiechem spojrzawszy z boku).

Nieźły.

(przysuwa z hałasem krzesło do Zofii; siadając)

Cóż *Comtesse Julie*, ustał dziś ból głowy?

(nie słuchając odpowiedzi i wyciągając się na krześle)

Panna Zofia zawsze piękna jak nadzieja.

Radost

(na stronie; poprawiając surdut).

Nieźły!

Astolf

(do Zdzistawa z przyciskiem).

Do nóg upadam pana dobrodzieja!

Radost

(przypatrując się surdutowi Astolfa i swój poprawiając).

Nieźły! taki jak jego.

Astolf

(do Zdzistawa, jednym zawsze głosem od początku sceny).

Pod stopki mnie ściele.

Julia *(cicho do Zofii).*

Niežnośny.

Zofia *(podobnież do Julii).*

Prawda, czasem.

Zdzisław *(do Astolfa).*

Nacóż słów tak wiele?

Nacóż się tak z językiem, i z myślami biedzić,

Czyż po polsku, *dzień dobry*, nie można powiedzieć?

Radost.

Dobry dzień, czy dzień dobry, twardo i nie ładnie,

A w cudzych mowach, to z ust jak z procy wypadnie:

Bon jour, guten Morgen, good day; skarby, skarby,
Panie!

Jak się masz? how do you do? co za przywitanie!
Bądź zdrów: farewell, farewell, krótko węzłowato,
Farewell. Dobranoc: good night, good night; cóż ty
na to?

I tak wszystko w angielskim. Naprzykład, rzecz mała:
Dziękuję ci, I thank you; a, czułość wspaniała!
Farewell, I thank you, good night; ha, co za dźwięk
boski!*)

Ale już nie to, trzeba wyznać, język włoski.
Buon giorno! come sta? ella sta bene?
Per servirla; cosi, cosi, Corpo di Baco!
(krzywi się i kiwa ręką)

Niemiecka od francuzkiej uboższa jest mowa:
(polskim mocnym akcentem)

Guten Morgen! Wo kommen Sie denn her? Ich komme aus Lithauen. Sie kommen aus Lithauen und sprechen so gut deutsch. Kann man Ihnen mit einer Schale Kaffe dienen? (krzywi się i kiwa ręką)

Tak więc francuzka mowa, wszystkich mów królowa.
To mi zaś w angielszczyźnie najmielszém się zdało,
Że niewyraźność wdziękiem, nawet sztuką całą:
Jeden stara się ukryć, drugi zgadnąć słowa,
Tak zawsze jest zabawa, choć nudna rozmowa.

Astolf (ziewnąwszy).

Ach, *mon cher Monsieur* Radost, i dobry Zdzisła wie,
Połóżcie też już koniec tej dzielnej rozprawie;
Co nam do takich rzeczy; bogactwo języka
Wszak z bogactwa kieszeni zupełnie wynika.

*) Wszystkie angielskie słowa podług wymowy policzone:
gud-de, hau-du-iu-du, fer-uell, gud-nayt, ay tsenk iu, goddem.

Twardy język i suchy, kiedy kieszeń pusta,
A z głodu posiniałe, niewymowne usta.

(śmieje się głośno)

Zofia *(do Julii cicho).*

Co za koncept.

Julia *(podobnież do Zofii).*

Niemądry.

Radost.

Ależ mon cher ami,

Nie możemy się zawsze zatrudniać fraszkami.

(do Zdzisława)

Prawda?

(do Astolf) Potrzebne także czasem roztrząśnienia
I nad erudycją.

(do Zdzisława)

N'est-ce pas?

Zdzisław.

Bez wątpienia.

Radost.

Wszak o literaturach sądzić jestem w stanie?

Zdzisław.

Teraz i mniej znający daje swoje zdanie.

Zofia *(do Julii).*

Co też nie wygodują!

Astolf.

Widzę więc, że chcecie

Bym zasnął, jak wczoraj pan...

Radost.

O... o... już, już plecie;

(do Zdzisława uniewinniając się)

Takem był zasłał koło drugiej po północy,
Że się wstrzymać od spania nie było w mej mocy.

Astolf.

To nie wiem, czyś pan osłabł, czyś się nami znudził,
Ale to wiem, żeś chrapnął, ażeś się przebudził.

Zdzisław *(śmieje się głośno)*.

O słabości niegodna! noc przepędzić we śnie.

Radost *(uniewinniając się)*.

Ależ bo byłem chory.

Zdzisław.

Ależ bo tak wcześniej.

Astolf.

Teraz dopiero Zdzisław powie nam kazanie:
Że śmieszne i szkodliwe długie w noc czuwanie;
Że nasze dziady, baby, prababy, pradziady,
Nie takie zostawiły dla wnuków przykłady;
Że póki z zagranicy nie przyszły zwyczaje,
Szczęśliwe w swej prostocie były nasze kraje;
Nie znano co to miasta, co bezsenne gody,
Co zbytki w stołach, winach, co wykwintne mody;
Ale siano, młócono, i zjadano... *(z przyciskiem)*
hreczkę.

(śmieje się głośno)

Zdzisław.

Nie, kazania nie powiem, lecz małą bajeczkę.

„Witaj,“ rzekł orzeł „żórawiu z podróży,

Twój powrót cieszy i wiosnę nam wróży;

Usiądź żórawiu na bliższych zagonach,

Powiedz, coś widział w cudzoziemskich stronach.

Ci co tak daleko lecą,

Zwykle korzystają nieco;

I z twojej pewnie będziem mieli łaski,

Nowe poprawy, nowe wynalazki:

Jak żywność chować,

Gniazda budować,

Wroga unikać,

Jak się czubić... jak i zmykać“...

„Stój“ przerwie żóraw, „stój, stary gaduło.

Cóż ci się we łbie usnuło,

Że się każdy trudzi lotem,

By was uczyć za powrotem.

Przeleciałem cudze kraje,

Bo tak nasze chcą zwyczaje,

A nie po to, by się męczyć,

Wszystko śledzić, siebie dręczyć;

Lecz mądrze chodzę, rezolutniej krzyczę,

To umiem, tego uczyć ci się życzę,

A poznasz w krótkce, że te wasze baśnie“...

„Nie kończ!“ orzeł wrzaśnie,

„Niech cię sępy porwą w sztuki,

Za te myśli i nauki!

Niech na nieszczęście do swych gniazd nie wraca,

Kto pamięć o nich na chwilę utracą,

Kto niebaczny na przykłady,

Przynosząc z sobą pozbierane wady,

Zbiór tylko cudzych śmieszności nam stawi.“ —

O jakże wiele jest u nas żórawi!

Radost.

Charmant! Astolfie, *n'est-ce pas?* dobrze rzecz wystawia;

Taki głupiec podobny całkiem do żórawia,

Co się na naszych łąkach wygłodzi, wypasie,

I potem leci schudnąć w trzechmiesięcznym czasie.

A, charmant, charmant, n'est-ce pas?

(do Astolfa)

Ale nie myśl sobie,

Żeby każdy wojażer miał być w tym sposobie.

(do Zdzisława)

Prawda? *n'est-ce pas?***Zdzisław.**

Sens jasny.

Julia.

O tych tu osnowa,
Których całym rozumem cudzoziemska mowa.

Radost.

I orzeł dobry, dobry; nie słuchał włóczęgi,
I verba veritatis wyciął mu jak z księgi;
Lubię go, lubię za to, i więcejbym lubił,
Gdyby pana żórawia był trochę pocubił.

Astolf.

O, miał rozum, i słowne przekładał dowody.

Radost.

Czemu?

Astolf.

Bo może stary, a żóraw' był młody.

Radost

(w miarę zapалу odmienienia postawę).

Stary, stary, cóż z tego? Patrzcieno u kata!

Jak gdyby zwyciężały same tylko lata!

I ja choćem niemłody, już pod siwym włosem,

Jeszczebym na harc wyszedł z niejednym młokosem.

(z coraz większym zapalem)

Coto wiek! teraz, zaraz, niech kto w drodze stanie!

Niech mnie tylko zaczepi! Coto! Ech Mospanie,

Jak się chwyć do korda...

(mówiąc „Ech Mospanie“ chwyta się za głowę i poprawia perukę na ucho, jak się czapkę poprawiało, potem przy ostatnim wierszu chce chwycić za kord, w ten moment zdaje się jak przebudzony postrzedz swój ubiór; zostaje chwilę w tej pozycji, potem mówi ze spuszczoną głową powoli i z ciężkim westchnieniem)

Było to tak... było!

Astolf *(po krótkim milczeniu).*

Eh bien?

Radost

(na te francuzkie słowa podnosi głowę i podrygując wraca do dawnej przesadnej postawy).

A, charmant, charmant!

Astolf.

Bajek słuchać miło;

Lecz podobno na spacer miały jechać damy.

Jedźmyż...

(do Zdzisława).

Za pozwoleniem... jeśli jechać mamy.

(Wszyscy się ruszają, Radost i Astolf ku przeciwnym drzwiom.

Damy wychodzą.)

Radost *(wywołując).*

Jakubie!

Astolf *(podobnie).*

Etienne! Daj tu mego kapelusza...

(obracając się ku Zdzisławowi poprawia się)

Mój kapelusz... przepraszam.

Zdzisław.

Nikt się nie obrusza.

Astolf.

Jednakże cię przepraszam; prawdziwie się boję,

Boś gotów na mnie strzelić za polszczyznę moję.

(Zdzisław wzrusza ramionami)

Radost.

Allons! stary! ruszaj się!

(Jakub, Etienne przynoszą kapelusze)

Jakub.

Ta idę, tfy!

Radost.

Żwawo!

(głaszcząc go po łysinie i śmiejąc się)

Czubka niema?

(damy wracają)

Jakub (*gniewliwie*).

Hm! czubka!

Radost

(*obraca go, śmieje się, sam podrygując na jednej nodze*)

La pirouette!

Astolf (*śmieje się*).

Brawo!

(*Radost Julii podaje rękę, Astolf uprzedza Zdzisława i podaje rękę Zofii.*)

Jakub (*do Radosta, obruszony*).

Otby Panicz statkował.

(*Damy, Radost i Astolf wychodzą, Jakub po krótkim milczeniu*)

Wiem ja co się święci.

(*spoglądając na Etienna*)

Pszczołka tam być nie może, gdzie się truteń kręci.

(*wychodzi przedrzeźniając Etiennowi, który wzajemnie*)

SCENA V.

Zdzisław, Etienne.

(*Zdzisław wrócił ode drzwi; nie widząc za sobą stojącego, mówi pierwsze wiersze.*)

Zdzisław (*dostając list*).

Nie słucha mnie... zatem list... albo, nie... list wolę;

Siostra... nie, nie, w pokoju położę na stole...

(*chce iść ku drzwiom pokoju Zofii, wraca postrzegłszy Etienna i siada tyłem do niego*)

Jest natręt!

Etienne.

Sługa pański! pan się, widzę, nudzi...

Ej, za granicąto żyć!... tam to widać ludzi...

W Francyi nie tak jak tu, tam pastuszek lada

O tyci, a już, panie, po francuzku gada.

To, panie, inne rzeczy, to Francya, panie,
Niech się Podlasie schowa!

Zdzisław

(więcej tyłem się obracając; do siebie).

Przecież raz przestanie.

Etienne.

Tam pieców niema...tytuń, to bez fajek kurzą;
No, wódka diabła warta, ale wina dużo;
A dopióroż w Paryżu, albo i Londynie...
Londyn, panie, na wyspie, woda wkoło płynie,
Na kryptach nas przewieźli, wtenczas most zerwało.

(Zdzisław obraca się z zadziwieniem do Etienne)

Nie pierwszy pan się dziwi, widziałem niemało,
Wiem wszystko; kiedy gadam, nikt mi nie zadrzymie.
A niechno Panu zacząć rozprawiać o Rzymie.

Zdzisław.

O Rzymie... *(cicho)*

Astolf milczał...

(głośno)

chciałem wspomnieć właśnie;

Tamto przez morza, skały...

Etienne

(przerywając śmiechem).

A to co za baśnie!

(śmieje się)

Najciężej do Anglii, ztamtąd jak po stole.

Zdzisław.

Czy tak?

Etienne.

Ale ja, panie, ja Francją wolę.

Zdzisław.

Więc z panem byłeś wszędzie?

Etienne.

Ha! niechaj sam powie.

Zdzisław *(na stronie).*

Prawda, sam to powiadał... ależ po tej mowie...

(zrywa się i chodzi prędko)

Czyżby i Astolf kłamał?...Zaraz próbę zrobię...

Poczekajno, paniczu, dopiekę ja tobie!

Etienne.

A o Renie pan słyszał? Ren, panie, to rzeka,

Do *Mayence*, miasta, panie, płynąc już zdaleka...

(Zdzisław nagle bierze kapelusz i wychodzi.

Etienne zdziwiony odprowadziwszy go oczyma.)

Ja gadam, on wychodzi...nikt nic nie chce wiedzieć,

Wartoż tu wojażować, proszę mi powiedzieć?

(stoi z założonemi rękoma)

Zastona spada.

A K T II.

W tym akcie wszyscy prócz Zdzisława inaczej ubrani; Astolf równie z Radostem, Astolf siedzi zamyślony, Radost wychodzi ze swego pokoju bez fraka, który za nim Jakub niesie. Ekonom z papierami.

S C E N A I.

Radost, Astolf, Ekonom, Jakub.

Radost.

Mon cher, patrz, dobrze chustka? guz dobrze ściśnięty?
Po angielsku?

Astolf.

Źle.

Radost

(zaglądając Astolfowi pod szyję).

Jakże?

(Astolf siedząc poprawia mu niedbale chustkę, Radost wdziawszy frak)

A frak, patrz, co? wcięty?

Astolf.

Najpiękniej.

Radost (do ekonomy).

Bądź Wasze zdrów.

(ekonom kłania się i wychodzi, Radost za nim woła)

A! prawda, *hé! ami!*

Widziałem kilka koni dotąd z ogonami.

Goddam! co to znaczy, he?

Ekonom (kłaniając się).

Ależ muchy w lecie.

Radost *(do ekonoma).*

A w Anglii much niema?

(do Astolfa)

N'est-ce pas? co on plecie!

(do ekonoma)

Uciąć...A! i twój deresz jeszcze ogon nosi.

Ekonom *(kłaniając się).*

Staruszek, niech pan...

Radost.

Uciąć! nikt się nie wyprosi.

Jutro Waszeć bez wąsów, deresz bez ogona;

Bardzo proszę.

(daje znak ręką. Ekonom i Jakub odchodzą.)

SCENA II.

Radost, Astolf.

Radost.

Przesady, rzecz niezwyczęzona!

Nie nowego nie można do kraju wprowadzić,

Trzeba się wprzódę zawsze, aż do znoju wadzić...

(na stronie)

Dobrze, żem sobie wspomniiał, trzeba go wybadać

Czemu dziś Zdzisławowi nie chciał odpowiadać.

Czy był, czy nie był w Rzymie, muszę dojść koniecznie.

Astolf

(usłyszawszy; na stronie z nieukontentowaniem).

Znowu Rzym! Lecz z nim mogę rozmawiać bezpiecznie.

Radost

(siadając tyłem trochę do Astolfa przy przeciwnej stronie sceny; do siebie).

Od czegoż zacząć? ... hm, hm...

Astolf *(na stronie).*

Ślepo we mnie wierzy.

Radost *(na stronie).*

Od zřęcznego pytania odkrycie zależy.

(Myśli nad zapytaniem nucąc piosnkę: „Włazł kotek na płótek“, głośnieij albo ciszej podług myśli, i zażywając tabakę; co powtarza przed kaźdém zapytaniem)

W Rzymie dłuęo bawiłeś?

Astolf.

Bawiłem rok cały.

Radost

(odwracając się nagle; na stronie).

Był. Rok nie dzień, skryć trudno...

(obracając się; kontent z konceptu)

W zimie są upały?

Astolf.

W zimie? nie, niema.

Radost

(odwracając się, na stronie).

Nie był. Wszak tam ciepłe kraje.

Astolf *(na stronie).*

Chce mnie badać, niedobrze; posądząć się zdaje.

Radost *(wynuciwszy piosnkę).*

Papieża, czy widziałeś?

Astolf.

Widziałem i nieraz.

Radost

(odwracając się).

Był. Bo gdzieżby go widział. Dojdźże końca teraz?

Astolf.

Ach *mon cher Monsieur*, wielką sprawiłeś mi radość;

Lubię jego ciekawość, uczynię jej zadość,

Będę mu opisywał te powabne kraje.

Z Włoch! z Włoch teraz brać będziem mody i zwyczaje,

Tamto nam w każdym względzie nie braknie na wzorze,
(*klaniając się*)

A któż lepiej nad niego naśladować może?

Radost.

Tak, naśladować umiem, niema i gadania,
Lecz słyszałeś jak silnie ojczyzna się wzbrania.

Astolf.

Bo w tém bładzisz przy całym swym wielkim rozumie:
Te polskie ekonomy, żaden nic nie umie,
Wypędź wszystkich; Anglików, Francuzów dostanie,
Którzy choć nie polepszyć, odmienić są w stanie.
Nareszcie i to miło, gdy z czasem usłyszę,
Że swój wojaż do Polski, mój ekonom pisze,
Gdzie kraj znajdzie przestrogi w barbarzyństwa
względzie,

A *le Baron polonais*, co trzy kartki będzie.

Radost.

Mam jednego Anglika, i ten wszystkiem rządzi,
Ale cóż? wśród Polaków, dla tego też błądzi.

Astolf.

No, ale ma już błądzić ten co będzie rządził,
To wolę przecie, żeby po angielsku błądził,
Niż po polsku.

Radost.

A, i ja wolę, oczywiście!

Astolf.

Savez vous quoi? Daj krzyżyk temu żupaniście,
Weź natomiast Anglika, mego masztalerza.

Radost.

Masztalerz ekonomem?

Astolf.

Cóż to tak uderza?

Idą na ochmistrzynie markietanki cudze,
Czemużby *John* polskiemu niemiał zrównać słudze?
Wszak i on cudzoziemiec.

Radost.

Anglik, prawda i to.

Nieraz com brał za śmieszne, poklaskiem okryto,
A gdym pytał, mówiono: tak robią Anglicy.
Nawet *croyez moi, mon cher*, bo byłem w stolicy,
Gdyby który w but głowę, w czapkę włożył piętę,
To ubranie z oklaskiem byłoby przyjęte;
Ergo, swego własnego gdy nie mamy zdania,
Trzeba ślepo brać cudze i to bez pytania.
Charmant! n'est-ce pas! Agoddam! ja się tutaj bawię!
Wybacz, że cię samego na chwilę zostawię,
Muszę... Otóż i Zosia, godnie mnie zastąpi.
(*odchodzi*)

S C E N A III.

Z o f i a, A s t o l f.

Astolf.

Przecież znalazłem chwilę, której los tak skąpi,
Mogę...

Zofia

(*zwracając się ku drzwiom*).

Zaraz...

Astolf (*zastępując*).

Momencik.

Zofia (*ku drzwiom*).

Julia...

Astolf.

Dwa słowa.

Zofia.

Nie, nie.

Astolf (*odstępując*).

Wszakże to nasza ostatnia rozmowa.

(*Zofia zostaje gdzie stała i obraca się powoli ku Astolfowi;
(po krótkim milczeniu);*

Chcę Zofią pożegnać.

(*Milczenie. Zofia idzie pomału i staje przy krześle.*)

Dzisiaj zaraz jadę.

(*Milczenie. Zofia siada powoli, opiera się na stole, trochę
odwrócona od Astolfa.*)

Zdzisław został szczęśliwszym...przeszkód mu nie kładę.

Zofia (*z nieukontentowaniem*).

Zdzisław?

Astolf.

Ach gdyby uczuć bez granic, bez miary,
Którym nie podlegając nie można dać wiary,
Uczuć, które nasz umysł w ostateczność wiodą,
Ręka twoja, Zofio, miała być nagrodą,
Któżby do niej nademnie mógł mieć więcej prawa?
Ale inne przyczyny wynoszą Zdzisława.

Zofia.

Przyczyny? i jakieżto?

Astolf.

Jego sposób życia.

On żyjąc wśród cichego przed światem ukrycia,
W jednostajnym pokoju, wszystkiem cię otoczy,
Czego twe myśli pragną a szukają oczy.
Zmieniając twe mieszkanie, nie zmienisz zwyczaju,
Tak jak i tu, słowika słuchać będziesz w gaju,
Jak tu, czysty wód kryształ odbije twe wdzięki,
Jak tu, kwiat czekać będzie dotknięcia twej ręki.
Drogie wiejskie rokosze!

(*po krótkim milczeniu*)

Ja, nie jestem w stanie

Twoje, piękna Zofio, uiścić żądanie.

(*zważając jakie wrażenie robią jego słowa*)

Nieszczęściem, pewien układ zawczasie zrobiony
 Przymusza mnie opuścić lubie tobie strony.
 Chciałażbyś wyjść ze swego, że tak powiem, świata?
 Dobrowolną wygnanką zostać na trzy lata?
 Nie widzieć swych przyjaciół i drogiej rodziny?
 Ze mną samym dalekie przebiegać krainy,
 I niczém niewstrzymana, nieznana nikomu,
 Coraz pod nowém niebem szukać swego domu?
*(Milczenie, Astolf zdaje się czekać odpowiedzi. Zofia zdaje się
 niemódt zebrać się na nią.)*

Lecz wiem, że kto w domowej wychowany ciszy,
 Niechętnie żyje w miastach, z przykrością zgiełk słyszy;
 Że zmienność mody w strojach, ledwie nie co doba;
 Tym co do niej nie zwykli, rzadko się podoba;
 I że wszystko co nowe, ludzie czy zwyczaje,
 Lubiącym jednostajność ciężarem się staje.
(podobne milczenie jak wprzód)

Pojmuję także bardzo, choć mieszkam w Warszawie,
 Że można się zakochać w ziemiańskiej zabawie:
(wolno i z przyciskiem)

Dla rozrywki urządzać i hodować trzody,
 Sprawiać pieczolowicie warzywne ogrody,
 Wglądać w zbiór lnu, konopi, i płócien bielenie,
 Patrzyć na wzrost cielątek i krówek dojenie,
 Karmić rzadkie kokoszki o złocistym czubie...

Zofia

(z niecierpliwością).

Któż Waćpanu powiedział, że ja tak wieś lubię?

Astolf.

Jakto? piękna Zofia tych zabaw nie lubi,
 A Zdziśław jej wyborem wkrótce się pochlubi?
 Cóż ci to za myśl każe szukać tam swobody,
 Gdzie w uczuciach zapału, w chęciach niema zgody?

Zdzisław choć stanie w świecie obok swojej żony,
Czuć będzie, bo ma rozum, ile poniżony;
I bądź pewną, nie długo na scenie zabawi,
Osadzi cię za Dniestrem, lub samą zostawi.
Przypomnij mi myśl, Zofio, że jesteś nieznana:
Ciebie i ciebie tylko wszędzie wychwalano,
Wszyscy cię pragną poznać i widzieć w Warszawie,
Poznają cię więc wkrótce, ale przy Zdzisławie.

(śmieje się głośno)

Przebacz ten śmiech niewczesny;

(śmieje się)

lecz wystawiam sobie

(śmieje się)

Jak ten dobry wieśniaczek wyda się przy tobie.

(śmieje się)

Lecz ja mu nie uwłaczam, nie czynię zniewagi;
Człowiek uczciwy, czytał dzieło Księdza Wagi,
Gospodarz pracowity, przystojny mężczyzna,
Ale trochę... prostaczek, każdy mi to przyzna.

Zofia *(wstając).*

Słucham pana Astolfa, wymowie się dziwie,
Lecz go dotąd zrozumieć nie mogę prawdziwie.

Astolf.

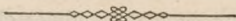
Nie chcesz zrozumieć, powiedz, i to męką moją,
Tyś nieczuła, mnie tylko czucia niepokoją;
Lecz jeśli chcesz szczerości a gardzisz wymową,
O najdroższa Zofio!... (klęka)

Zofia.

Ach! *(wybiega)*

Astolf.

Zofio! słowo!



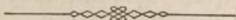
S C E N A IV.

Astolf*(wstając).*

Cóżem za głupstwo zrobił!...kląkłem niepotrzebnie;
 Dobrzem zaczął i mówił, a skończył haniebnie.
 Z jaką wzdargą milczała! czy kocha Zdzisława?
 Nie. Lecz mnie już posądza... Przekłeta rozprawa!
 Tak, niema co i wątpić, już wpadli na drogę,
 Odkryją tajemnicę, zgubionym być mogę.
 Zdzisław, Zdzisław to zdziałał... z układu mnie badał;
 Lecz zkądże on... ha! *Etienne* może się wygadał.
Etienne! Etienne! Stefanie!

(otwiera drzwi)

Ty gapiu, Stefanie!



S C E N A V.

Astolf, Etienne.**Etienne***(za drzwiami).*

Słucham, biegnę.

(postępując za Astolfem, który chodzi dużym krokiem)

Już jestem... jestem... jestem... Panie.

Astolf *(w gniewie).*

Ty byłeś gdzieś trębaczem?

Etienne *(prostując się).*

W kompanii drugiej

Pułku pierwszego strzelców, na pańskie usługi.

Astolf.

I dla tego żeś trąbił za Renem dwie mile,

Kłamiesz, he?

Etienne.

Jak się uda.

Astolf.

Dowcipu nie tyle,
Bardzo proszę. Twoja to niewstrzymana mowa
Szkodzi mi tu najwięcej i zgubić gotowa.

Etienne.

Mnie tu na rękach noszą.

Astolf.

Tak jest, na kułakach,
Widać po sinym nosie i czerwonych znakach;
Lecz powiedz, nie lękaj się, wyznaj, czy w tej dobie
Gadałeś co z Zdzisławem, tak, w swoim sposobie?

Etienne.

I czegożbym się lękał, żem mu duby prawił,
Sam pan jego zdziwieniem byłbyś się ubawił.

Astolf (*przystępując*).

Otóż słowo zagadki. Cóż mi trzyma ręce,
Że...

Etienne (*cofając się*).

Słowo pańskie, słowo...

Astolf.

Że ci łba nie skreć?

(*Rzuca się na krzesło. Etienne ode drzwi bliżej powoli przystapiwszy.*)

Etienne.

Jak pan chciałeś, zostałem wielce poważany,
Na sposób cudzoziemski przerabiam dworzany:
Wczoraj, jak się *John* ze mną do Marka zabierze,
Ostatnie polskie wasy padły jak październik,
A z ferezyi szpencer takem mu wykroił,
Że się dzisiaj z radości, jak Bela upoił.

Astolf.

Tak, to sposób jedyny: prawdą wesprę baśnie.
Idź, proś pana Zdzisława.

Etienne.

Otóż i on właśnie.

(odchodzi)

SCENA VI.

Astolf, Zdzisław.**Astolf.**

Zdzisławie, łatwo zgadnąć, więc nie chcę w to wcho-
dzić,

Komu chciałeś bajeczką przyciąć i zaszkodzić;
Lecz powiem, żeś się bardzo omylił w tej mierze:
Ten, co miał na tém stracić, śmiał się w duszy szczerze.
Ale później o Włoszech, gdyś zaczął badanie,
Wkrótcem zamilkł... bom nie był odpowiedzieć w stanie.
I wiesz przyczynę?

Zdzisław *(z uśmiechem)*.

Niewiem, lecz mi powiesz może.

Astolf.

Zaczawszy od *a* do *zet* odbyte podróże,
Ubóstwianie cudzego, polszczyzny nagana,
Przesada w mej osobie... wszystko rzecz udana.

Zdzisław.

Astolfie!

Astolf.

Gdy poznałem, że zła droga prosta,
Tak do serca Zofii, jak względów Radosta,
Po ich własnych śmiesznościach inną sobie ścielę.
Chcąc się córce podobać, na wzór jakich wiele,

Przesadną eleganta przydziałem postać;
Ojca zaś śmieszność dziełę, chcąc mu miłym zostać.

Zdzisław.

I jakiż koniec temu?

Astolf.

Z panną się ożenię.

Zdzisław.

Czy tak?

Astolf.

Młoda i dobra, łatwo ją odmienię.

Zdzisław.

A ojciec?

Astolf.

Ten rad nierad musi się przeprosić;
Że go także nawrócę, mogę sobie wnosić,
Do czego drogę zwolna już teraz ugładzam,
Gdy każdą jego śmieszność do zbytku przesadzam.

Zdzisław.

Oszukujesz go jednak.

Astolf.

Zdzisławie! poprawa

Nie jest złém oszukaństwem.

Zdzisław.

Nie masz do niej prawa.

Astolf.

Chęć dobra.

Zdzisław.

Korzystać własna.

Astolf.

Obie w jednym rzędzie.

Zdzisław.

Czemuż mi to powierzasz?

Astolf.

Byś milczał w tym względzie.

Zdzisław.

Cóż ci ręczy?

Astolf.

Twój honor.

Zdzisław.

Honor, w fałsz wprowadzać.

Astolf.

Honor, szczere zwierzenie i ufność nie zdradzać.

Zdzisław.

Ostrzedz, powinność moja.

Astolf (*z ironią*).

I w dobrym sposobie,

Bo spełniając ją niby, pamiętasz o sobie.

Zdzisław.

Chcesz bym ci pomógł?

Astolf.

Nie chcę, i nie jesteś w stanie.

Napraw, coś mi zaszkodził, zarzuć twe badanie,

I nie zwiększaj śmieszności, którą już ponoszę.

Zdzisław.

Nie, nie, szczerem być muszę.

Astolf.

Co za szczerość, proszę!

Lecz jesteś zawsze takim? powiedz mi, Zdzisławie!

Zawsze lubisz otwartość w każdej swojej sprawie?

Nie myśl, że ja cię nie znam, żeś wszystkich w błąd
rzucił:

Widziałem cię był w Wilnie, gdyś z Paryża wrócił.

Oba więc bardzo prostą nie idziemy drogą;

Nie wchodzę jakie twoje zamiary być mogą,

I względem oszukaństwa uwag ci nie robię.
 Wydaj mnie, a oddalisz w tejże samej dobie;
 A gdy sam tu zostaniesz, bez żadnej zawady,
 Łatwiej twoje do skutku przywiedziesz układy.
 Zrób tak, ale się spytaj wprzód samego siebie,
 Ulegasz honorowi, czy własnej potrzebie.

(odchodzi)

Zdzisław *(sam).*

O piekielnie! piekielnie! cierpię jak na męce.
 Jestem jego wiernikiem. *(po krótkim myśleniu)*

Ha! związał mi ręce

Mądrze!... Mogłem go odkryć, najłatwiej wysadzić,
 Teraz muszę go bronić; *(w złości)*

bo nie mogę zdradzić!

SCENA VII.

Zdzisław, Julia.

Julia.

Ach, Zdzisławie, słuchaj mnie! jakie mam domysły,
 Słuchaj, od ich sprawdzenia twe losy zawisły.
 Dzisiaj mi moja Zuzia zrobiła zwierzenie,
 Że się *Etienne* Astolfa kocha w niej szalenie;
 Gdy różne jego słowa powtórzyła ściśle,
 Wiesz, jak teraz z pewnością o Astolfie myślę?

Zdzisław.

Na przykład?

Julia.

Że jest oszust.

Zdzisław.

Julio!

Julia.

Udaje,

Zwodzi nas, nigdzie nie był, a o wszystkiém baje;
Nawet, przypomnij sobie, dziś podczas śniadania,
Jak się mieszał, jak zamilkł na twoje pytania.

Zdzisław.

Co za myśl!

Julia.

Jakto, wątpisz?

Zdzisław.

Wątpię.

Julia.

I z przyczyny?

Zdzisław.

Bo... bo go znam.

Julia.

Ty go znasz? wszak przed pół godziny...

Zdzisław

(coraz bardziej się niecierpliwiąc).

I cóż z tego, ale wiem.

Julia.

Co wiesz?

Zdzisław.

Kto?

Julia.

Ty.

Zdzisław.

Co wiem?

Julia.

To, co mi masz powiedzieć.

Zdzisław.

Ja ci nic nie powiem.

Julia.

Zdzisławie!

Zdzisław

Droga siostró, Julio kochana!

Proszę cię, proszę, błagam, padnę na kolana,

Nie pytaj się, nie badaj, nie dręcz, nie męcz tyle,
I zostaw, zostaw proszę, zostaw mnie na chwilę!

Julia.

Ide, ide! Zdzisławie, co się z tobą dzieje!
Tak, każdy z was w miłości drzymie lub szaleje.

(odchodzi)

S C E N A VIII.

Zdzisław *(sam).*

Dobrze, dobrze na honor, dobrze plan zakreślił,
Lecz o lubej Zofii niedość dobrze myślił,
I to go może zgubi. Ojca przyjaźń zyska,
Ale u córki został celem pośmiewiska...
Lecz kto, co, może ręczyć, ręczyć za kobiety?
Kto zgadnie, jakie dla nich trzeba mieć zalety?
Czasem cacko, błyskotka, bawidełko małe
Zająć może ich duszę, zmienić życie całe.

S C E N A IX.

Zdzisław, Zofia.

Zofia *(oddaje list).*

Przyjąć nie mogę; na cóż tajemne pisanie?
Czyż nam kto kiedykolwiek rozmowy zabrania?

Zdzisław.

Ty, Zofio, zabraniasz, ty unikasz zawsze,
Dawniej i twe wejrzenia bywały łaskawsze!
Cóż, że moja nadzieja o dzień się przedłuży?
Twoje ścisłe milczenie szczęścia mi nie wróży.
Może litość... rozumiem, czytam w twojem oku,
Już mi i jutrzejszego nie trzeba wyroku;

Wyrwę się z tych miejsc lubych, wyrwę się jak z życia,
Zaprawdę i nie znajdę przed sobą ukrycia,
A ty wspomnisz, Zofio, bo poznasz żeś w błędzie,
Że cię nikt tak nie kochał, nikt kochać nie będzie.

Zofia *(z uczuciem).*

Zdzisławie!

Zdzisław.

O Zofio!

Zofia *(odsuwając się, na stronie).*

Co czynię, o nieba!

(po krótkim milczeniu)

Wola ojca...

Zdzisław.

Rozumiem, więcej nie potrzeba;

Zegnam cię...

(czeka odpowiedzi)

Zofia *(po krótkim milczeniu).*

Waćpan jedziesz?

Zdzisław.

Na cóż czekać dłużej.

Zofia.

Jedziesz pewnie?

Zdzisław.

Najpewniej.

Zofia *(urazona).*

Szczęśliwej podróży.

Zdzisław.

Każesz jechać?

Zofia.

Ja?

Zdzisław.

Każesz zostać?

Zofia.

Ja?

Zdzisław.

Więc jadę.

(czeka odpowiedzi, po krótkim myśleniu)

Jechać, czy nie? odpowiedz; dajże mi choć radę.

Zofia.

Nie, nie, jutro odpowiem.

Zdzisław.

Zaczekam, zostanę;

Lecz jakież obietnice Astolfowi dane?

Zofia.

Żadne.

Zdzisław *(nie dowierzając).*

Zofio!

Zofia.

Żadne.

Zdzisław.

Lecz Radosć mu sprzyja.

Zofia.

Prawda, Astolf go bawiąc dość zręcznie podbija:

Ale w waszej rozprawie dzisiaj przy śniadaniu,

Tak śmiesznym, tak się dziwnym, okazał w swém zdaniu,

Tak sprzecznym z samym sobą, że pono nie zbłądę,

Gdy go o chytry układ i kłamstwo posądzę.

Jeśli dla mego ojca winnych niema względów,

Kłamie, śmieje się skrycie, a korzysta z błędów,

O, wtedyby mnie żadna nie wstrzymała siła,

Ilem dziś obojętną, tylebym gardziła.

Zdzisław *(popędliwie).*

Tak jest, Zofio, Astolf...

(wstrzymując się)

wcale mnie nie zwodzi.

Radosć *(wchodząc).*

Zosiu, Julia sama na ogród wychodzi.

(Zofia wychodzi)

S C E N A X.

Radost, Zdzisław.**Radost**

(biorąc go na stronę i obzierając się).

Powiedzno mi w sekrecie; *mon cher*, co to znaczy,
Że się Astolf o Włoszech tak trudno tłómaczy?

Zdzisław.

Alboż ja wiem.

Radost.

Hm, nie wiesz, ale twoje zdanie?

Zdzisław.

Zdanie? Ja nie mam zdania.

Radost.

O, figlarz! Mospanie.

Masz ty tęgi rozumek! *(biorąc go na stronę)*

Gdyś spytał nawiasem,
Jak się zaciął na Rzymie!

Zdzisław *(wyrываяc się).*

Bo się jaka czasem.

Radost.

Ależ o! cóż bo pleciesz; jak po mydle prawię
I rzadko komu miejsce na słówko zostawi.

Zdzisław.

Może więc nie chciał mówić.

Radost.

Tak sobie uroił?

Tak, kaprys, widzi mi się... Przecieś zaspokoił,
Bóg zapłać, bojaźń moję; zbłądziłem jak widzę,
Bałem się czy nie kłamię, a ja się tém brzydę.
Więc będzie zięciem...

Zdzisław.

Czyim?

Radost.

Moim.

Zdzisław.

Co? Waćpana?

I Zofia chce...

Radost.

Wprawdzie obietnica dana

Pod warunkiem, pewien punkt jeżeli wyjaśnię...

Zdzisław.

A Zofia?...

Radost.

Lecz ten punkt, wyjaśniłeś właśnie.

Zdzisław.

Ja, jam wyjaśnił? brawo! cieszę się tém szczerze;

Lecz Zofia? Zofia?

Radost.

Spytana w tej mierze,

Już przed czterema dniami...

Zdzisław.

Przed czterema dniami?

(na stronie)

Fałszywa!...

Radost.

Zezwoliła.

Zdzisław *(do siebie)*.

Czy mnie sen nie mami?

Więc to tryumfu tylko potrzeba mnie było!

Radost.

Kontent jestem, że wszystko tak się ukończyło.

Zosim szczęścia w tém pragnął, Zosia temu rada.

Zdzisław.

Jakto, i mnie jej ojciec, jak nie to powiada?

Mnie, który ją tak kocham i to od tak dawna?

Radost.

Kochasz ją? jakto, zawsze? a to rzecz zabawna!
Myślałem żeś zapomniał.

Zdzisław.

Żarty zbyt bolesne.

Radost.

A ty porzuć, wierzaj mi, miłostki niewczesne.
Zosia nie jest dla ciebie, to młode i płoche,
A ty już na sensata zakrawasz mi trochę.
Dla twego i jej dobra sprzecznym ci w tej mierze;
Ale wierz mi, Zdzisławie, ja cię kocham szczerze:
Przykro, przykro mi będzie, jak mnie już porzucisz,
Zawsześ się sprzeczał ze mną, lecz teraz zasmucisz.

Zdzisław.

Próżne słowa.

Radost.

Niepróżne; jak syna cię lubię,
I wiesz co, jak już Zosia odjedzie po ślubie,
Ot, zostań się tu ze mną, będziemy wraz mieszkali.

Zdzisław *(na stronie).*

Zofia mnie zdradziła! *(odchodzi nagle)*

S C E N A XI.

Radost *(po długim milczeniu)*

Kaciże to znali!

(chodzi poprawiając perukę)

Ale cóż, Zosia tak chce... tak żałośnie wzdycha!...
Pocziwy, biedny Zdzisław! *(siada)*

Charmant! fe, do licha!

(po krótkim myśleniu, bawiąc się tabakierką)

Hm, hm, hm, *charmant, charmant*, burza po pogodzie!
Jakubie!

S C E N A XII.

Radost, Jakub.**Radost** (*zamyślony*).

Gdzie pan Astolf?

Jakub.

Z paniami w ogrodzie.

Radost.

Słuchaj!

Jakub.

Słucham.

Radost.

Astolf gdzie?

Jakub.

W ogrodzie z paniami.

(po krótkim milczeniu zbliża się do ucha Radosta)

On mi się nie podoba, mówiąc między nami.

Radost.

Komu?

Jakub.

Mnie.

Radost.*Charmant, charmant.***Jakub.**

On mody wprowadza.

Radost.

Hm, hm.

Jakub.

On paniczowi wszystko złe doradza.

Radost.Stary Jakub *radoteur*.**Jakub.**

Za nieboszczki pani

Pytano się: a Jakub, chwali to czy gani?

Jam panicza piastował, czasami i skropił...

Radost.

Pamiętasz jakem w studni czapkę ci utopił?

Jakub.

Alboż to jedne figle!...

Radost.

Łebski chłopak byłem.

Jakub.

Ho, ho!

Radost.

Albo do stołu, jak cię raz przyszyłem?
 Jejmość woła Jakuba, a Jakub ze stołem...
(śmieją się obydwaj)

Jakub.

A wróbel?

Radost.

O, za wróbla cztery plagi wziąłem.

Jakub.

Hej, hej! nie te to czasy! Jakub nic nie umie,
 Starzy słudzy po kątach, nowa czeladź szumi:
 W stajni Czech, Francuz w kuchni wszystko ściera,
 tłoczy,

Bigosu nikt nie liźnie, barszczu ani zoczy;
 Każdy: „Monsie“ i „Monsie“, wszystko „à la modé“
 A wszyscy diabła warci, wszędzie widać szkodę;
 Architekt co zbuduje, to jakby na lato,
 A panicz płaci, płaci, tego płaci za to.
 I ten Anglik talarki zabiera daremno;
 Coto za rządcą! Boże, zmiłuj się nademną!
 Ja nie jestem gospodarz lecz przeciwnie ślepy,
 Że na miejscu pszenicy, tysiąc korców rzepy.

Radost.

Radoteur stary Jakub.

Jakub.

Oni jedzą może:

Lecz nam rzepę jeść! naco? kiedy mamy zboże.

Radost.

Charmant.

Jakub.

A co najbardziej serce mi przenika,
Że i z panicza robią powoli... fireyka.

Radost.

Jakubie, jesteś głupi.

(Jakub odchodzi ze spuszczoną głową. Radost obziera się za nim i z dobrocią)

O!... stary!... Jakubie.

Wróć się...

(wstaje i głaszcząc go pod brodę)

No, no, już zgoda... ty wiesz że nie lubię
Kiedy mnie kto poprawia... no, no, zgoda z nami.

(podnosząc głowę Jakubowi)

Śmiej się... pamiętasz wiśnie?

(śmieje się)

Jakub.

(w miarę przypomnienia rozwesela twarz)

Te, te, pod siatkami?

(Radost śmieje się głośno; Jakub zaczyna się śmiać. Oba naprzeciw siebie stojąc, coraz bardziej się śmieją. Zastłona spada.)

A K T III.

SCENA I.

(Radost bez fraka, floret w rękę, maska druciana na twarzy. Plastron, rękawica, drugi floret na ziemi.)

Radost

(woła ku drzwiom obrócony i podnosi maskę na czoło).

Astolfie! *goddam!* czekaj!... nietęgi w tej walce...

Aha! mozem niechcący okrzesał mu palce;

Nie umiem pchać i zbijać kiedy mnie naciska,

I zawsze na krzyż macham, aż mi floret pryska.

Ale nie, nie, do Zosi zapewnie pośpieszył.

Kochany! z mego słowa jak dziecko się cieszył;

To mąż, to, dla Zosiuni, z tym użyje świata,

Z tym zwiedzi cudze kraje... lecz Zdzisław u kata

Na sercu cięży... milczy, nikogo nie wini,

Wzdycha... Ha! Zosia tak chce, *c'est charmant! c'est fini!*

(siada i obciera czoło)

Uf! niezdolne łaskotki, bronić się nie mogę,

A i nacierać trudno, bo cierpię na nogę.

Jednak broń cudna!... rycerz! kto się dobrze bije.

O, jak lubię:

(fechtuje siedząc)

Un, deux, trois, hi, he, ha! nie żyje!

(fechtując posuwa się trochę z krzesłem, tak, że ku drzwiom obrócony, mówiąc „ha!” ostatnie dał pchnięcie. Jakub z kilku służącymi w zimowych strojach; lecz wszyscy prócz Jakuba w trzewikach. Radost zmieszany naglęm wejściem, mówiąc pierwszy wiersz, rzuca po za siebie maskę, plastron, i t. d.)

S C E N A II.

Radost, Jakub, kilku służących.

Radost.

Cóż to jest? czego? poco? wchodzić niespodzianie —
Co? he? jak? — Ale wiem, wiem — lecz próżne gadanie —
Krzywdy nie macie — płatnia dobra, a strój *charmant* —
Zatém służyć będziecie — *farewell* — *Allez vous en!*

Pierwszy służący.

Będziem służyć do śmierci, będziem służyć szczerze.

Wszyscy (*kłaniając się*).

Ale niech nas Jegomość inaczej ubierze.

Radost.

Nie, nie, tak po francuzku.

Drugi służący.

Żeby choć trzewików...

Radost.

Chaussé, chaussé, tak ładnie. Precz! dosyć tych krzyków.

Pierwszy służący.

Już po Świętym Marcinie...

Drugi służący.

Wiatr mroźny podcina.

Radost.

A we Francyi niema Świętego Marcina?

Chaussé, chaussé, tak pięknie.

Pierwszy służący.

Nikt z nas nie wytrzyma.

Jakub

Tam może śniegu niema.

Radost.

Co? tam śniegu niema?

(*otwierając drzwi do Astolfa*)

Astolfie!... albo i ty... chodźno tu Mospanie.

S C E N A III.

Ciż sami, Etienne.

Radost.

Najlepiej was objaśnić ten człowiek jest w stanie;
Człowiek wcale niegłupi.

Etienne*(wprzód się kłania; potem prostując się).*

Honoru za wiele.

Radost.

Człowiek robił wojaże.

Etienne *(podobnież).*

Pod stopy mnie ściele.

Radost *(po krótkim myśleniu).*

W Francyi bywa śnieg?

Etienne.

Śnieg? Tak czasem zawieje,

Że ją trudno i znaleźć!

Radost *(do siebie).*

No, tak się nie dzieje.

(z przyciskiem po krótkim myśleniu)

Francuzi, znają buty?

Etienne.

Znają, lecz nie noszą.

I w najmocniejsze mrozy o trzewiki proszą.

Radost.

Słyszycie! proszą. Niema co i gadać, niema.

Etienne*(poprawiwszy chustkę na szyi).*

Hm! jakem był w Paryżu, taka była zima,

Że jak największe jodły, drzewa cytrynowe...

Radost*(niedowierzając, lecz nieśmiało).*

Cytrynowe w Paryżu? cóż za cuda nowe.

Etienne.

Chciałem rzec migdałowe.

Radost.

A, co tak, to ale.

(na stronie)

Aha! zarazem postrzegł, że bryknął w zapale.

Etienne.

Com ja już widział w świecie, com ja krajów zmierzył,
Żebym tu zaczął gadać, niktby nie uwierzył.

Jakub.

Ja pierwszy.

Etienne.

Ale ja wiem, wiem o co tu chodzi:
Tym spleśniałym hajdukom to obuwie szkodzi.
To są tylko wymysły, niech ich pan nie słucha;
Jeśli któremu zimno, niechaj w łapę chucha;
Francuz na takie mrozy, że się w mozgu świeci,
W koszulce i sabotach, jak na sankach leci.

Radost.

Saboty! brawo! *charmant!* saboty, trzewiki,
Trzewiki z drewna, *charmant!* ustaną te krzyki.
Zaraz każdemu parę wydłubać rozkażę;
Słyszycie! mieć będziecie sabotów po parze.

(wytrąca ich powoli)

No, precz, precz, precz. A *charmant! des sabots*, saboty.

(odchodząc do swoich drzwi)

Jakubie, niech się bednarz weźmie do roboty.

S C E N A IV.

Jakub, Etienne (długie milczenie).

Jakub (kłaniając się).

Pana Referendarza... Pana wojażera.

Etienne (*z udaną pokorą*).

Wolne żarty Waszmości...

Jakub (*klania się*).

I kamerdynera...

Etienne.

Mości panie Jakubie, nie drwij sobie proszę;

(*z westchnieniem*)

Dosyć ja już i wstydu i strapienia znoszę.

Jakub.

A na cóż było jakieś wspominać soboty.

Etienne.

Bo przykrzejsze nam własne, niż cudze kłopoty.

Jakub.

Czasem.

Etienne.

Jak mi pan zagra, tak ja skakać muszę.

Alboż to także mało dręczy moje duszę,

Gdy widzę, jakie dziwy i zbytki w tej chwili!

Jakub.

Żeby bednarze z drewna trzewiki robili!

Serce boli człowieka.

Etienne

(*naśladując potrosze sposób mówienia Jakuba*).

Każdy panicz młody

Wszystko zaraz po ojcu zmienia podług mody.

Jakub.

Zaraz dom stary burzy.

Etienne.

A wystawia nowy.

Jakub.

Bramę z wieżyczką zrzuca.

Etienne.

Zasypuje rowy,

Tnie strzyżone szpalery.

Jakub.

Nawet i altany.

Etienne.

Teraz trawnik za grządki.

Jakub.

Kwiaty za parkany.

Etienne.

Słowem wszystko nic potém, lepiej dawniej było!

Jakub

(częstuje go tabaczką).

No, kiedy tak rozmawiasz to cię słuchać miło.

Etienne.

„Jak bywało, niech będzie,“ dopóki mawiano,

Dobre, wesołe myśli i tyfiki miano.

Jakub.

Teraz szum, blask, trzask wszędzie, a pieniędzy mało.

Etienne.

Albo ot, jak w ten moment, kiedyż to się działo?

Młody śmieje się w duszy, drwinki sobie stroi,

(naśladując kiwanie głowy i udając głos Jakuba)

A stary kiwa głową i jak duda stoi.

(Ucieka. Jakub puszcza się za nim w złości, i bardzo powoli dobiegłszy do drzwi, wraca zadyszany.)

Jakub.

Żebym go był uchwycił! byłby miał za swoje!

Poczekaj! ja ci drwinki nie takie wystroję.

Proszę, jak się ułożyć umieją hultaje.

(postrzega Zofię)

A! panna Zosia! smutna, i płakać się zdaje.

S C E N A V.

Zofia, Jakub *(na stronie).**(Zofia ze spuszczoną głową, przychodzi aż naprzód sceny. Jakub pokazuje na migi, że się Zofia kocha; potem śmieje się.)***Zofia.**

Czegóż chcę?... kogoż szukam i spotkać się boję?

(siada)

Ach, biedna głowa moja!... biedne serce moje!...

Więc Astolfa, Astolfa, mam już zostać żoną,

Któregom nie kochała i nie Kocham pono!

A Zdzisław... Boże! Boże! wszakżem sama chciała.

Ale tak nagle... jego żale... miłość stała...

I moje serce...

(wstaje)

Nie, nie, ulegnę potrzebie:

Mój ojciec już dał słowo za mnie i za siebie.

Ależ dopiero jutro miałam odpowiedzieć...

Lecz gdy słowo odzyskam, będęż znowu wiedzieć,

Komu... Astolfowi?... nie. Zdzisław... Boże, Boże!

Nie wiem co czynić! wstrzymać; a! mój ojciec może...

Lecz dał słowo, nie złamię. Ach, ja nieszczęśliwa!

Gdzie pójść? co czynić?... Zdzisław może się spodziewa,

Czeka; lecz gdzież jest?... gdybym...

(Jakub chrząka, Zofia przestrasza się)

Ach, to ty Jakubie.

Czy na dół nie schodziłeś?

Jakub *(śmieje się skrycie).*

Ja chodzić nie lubię.

Zofia.

Może widziałeś?

Jakub.

Kogo?

Zofia.

Tak, kogo.

Jakub.

Nikogo.

Zofia *(po krótkim milczeniu).*

Czy kto jedzie?

Jakub.

Jedzie.

Zofia.

Kto?

Jakub.

I nie jeden drogą.

Zofia.

Lecz ztąd nikt nie wyjeżdża?

Jakub.

Ztąd?

Zofia.

Ztąd.

Jakub *(śmiejąc się skrycie).*

Pan? służący?

Zofia *(z niecierpliwością).*

Pan.

Jakub.

Pan? który?

Zofia *(z niecierpliwością).*

Pan Zdzisław.

Jakub *(na stronie).*

No, wyszło niechęć.

(kiwając głową)

Pan Zdzisław miałby jechać?

Zofia.

Właśnie pytam o to.

Jakub.

Nie prędko on pojedzie i nigdy z ochotą.

Zofia.

Gdzież?... cóż robi? widziałeś?

Jakub *(na stronie).*

Muszę trochę zgrzeszyć,

I skłamię odrobinę, aby ją pocieszyć.

(do Zofii)

O, widziałem, widziałem, zdrowy i wesoły;

Z panem Astolfem skaczą przez krzesła, przez stoły,

Taki tam śmiech na dole!... taki hałas, wrzawa!

A nikogo nie słyszać jak pana Zdziśława.

Niech się panna nie smuci, wkrótce go zobaczy

Zdrowego, wesołego... ale cóż to znaczy?

(Zofia jedną ręką zasłania oczy, drugą daje znak Jakubowi, aby się oddalił, co ten czyni niechętnie.)

Zofia *(sama).*

Tak, kiedy on się cieszy, to i ja się cieszę,

Pójdę zaraz do ojca, dzień ślubu przyspieszę.

(ociera łzy)

Ach, ja się bardzo cieszę, kiedy on się cieszy,

Pójdę, pójdę do ojca, niech mój ślub przyspieszy.

S C E N A VI.

Zofia, Julia.**Zofia.**

Julio! nie uwierzysz, jak jestem szczęśliwa;

Do prawdziwego szczęścia już mi nie zbywa,

Ustały wszystkie troski, bojaźni, nadzieje,

Dziś los mój się ustalił, wszystko mi się śmieje:

Bo wiesz, Astolf otrzymał ojca przyrzeczenie,

A ja kocham Astolfa, kocham go szalenie!

Będziemy zawsze w mieście, zawsze w ciągłej wrzawie
 Nie myśleć o czém inném tylko o zabawie;
 Będę u siebie sprawiać bale i wieczory,
 Coraz nowy mieć zaprząg, najświeższe ubiory;
 Będę czytać romanse, trudnić się modami,
 I na wieś tu do ojca przyjadę czasami.
 Wszystko cudnie, wybornie, nic, nic mi nie zbywa,
 Ach, Julio, Julio, jak jestem szczęśliwa! (*śmieje się*)

Julia.

Lecz czemuż, do twych życzeń dochodząc szczęśliwie,
 Te łzy w oczach?

Zofia (*ocierając łzy*).

Ze śmiechu, ze śmiechu prawdziwie.

Julia.

Zosiu, ty mi coś kryjesz?

Zofia.

Cóżbym ja ci kryła?

Wprawdzie trochem płakała i stroskaną była,
 Myśląc, że moje szczęście zasmuci Zdzisława,
 Który choć do przyjaźni nie był stracił prawa;
 Jego przyszłość zatruta, żal i miłość stała
 Ciężyły na mém sercu, jakby ziemia cała.

Julia.

A teraz?

Zofia.

Teraz ze mną inaczej się dzieje.
 Zdzisław kontent, z Astolfem jak dziecko szaleje,
 I z kim jeszcze? z Astolfem! nad miarę wesoły;
 W największych krzykach skacze przez krzesła, przez
 stoły,
 I kiedy ja szalona kryję się i szlocham,
 On się cieszy niewdzięczny, że go już nie kocham.

Julia.

Potrzebneż ci do szczęścia są Zdzisława żale?
Czyż blasku, jego rozpacz, przyda twojej chwale?
Igrałaś z jego szczęściem aż prawie do znoju,
I jeszcze mu zazdrościsz ostatki pokoju.
Ach, wierzaj mi, Zofio, mnie mówić się godzi,
Więcej niż miłość własną to czucie dowodzi.

Zofia

(rzucając się w objęcia Julii).

Ach, Julio, Julio! kocham go nad życie!

Julia.

Zatém tej tajemnicy będę mieć odkrycie.

Zofia.

Nie znałam mego serca i żyłam w tym błędzie,
Że zawsze wola ojca moją wolą będzie;
Tak, niemylna różnica, co między Zdzisławem
I Astolfem położył, zdała mi się prawem:
„Zdzisław“, mawiał mi często „nie jest mąż dla ciebie;
Człowiek prawy, rozumny, gorliwy w potrzebie,
Lecz z nimbyś, choć kochana, młodości nie znała,
Osadziłby cię na wsi, i już przyszłość cała.“
Przyznam ci się, te słowa nie spełzły daremnie,
Myśl że wiek młody stracę, jak utkwiała we mnie.
Z drugiej zaś strony, Astolf przyszłość mi zakreślał,
O jakiej, któż w swém życiu choć raz nie pomyślał?
Przyjemny memu ojcu, nawet i mnie miły,
Byłyby się me czucia ku niemu zwróciły,
Gdyby zbytnia przesada i zajęcie sobą
Nie były jego skazą, mając być ozdobą.
Dziś dopiero, gdy ojciec dał już nasze słowo,
Zaczęłam wszystko dawne przebiegać na nowo,
I tracąc już Zdzisława, dopiórom poznała,
Żem jego tylko, jego jednego kochała!

A wieść, że swój los przyjął bez serca boleści,
W mojem, teraz wzgardzoném, rozpacz tylko mieści.

Julia.

I cóż więc myślisz robić?

Zofia.

Pójdę do klasztoru.

Julia.

A, pozwól mi się rozśmiać z twojego wyboru.
Klasztor?... a bale, mody, ów świat ulubiony?

Zofia.

Ach, Julio! bez niego nie chcę i korony.

Julia.

A z Zdzisławem i chatka...

Zofia.

Mścij się, mścij, masz prawo.

Julia.

Któż ci mówił, że wesół, że skacze tak żwawo?

Zofia *(szlochając)*.

Jakub.

Julia.

To skłamał. Zdzisław ledwie do poznania,
Właśnie niosę ci jego smutne pożegnania;
Odjeżdża, i z wszystkiego to mu najboleśniej,
Żeś mu czekać kazała, gdy już inny wcześniej...

Zofia.

Julio, idź, spiesz, biegaj, niech nie jedzie w błędzie,
Idź, powiedz mu, że jestem niewinną w tym względzie.

Julia.

Jakto?

Zofia.

Przed kiku dniami, w zwyczajnej rozmowie,
Gdym wcale nie myślała o ostatniém słowie,

Odpowiedziałam ojcu na zwykłe pytanie,
Że zawsze jego rozkaz mają wolać się stanie;
I to było powodem, że milcząc przede mną,
Astolfa obietnicą zapewnił tajemną.
Zdzisław więc o nieszczerłość może mnie obwinić?

Julia.

Kochasz go więc?

Zofia.

Nad życie.

Julia.

I cóż będziesz czynić?

Zofia.

Mówiłam, do klasztoru...

Julia.

Nie rób się dziecięciem;

Trzeba nam się ratować inném przedsięwzięciem.

Zofia.

Nie, nie, ojca uporu nie w świecie nie nagnie;

Dał słowo, więc nie cofnie, i Astolfa pragnie.

Julia.

Prośba, łyż wiele mogą.

Zofia.

I mówić się boję,

Zwłaszcza, że niby zrobił na żądanie moje.

Julia.

Otóż i on; odważnie.

Zofia.

Ach, cała truchleję!

Julia.

Tylko zwolna.

Zofia.

Ratuj mnie.

Julia.

Placz i miej nadzieję.

SCENA VII.

Radost, Zofia, Julia.**Radost***(mając papiery w rękę).*

Fe, fe, źle, źle, szkaradnie! od kołka do kołka
 Wszystkich, wszystkich wypędzę, a przyjmę pacholka;
 Ten lepiej rządzić będzie: same tylko szkody,
 A na miejscu intraty, expensy dowody.

Julia.

Cóż się stało?

Radost.

Wszystko źle: fe! tego nie lubię,
 Gdy mnie kto jak indyka i parzy i skubie;
 Chciałem cudzoziemczyzny, prawda, ależ sędzę,
 Że się jej nie sprzeciwią, mieć polskie pieniądze.
 A ci obcy służalcy lubią cudze tracić,
 Myślą, że na to wioski, aby ich opłacić.
 Francuzy, Włochy i te przemądre wyspiarze,
 Wszystko jutro precz pójdzie, wszystkich wygnać każe.

Julia.

Ale cóż?...

Radost *(pokazując papiery).*

Proszę! pisze i pisze bez miary.

(obracając się ku drzwiom, w największej złości)

A ja, Monsie Fiurliurluk, ja chcę mieć talary!

(ochłonawszy)

Ulice powysadzał i w gwiazdy i w koła,
 A gromada przed drzwiami o swe grunta woła.
 W miejscu dawnych narzędzi, — przemądre maszyny,
 Które dwa dni naprawiaj, pójdą pół godziny.
 A gdy wszystko parowe, gdzie się okiem rzuci,
 Młyn stoi, browar zgorzał, młóca nie młóci.
 Stodoły jak pałace a próżne siasieki,
 I tysiące głupstw jeszcze, z tej głupiej opieki.

Lecz co z tego najprzykrzej, najbardziej niemiło,
Co mi w tej całej sprawie oczy otworzyło:
Że mnie trzeba pieniędzy, tu ani tyńfika!
A, Mościa Dobrodziejko, to duszę przenika!

(do Zosi)

Czegóż ty znowu płaczesz?

Julia.

Ach, wielkie zmartwienie.

Radost *(z wielkim przyciskiem).*

"Twój Astolfek nie zginął, kocha cię szalenie!

I to panicz, co powie, to zawsze przesadzi;

(pokazuje na czoło)

I jeszcze mu tu świta, lub fałszywie radzi.

No, proszę Pani, kiedy teraz mnie namawiał,

Żeby nad rzeką, w górze, na skale, młyn stawiał,

A wodę tam na koła będą nieść sikawki.

Wodą... pstrykać... na koła! chyba dla zabawki.

I ganiąc polskie młyny ten pod niebo wznosi,

Bo mówi, że to szwedzki... Ale cóżto Zosi?

Julia.

Nie śmie mówić.

Radost.

Hm, hm, hm, czemu tak strwożona?

Julia.

Chce wstąpić do klasztoru.

Radost.

Do klasztoru? ona?

(śmieje się)

No, do tego klasztoru wiem ja dobrze drogę.

Zofia *(całując rękę ojca).*

Ach, ojcie, ja Astolfa żoną być nie mogę.

Radost.

Żarty?

Zofia.

Nie, dobry ojciec.

Julia.

A wiedząc dokładnie,
 Że zawsze ojca wyrok, kiedy raz zapadnie,
 Nie go zmienić nie zdoła, święte jego słowo...
 Nie chce się już naprzykrzać, obrażać namową,
(z westchnieniem)

I klasztor jej młodości schronieniem się stanie;
 Bo słowo tu jest drugim, pierwszém powołaniem.

Radost.

Ale... cóż bo Waćpani!... chybabym oszalał,
 Żebym słowo odbierał, na ten krok zezwalał.

Julia.

Jednak, Panie Radoście, cóż wypadnie z tego,
 Że kochając jednego, pójdzie za drugiego?

Radost.

Co, co, jak, jak, kochając... kochając...

Julia.

Zdzisława.

Radost.

Zdzisława? Otóż macie!... *(chodzi, po krótkim myśleniu)*

A, to dziwna sprawa.

A, Zdzisława, Zdzisława... późne obudzenie!

(po krótkim myśleniu)

Nie, nie, co raz przyrzekłem, nigdy nie odmienię...

(do Zofii)

Wszakżem bo cię się pytał. Ale te dziewczęta,

To zawsze oczki nadół i buzia ściśnięta;

Czy która chce, czy nie chce, to się zawsze wzbrania,

Zawsze siak tak, a potem płacze, jęki, łkania!...

A kaciż zgadnąć mogą co się z niemi dzieje!

Julia.

No, no, Panie Radoście, więc mamy nadzieję...

Radost.

Nie, Mościa Dobrodziejko, najmniejszej w tym względzie:
Dałem słowo, i słowo dotrzymaném będzie.

S C E N A VIII.

Ciż sami, Astolf.**Astolf.**

Permettez, Monsieur Radost, niech z ust pięknych słyszę
Pewność słodkiej nadziei, którą się kołyszę.

Radost

(bierze za rękę Astolfa, i przed Zofią mówi).

Zofio, twój mąż przyszedł.

(chodzi w głębi sceny zamysłony)

Astolf.

Powtarzać nie trzeba,
Że szczęście, którem dzisiaj obdarzają nieba,
Wdzięcznością mnie, Zofio, przejmuję ku tobie;
Wdzięcznością, której doznasz w każdej życia dobie.
Tak potem twoim mężem, jak teraz czcicielem,
Szczęście twoje mieć będę, moich życzeń celem;
I tego tylko jeszcze jedynie się boję,
Żebym był zawsze w stanie zgadnąć myśli twoje...
Ale jednakże, przytém; pozwól niech się dziwię...
To milczenie i te łzy... cóż myśleć prawdziwie?
Permettez, Monsieur Radost! jakieś duchy wieszczę...

Radost *(podając mu rękę).*

Zosia twoją, masz rękę, czyż ci nie dość jeszcze?

Astolf.

J' en suis charmé; lecz ten żal, który oko czyta...

Julia.

Kiedy ojciec przyrzeka, któż się córki pyta?

Astolf.

Merci... rozumiem trochę. Lecz, łaskawy Panie,
 Mówiłeś, że przystała na moje żądanie.
 I już miałem upraszać, by ślubu nie zwlekać,
 Chcąc jak najprędzej z łubej ojczyzny uciekać,
 Chcąc przenieść się, jak lotem, w ubóstwione kraje,
 Gdzie przyjemniejsze nieba, ludzie i zwyczaje;
 Gdy na miejscu radości żal tu w twarzach czytam,
 I nikt nie odpowiada, choć się trzykroć pytam.

Radost.

Słowa nie łamię.

Astolf.

Prawda; ale cóż to znaczy,
 Niechże kto, z łaski swojej, przecie wytłumaczy.

Julia.

Kiedy panna chce wstąpić płacząc do klasztoru,
 Łatwo zgadnąć, czy z ojca kontenta wyboru.

Astolf

(odmienny przybiera sposób mowy).

I zupełnie zgaduję. Lecz że nie jest rada,
 Czyż koniecznie w klasztorze zamknąć się wypada?

Julia.

Jak inaczej uniknąć a nie złamać słowa?

Astolf.

Więc ze strachu przede mną to zrobić gotowa?
 O, nigdy nie miał myśli, takiej broni użyć.
 Wracam słowo, gdy nie mógł miłości zasłużyć.

(Julia wybiega)

SCENA IX.

Radost, Zofia, Astolf.

Radost.

Hm, hm, hm.

Zofia.

Czy to pewnie?

Astolf.

Pod jednym warunkiem.

Zofia.

A ten!

Astolf.

Byś nie gardziła Astolfa szacunkiem.

Zofia.

Nigdy, nigdy.

Radost.

Hm, hm, hm.

Astolf.

Jeszcze prośba mała:

Czyś podobną odpowiedź Zdzisławowi dała?

(po krótkim myśleniu)

Zdzisław został szczęśliwszym.

Zofia *(ze spuszczoną głową, cicho).*

Ja się z tém nie kryję.

Astolf.

Dla spełnienia twych życzeń, wszystkiego użyję.

(do Radosta)

Zdzisław kocha Zofią, kochany wzajemnie;

Miał rywala, ma teraz przyjaciela we mnie.

Wraz ze mną na ich szczęście Pan Radost zezwoli,

Gdy mu będzie wiadoma zmiana naszej roli:

Zdzisław został Astolfem, Astolf zaś Zdzisławem,

To jest: nie zmianą nazwisk, lecz własności prawem.

Ten co zwiedził Europę, w wielkim świecie żyje,

Jest Zdzisław. Ten, co w blasku skromną duszę kryje,

Co na wsi wychowany, w niej uciechę widzi,

Jest Astolf i swej zdrady przed wami się wstydzi.

Radost *(zamyślony).*

I ma się czego wstydzić.

Astolf.

Lecz choćem was zwodził,
Przyznajcie, więcej pomógł, niżeli zaszkodził.
A gdy każdy z nas pilnie w tej sprawie poszuka,
Dla każdego się znajdzie niemała nauka.

Radost.

No, no, no, prawda i to, niema co powiedzieć.

Zofia

(zachodzi z przeciwnej strony Astolfa i całując rękę Radosta).
I jakże?

Radost.

Co?

Zofia *(wskażując głową).*

Z tamtém.

Radost.

Z czém?

(do Astolfa) Ale chciałbym wiedzieć,

Czemu się Zdzisław taił?

Astolf.

O tém sam wam powie.

Radost.

Hm, hm, hm, coto proszę u tych młodych w głowie!

(wychodzi)

SCENA X.

Zofia, Astolf.**Astolf.**

Tracąc cię już, Zofio, lepiej cię poznaję;
Ceniłem twoję duszę zbyt mało, przyznaję.
Biorąc rolę, prawdziwie godną pośmiewiska,
Mógłłem myśleć, że śmieszność twoje serce zyska,
Lecz przebacz, twój wiek młody, ojca twego zdanie
Wprowadzi mnie, niestety, w to mylne mniemanie.

Zofia.

Szukajmy zapomnienia przeszłego stosunku,
W dziele stałej przyjaźni i zmianie szacunku.

S C E N A X I.

Zofia, Astolf, Julia, Zdzisław.

Zdzisław.

Ach, Zofio! Astolfie! gdzież wyrazów zbierę...
By tobie wyznać miłość, tobie dzięki szczerze.

Zofia.

Prędko chciałeś odjechać.

Zdzisław.

Mogłemże inaczej?

Zofia.

Tak łatwoś mnie porzucił.

Zdzisław.

Łatwo? Powiedz raczej

Tyś chętnie oddalała.

Zofia.

Ja chętnie, o Boże!

Lecz mógłś się spodziewać...

Zdzisław.

Ale któż się może...

Julia.

Właśnie czas zacząć kłótnię i skargi rozgłaszać,
A to wszystko dla tego, żeby się przeproszać.

Zofia.

Julio!

Julia.

Ale scenę w ten moment odmienię,
Gdy spytam, czy Radosta macie zezwolenie?

(długie milczenie)

Astolf.

Zdaje się...

Zofia.

Spodziewam się...

Zdzisław.

Mam nadzieję przecie...

Julia.

Idźcieże więc do niego, czego stać będziecie.

A że ci zakochani dziecinieją prawie!

No, idźcie śmiało, Zosiu, dalejże Zdzisławie!

SCENA XII.

Ciż sami i Radost.

(Radost po polsku ubrany, bez peruki, czapka na bakier, karabela przy boku, wchodzi poprawiając suknię)

Tak lepiej... i że lepiej mogę się poszczycić,

Jest przecie co poprawić, *(chwytając się za czapkę)*

jest i za co chwycić.

(za kord)

A! Zdzisław!

(grożąc) Potem Waszmość z wszystkiego się sprawi,

A teraz... Niech was, dzieci, Pan Bóg błogosławi!

Będziem w domu siedzieli razem wszystko troje.

Co cudze, diabła warte! a najlepsze swoje!

Zdzisław.

Nie, wszyscy za granicę jedźmy na lat parę,

Zbierajmy to, co dobre, czy nowe czy stare;

A potem, gdy wrócimy, każdy z was mi przyzna,

Że miłe cudze kraje, lecz miłsza ojczyzna!

A L B O

. MIASTO SCENY X, XI, XII.

S C E N A X.

Radost, Zofia, Astolf, Julia, Zdzisław.**Zdzisław.**

Ach, Zofio! Astolfie; gdzież wyrazów zbierę...

Radoście!... ojczel!... przebac, niech wyznanie szczere...

Radost (*surowo*).

Potém, potém się Waszmość ze wszystkiego sprawi,

A teraz... Niech was, dzieci, Pan Bóg błogosławi!

Będziem w domu siedzieli razem wszystko troje.

Co cudze, diabła wartel a najlepsze swoje!

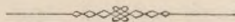
Zdzisław.

Nie, wszyscy za granicę jedźmy na lat parę,

Zbierajmy to, co dobre, czy nowe stare;

A potém, gdy wrócimy, każdy z was mi przyzna,

Że miłe cudze kraje, lecz milsza ojczyzna!



DAMY I HUZARY.

KOMEDYA

WE TRZECH AKTACH, PROZĄ.



Pochlebstwo ma w sobie osobliwy przy-
smak, chociaż go kto rzkomo odrzuca,
przecież ono smakuje.

And. Max. Fredro.

O S O B Y:

MAJOR

ROTMISTRZ

EDMUND, PORUCZNIK

KAPELAN (wyznania luterskiego)

} pułku HUZARÓW,
na urlopie.

PANI ORGONOWA

PANI DYNDALSKA

PANNA ANIELA

} siostry MAJORA, jedna starsza i grub-
bsza od drugiej.

ZOFIA, córka PANI ORGONOWEJ.

JUZIA

ZUZIA

FRUZIA

} służące.

GRZEGORZ

REMBO

} stare HUZARY.

Scena w domu MAJORA, na wsi.

DAMY I HUZARY.

A K T I.

Duży pokój. Czworo drzwi bocznych; dwoje w głębi. Na środku stół z mapami; stolik po prawej stronie, na którym gra szachów, przy nim wgłębsz krzesła. W głębi broń różna; dzidy, cel, głowy tureckie do karuzelu służące, także w głębi.

SCENA I.

Major, Rotmistrz, Kapelan, Porucznik, Rembo.

(Major na środku, ogląda strzelbę; po lewej Porucznik nabija; po prawej Rotmistrz oparty na strzelbie, patrzy na szachy; przy nim siedzi Kapelan zatrudniony strzelbą; w głębi Rembo. Wszyscy w szpencerach ubrani na polowanie, w wojskowych czapeczkach.)

Major.

Czy tylko pewnie? bo to czasem...

Rembo.

Nie śmiałbym przecie zwodzić pana Majora; niech zaraz zginę, jeśli nie widział na własne oczy kozła i dwie sarny. Wszystko troje wyszło razem do bydła, na ciemną dolinę, jak ten kąt, ta struga... oto jak ta wielka łoża, gdzie ksiądz Kapelan prześlepił zająca..., aż tu obces kundys jeden i drugi: huf, huf!... Ech, panie! jak nie pójda sarny moje! strach! aż się ziemia trzęsła!... przez Garb, Wielką Banią, po nad Bartkowy potok...

Major.

Ho, ho, ho!... sarny dotychczas na drugim końcu świata.

Rembo.

Zlekły bo się fur idących gościńcem, i hajże łakami nazad w jasieninę.

Major.

Nam więc drogą od kopców zastąpić wypada.

Rembo.

Ja z dębniaków cicho psy podpuszczę, a każda na strzelbę, jak na rożen wpadnie.

Major.

Dalej panowie! I na urlopie nie dam wam próżnować.

Kapelan.

Zaraz, zaraz.

Porucznik.

Ja dogonię.

Major

(biorąc lulkę ze środkowego stoła i kiwając głową, do Remba).

Zawołaj Grzesia. *(Rembo odchodzi)*

Rotmistrz

(do kapelana, patrząc na szachy).

Wygram, jeśli wieżę cofnę.

Kapelan.

Wątpię.

Rotmistrz.

Załóż się.

Kapelan.

Dobrze.

Rotmistrz.

Nikt tu nam nie ruszy, za powrotem przekonam, i talarka schowam.

S C E N A II.

Ciż sami, Grzegorz.*(Stary huzar z ogromnemi węsami.)***Major.**

Tylem razy, mój Grzesiu, już cię o to prosił, abyś kładł wszystko na swoim miejscu. Poco tu na mapach lulkę zostawiasz? tam w szafce ma swój numer; nienawidzę nieporządku.

(oddaje lulkę i zdmuchuje mapę)

Otóż, otóż, nie mówiłem? plama... i ta baszta... *à propos*, a klucznica?

Grzegorz.

Kłusem wywieziona. *(odchodzi)*

Kapelan.

Bogu dzięki.

Rotmistrz.

Ostatnia więc białogłowa usunięta z naszego domu; będzie raz przecie cicho i spokojnie.

Major.

Okropnie gadała.

Porucznik.

Bo stara, bo stara.

Major.

O ho, ho, panie poruczniku, wiem na co pan zakrawa, ale nic z tego. Wolę huk moździerzy, niż kobiece świergotanie. Nic z tego, i pokażę że i żołnierz potrafi domem rządzić bez kobiety.

Porucznik.

Piękny rząd!

Kapelan.

Dobry, dobry.

Rotmistrz.

Wyśmienity.

Major.

Wyśmienity.

Porucznik.

Czy zawszeście go panowie wyśmienitym znajdowali? Czy zawsze przykrém było kobiecie świergotanie? *(długie milczenie)*

Major.

Chodźmy na polowanie.

Rembo *(wbiegając).*

Goście jadą!

Major.

Któryś z kolegów.

Rembo.

Gdzie tam! kilka pojazdów! największa parada.

(Odchodzi, oficerowie jeden po drugim, zbliżają się powoli do okna.)

Major.

Dla Boga! landara.

Porucznik.

I kocz.

Rotmistrz.

I bryka.

Porucznik *(z ukontentowaniem).*

Ach! damy!

Major, Rotmistrz*(odskakując na środek pokoju).*

Damy!

Porucznik *(rachując).*

Jedna, dwie, trzy...

Major, Rotmistrz*(z żalością spoglądają na siebie).*

Trzy!

Porucznik.

Cztery, pięć..

Major (*jak wprzód*).

Pięć!

Rotmistrz (*podobnie*).

Pięć!

Porucznik.

Jeszcze jedna...

Major, Rotmistrz (*razem*).

Sześć!

Porucznik.

Jeszcze jedna.

Major, Rotmistrz (*razem*).

Siedm! siedm!

Kapelan (*wstając*).

Siedm!

(*Zatykając uszy znowu siada i tak oparty o stół, do końca sceny zostaje.*)**Porucznik.**Co widzę! (*wybiega*)**Rotmistrz**(*zbliżając się nieśmiało do okna*).

Cóżto za baby! Co za gmachy! Co za graty!

Major(*zbliżając się do okna*).

Ach, to siostry moje.

Rotmistrz.

Przepraszam cię...

Major.

Nie masz za co, znam ja je dobrze.

(*chodzi po pokoju coraz prędzej*)

Siostry, siostry, damy, przyjąć je wypada... Gzesiu, mundur!... mój mundur, Grzesiu!... czy diabli nadali... Grzesiu, mundur!

(*Grzegorz z mundurem chodzi za nim*)

Rad im być muszę... mój mundur, Grzesiu!... mój mundur!... cieszyć się trzeba, czy diabli nadali!

Grzegorz.

Niech Pan mundur włoży.

(Po lewej stronie sceny Major wdziewa mundur, przez zapomnienie na swój ubiór. Postrzegłszy się, chce zdjąć, i ściąga razem rękaw szpencera; nie może ręki wyrwać, gdy wchodzi Pani Dyndalska z dwoma pieskami na ręku, za nią Juzia, kosz w rękę ze szczeniętami i kilka pudełek. Przy Majorze dalej wgłębsz stoi Rotmistrz, za nim Kapelan: Grzegorz z mundurem wychodzi.)

S C E N A III.

Major, Rotmistrz, Kapelan;

(następnie)

Pani Dyndalska, Juzia, Panna Aniela, Zuzia, Pani Orgonowa, Zofia, Fruzia, Porucznik, Rembo.

Dyndalska.

Jak się masz, Panie bracie?

(do Juzi)

Ostrożnie, gawronie! nie upuść szczeniąt.

Major *(pomieszany).*

Witam, witam.

Dyndalska *(do Juzi).*

Czegóż trzymasz? połóż!

(do Majora)

Jakże się miewasz?

(do Juzi)

Czemuż nie na stole? jakieżto głupie dziewczę!

(Juzia kładzie wszystko na szachach i wychodzi. Dyndalska siada. Aniela wchodzi, za nią Zuzia z dwiema klatkami, w jednej sroka, w drugiej wiewiórka, i z różnemi gratami.)

Aniela.

Wieki już, braciszku, jakeśmy się widzieli.

(do Zuzi)

Postawże klatki, czego będziesz stała?

Major.

Witam, witam.

Aniela (do Zuzi).

Gdzie, gdzie, gdzie! ślepa! cóżto stołu niemasz?

(Zuzia stawia klatki na mapach i odchodzi. Poruszenie Majora. Rotmistrz go za suknię wstrzymuje.)

Major (cicho do Rotmistrza).

Mapy.

Rotmistrz (do Majora).

Pst!

(Major stara się pokryć nieukontentowanie i spogląda czasem na mapy. Słychać hałas i krzyk kobiet za sceną.)

Rembo (za sceną).

Nie rusz; a harap! a fe! a zasię!

Orgonowa

(tyłem wchodząc i trzepiąc rękoma).

Zasię! zasię, bo zemdleję.

(Rembo za nią wchodzi trzymając kota nad głową, którego we drzwiach Orgonowa odbiera.)

Biedny Filunio! moja duszka droga! jak się trzęsie!
Biedny Filunio!... Jak też możesz, Panie bracie, trzymać
takie obrzydłe psiska? Jakiemiś kajdankami podcięły
mi nogi i tylko co nie rozdarły lubego Filunia.

Rembo.

To na sforze Zagraj z Pisklą jak kota zwietrzyły,
hajże po kocie! obces na Jejmość! a Grzmocisz i
Popraw... (wychodzi na znak Majora)

Orgonowa.

Fi, co za nazwiska! przebrzydłe kundysy ... le-
dwie dyszę... całam w pocie.

(Siada przy Dyndalskiej i Anieli. Za Orgonową weszła Zofia
z Porucznikiem niosącym klatkę z kanarkiem, którą zawieszają
w głębi rozmawiając po cichu. W ciągu tej sceny, dziewczęta
powynosiły kota i pieski).

S C E N A IV.

Orgonowa, Dyndalska, Aniela,*(siedzą w rzędzie po prawej. Po lewej stronie na przeciwko, stoją:)***Major, Rotmistrz, Kapelan;***(w głębi)***Zofia, Porucznik.*)****Major.**

Witam, witam Panie siostry w moim domu, i bardzo przepraszam kota, za niegościnnność Piskli i niecnoty Zagraja.

Orgonowa.

Patrz, Panie bracie, moja córka.

(Zofia się zbliża i kłania)

Owa Zosiunia mała ... Anibyś ją poznał pewnie... wyrosła, wyładniała, nieprawdaż? Za jej wychowanie nie powstydzę się także. W pierwszej stolicy świata mogłaby bezpiecznie rozmawiać, i to niejednym językiem. Miała i guwernatkę, Madam znakomitą, i na wyższych naukach w mieście pół roku strawiła.

Aniela.

Talenta gdy rozwinie...

Dyndalska.

Ach, Anielko luba, co też nie wygadujesz! Już je rozwinęła: czyliż nie śpiewa całego Rossyniego, tak, że każdy słuchać musi? Czyż nie tańczy, tak, że nigdy taktu nie chybi? Czyż nie maluje, tak, że jej kwiatek wszystkich zwodził, i że Pan Sędzia chcąc powąchać, nosem go zmasał?

*) Pierwsze drzwi po prawej stronie, do pokoju Orgonowej; pierwsze po lewej, do Dyndalskiej. Drugie po prawej, do Majora; drugie po lewej, do Rotmistrza i Kapelana. W głębi jedno do pokoju Anieli; drugimi wchodzi.

Aniela.

To Pan Referendarz.

Dyndalska.

Ależ Pan Sędzia, mój aniołku!

Orgonowa.

Cicho, cicho Dyndalsiu; nie trzeba ją w oczy chwalić, ona sama pokaże co umie.

Aniela (*do Majora*).

Jakże ci się podoba?...

Dyndalska

(*szturchając ją łokciem*).

Cóżto za pytanie!

Aniela.

Nie dasz mi gadać, kochana siostruniu.

Dyndalska.

Bo głupstwa gadasz, moja duszko.

Orgonowa.

Cicho, cicho siostruniu. (*do Majora*)

Któż są ci Panowie?

Major.

Rotmistrz Sławomir. W szkołach jeszcze przyjaźń nas złączyła; razem wdzialiśmy mundur, razem go nosili i razem może w jednej złożym go mogile. — Nasz pocziwy Kapelan, także dawny towarzysz, prawdziwy przyjaciel ludzi; wiele robi, mało mówi, naśladować go należy. — To, mój Edmund, już wam po części znany z mojego listu. W jednej nieszczęsnej utarczce, kiedy każdy o sobie tylko myślał a ja raniony pod ubitym leżałem koniem, on mnie szukał, postrzegł, zebrał kilku walecznych, natarł na nieprzyjaciół i osłonił własnymi piersiami; cofał się, nacierał, znowu się cofał i znowu nacierał, aż póki naszych wzrastająca liczba zwycięstwa nam nie wróciła. Tamto mnie, mnie

broniąc, odebrał tę krésę przez skronie, która więcej warta, niż dziesięć wieńców.

(sciska go z rozczuleniem)

Zofia *(mimowolnie).*

Ach, to pięknie być odważnym!

(spuszcza oczy na bystre spojrzenie matki i ciotek)

Orgonowa.

Dobrze, dość tego, teraz do interesu. Chcę pomówić z tobą, Panie bracie, zatém pozwolą Panowie...
(Oficerowie odchodzą, i Zofia do swego pokoju na znak Orgonowej.)

SCENA V.

Orgonowa, Dyndalska, Aniela, Major.

Orgonowa.

W jednym zwieźlém słowie wszystko ci opowiem; nie lubię niepotrzebnej przemowy, bo kto ma rozum łatwo pojmie i zrozumie, gdy mu jasno rzecz przełożę. Zatém bez przemowy; lepiej w krótkości powiedzieć o co chodzi, a potém dać przyczyny i dowody. Nareszcie, takem mocno czytana, tylem żyła w wielkim świecie, tyle mam roztropności i przenikliwości, że się w zdaniu nigdy nie mylę i chyba szalona głowa sprzeciwić mi się może. Przystępując więc do rzeczy, powiem, że powziąwszy wiadomość, żeś na urlopie i żeś do wsi swojej przyjechał, zaraz zgadłam, że wojskową służbę znudzony, chcesz ją porzucić i na wsi osiaść. Myśl chwalebna, ale do tego potrzeba...

Dyndalska *(prędko).*

Pozwól, kochana siostruniu, niech ci przerwę: gdy się kogo chce przekonać, nie zawsze najkrótsza mo-

wa, najlepszą mową bywa. Trzeba najprzód dać przyczyny, co do czego nas nakłania, potem rzecz wyłuszczyć, a na końcu dać dowody na poparcie swego zdania. Lecz nim do zamiaru przystąpię, wypada uczynić rzut oka na poprzednicze zdarzenia i obecne położenie. A że to rzecz wielkiej wagi, na rozdziały ją podzielę, w których Panu bratu dowiodę:

(licząc na palcach)

Że dotychczas źle miał w głowie, że ponosi wielkie straty, że wojskowość nic niewarta, że na wsi osiąść rzecz najlepsza, że rozumnie radzę...

Aniela.

Lepiej, duszko moja, napisz dzieło o tém, a teraz pozwól, niech najprościejszą drogą zbliżę się do celu...

Orgonowa.

Gadajcie, o! gadajcie, gdy tak bardzo gadać lubicie; gadajcie, bardzo proszę. Ja nic nie powiem. Ja nic nie wiem. Ja nic nie umiem. Gadajcie, łaskę mi zrobicie.

Dyndalska.

O, i owszem, ja będę milczała; niech kochana siostra rozprawia, gdy jej tak przykrą chwila milczenia. Albo ją może wyręczy, wymowna Anielka.

Aniela.

Ach, gdzieżbym ja się śmiała porównać w wymowie z kochanymi siostrzyczkami: słuchać będę rozdźwięków, lub drugiej przemowy bez przemowy.

Orgonowa.

Proszę mówić, bardzo proszę.

Dyndalska.

Bez ceremonii, bardzo proszę.

Aniela.

Mówcie, mówcie, bardzo proszę.

Orgonowa, Dyndalska, Aniela.

Bardzo proszę.

Orgonowa (*idąc ku drzwiom*).

Nie przeszkadzam.

Dyndalska (*podobnie*).

Zostawiam.

Aniela (*podobnie*).

Odchodzę.

Orgonowa, Dyndalska, Aniela.

(*kłaniając się po kilka razy ode drzwi*).

Mówcie, mówcie, proszę; bardzo proszę.

(*wychodzą*)

SCENA VI.

Major, Rotmistrz, Kapelan, Porucznik

(*następnie wchodzi zamyśleni i stają przy Majorze, który od początku przeszłej sceny nieporuszenie na środku stoi. Rotmistrz, Porucznik w mundurach; Kapelan w surducie*).

Rotmistrz

(*po krótkim milczeniu*).

Cóż tam słyhać?

Kapelan.

Zaprzęgać nie każą?

Porucznik.

Jakimże rozkazem zaszczyciły nas damy?

Major.

Ra ra ra ra ra, rozumiecie?

Rotmistrz.

Któż to zrozumie?

Major.

I ja nie zrozumiałem, w uszach mi tylko dzwoni.

Rotmistrz.

Jednak...

Major.

Nic nie wiem.

Porucznik.

Przecie...

Major.

Nic, nic u kata! Gdy jedna mówi, druga jej za-
zdrości, jedna od drugiej mędrszą się mniema; tak,
choć wszystko zawsze w jednem słowie, gadaninie
końca niema, a o co rzecz idzie, mądry kto zgadnie.
Jednak, czy się dowiemy czy nie, wypada przyjąć je
godnie. Połączmy nasze starania. Nieszczęście tylko że
nikogo nie mamy takiego w domu, coby umiał damy
przyjąć.

Porucznik.

Aha: źle, kobiet niema.

Kapelan.

Niema gdérać komu.

Rotmistrz.

Szkoda w samej rzeczy, żeśmy się ostatniej pozbyli.

Major.

Hej! Grzesiu! Rembo! Zaraz wszystko będzie.

*(Rembo i Grzegorz wchodzą)**(do Remba)*

Niech Kutasiński na łysego wsiędzie i dalej w pogoń
za klucznicą; a jak ją dojdzie, niech baba nie trzepie,
nie rozprawia, i czém prędzej na łysego wsiada.

Kapelan.

Nie uchodzi, nie uchodzi.

Porucznik*(śmiejąc się, do Remba).*

I niech tęgim kłusem wraca.

Kapelan.

Ale nie uchodzi.

Major.

Ale czemu? czyż nie kłusują nasze markietanki?

(do Remba)

Zresztą jak zechce, niech zrobi; byle mi

(patrząc na zegarek)

na jedenastą klucznice przystawił. Marsz! Jedno już jest. *(Rembo odchodzi)*

Rotmistrz.

Wszystko to jeszcze fraszka, ale obiad, obiad, to sęk; bo nie zwodźmy się umiejętnością Kordesza. Słynie on wprowadzić w obozie, jak najlepszy kucharz; ale coś umie dobrze zrobić, mówiąc między nami: huzarską pieczeń i pieczeń huzarską.

Kapelan.

Nie uchodzi, nie uchodzi.

Rotmistrz.

Dla dam, innych przysmaczków, innych łakoci potrzeba. Trzeba jakiejś na stół ozdoby, coś pięknego, coś lekkiego.

Major.

Wiem, wiem czego trzeba. Wszystko to Grześ zrobi. Bywał po różnych miastach, po różnych dworach, widział różne kuchnie; Grześ, Grześ robi ciasta.

Grzegorz.

Ale...

Major.

A ty, mój Edmundzie, zatrudnisz się, z łaski swojej, szykiem potraw; bo to, słyszę, teraz rzecz wielkiej wagi, czy ryba po mięsie, czy mięso po rybie. A Grześ, chłopak w ciemie nie bity: robi, choć czego nie umie.

Grzegorz.

Ale...

Major.

Ale zrobisz ciasta.

Grzegorz.

Ale ja, Panie Majorze, dalibóg nie umiem.

Major.

Zrobisz; ja każę i basta. Jest więc i drugie. Dobrze nam się wiedzie.

Rotmistrz.

Trzebaby jeszcze przy stole jakiej rozrywki damom.

Major.

Muzyczki? Co mówicie?

Rotmistrz.

Zapewne, czegoby trzeba; ale zkąd?

Major.

Zkąd? Grześ i Rembo trąbią doskonale.

Kapelan.

Nie uchodzi, nie uchodzi.

Major.

O, dajno pokój, Kapelanie; wszystko nie uchodzi.

Porucznik.

Ale zmiłuj się, Majorze, wszystkie do jednej, wystraszysz z własnego domu.

Major.

Czém, czém u diabła? Nie trąbiąże walca doskonale? Niech im tylko czasem Kapelan w takt głową kiwnie, a zobaczycie jak wytrąbią gładko. Ale co za myśl nagle mi przychodzi!... wybornie, przedziwnie!... Ty, ty, Rotmistrzu, musisz się tém zająć: każ postawić pod oknami jadalnego pokoju... postawić... wiesz co? zgadnij!... móździerzyk nabity... Jak krzyknę: wiwat damy! rym! z móździerza.

Kapelan.

O, na honor, nie uchodzi. (*wstaje*)

Porucznik (*wstając*).

To żadnym sposobem być nie może. To nie z żołnierzami sprawa.

Major (*wstając*).

Ale już proszę...

Porucznik.

Uważ przecie, że to kobiety.

Major.

Jest i kaznodzieja! Brawo, brawo, kobiety... nie wiedziałem. Coto u diabła, że ci Panowie młodzi myślą, że starzy nigdy młodem nie byli. Jak wy teraz żyjecie, myśmy żyli dawniej... a może i lepiej, i tężej, kiedy o to chodzi. Proszę! hm! Oni tylko wiedzą, jak się z damami obchodzić. I jam całe życie nie rąbał, i jam się bawiał z damami i zawszem dogodził! zatem gadaj nie gadaj, ja z moździerza wystrzelę.

Rotmistrz.

Można bezpiecznie; bo choć się trochę popłoszą, to zapewne z przestachu złych skutków nie będzie!

Major.

Tak jest, złych skutków nie będzie!

Rotmistrz.

A zabawić trzeba.

Major.

A zabawić trzeba.

(*do Grzegorza*)

Moździerz pod oknem postawić. Marsz! Ale, ale, proszę cię, mój Grzesiu, jak będziesz trąbił, nie dmij też tak mocno, zwłaszcza w drugiej części; na tej odbitej

nucie zawsze tak ci w trąbie wrzaśnie, że aż słuchać niemiło; lekko... a patrzeć na Kapelana.

(Grzegorz odchodzi. Fruzia wchodzi dygając na obie strony.

Tylko Porucznik jej się odkłonił; Kapelan odwraca się i odchodzi.)

SCENA VII.

Major, Rotmistrz, Porucznik, Fruzia.

Fruzia.

Moja Pani się kłania, *(dygając)*

i prosi Pana do siebie.

Major.

Kogo? Porucznika?

Fruzia.

Nie, Pana Majora. *(dygając)*

Major.

Czemuż na niego patrzysz, kiedy mówisz do mnie?

(po krótkim milczeniu)

Idź, powiedz twojej Pani, że wieczór służyć jej będę mojemi uszami; tylko proszę, abyśmy sam na sam byli; teraz nie mam czasu. *(Fruzia dyga i odchodzi)*

SCENA VIII.

Major, Rotmistrz, Porucznik.

Rotmistrz.

Na co odwlekać? wcześniej później trochę, zawsze cię to czeka.

Major.

Ach, mój kochany, dobrze i dzień cały.

Rotmistrz.

Ale taką rzeczą ich odjazd nie prędko nastąpi.

Major.

Prawda i to. Odbyć potrzeba tę nieszczęsną rozmowę. Ach, wy sobie nie wystawiacie, co to za rzecz straszna.

SCENA IX.

Ciż sami, Fruzia.

Fruzia (*dygając*).

Moja Pani teraz, nie wieczór chce mówić z Panem i zaraz tu przyjdzie.

Major.

Twoja pani jak widzę, nie lubi powtarzać rozkazów.

Fruzia.

O, i bardzo nie lubi!

Rotmistrz (*do Porucznika*).

Dla nas tu, widzę, dzisiaj miejsca niema, chodźmy przejść się trochę, albo jedźmy konno...

Major.

Nie zostawiajcieże mnie samego! Idźcie do ogrodu, bądźcie w odwodzie.

(Odchodzi. Krótka scena niema. Major nie chce uważać Fruzi, która wdzięczy się z trzpiotostwa; odwraca się, pokręca wąsy, nuci; jednak mimowolnie jak spojrzy, zaraz się odwraca spotkawszy jej oczy. Nareszcie Fruzia na znak wchodzącej Orgonowej wychodzi.)

SCENA X.

Major, Orgonowa.

Orgonowa.

Jesteśmy sami.

Major.

Tak, jesteśmy sami.

Orgonowa.

W czterech słowach rzecz skończę.

Major.

Tego mi trzeba.

Orgonowa.

Sama mówić będę.

Major.

Tak, sama jedna.

Orgonowa.

Usiądźmy. (*siadają*)

Z początku zaczynając...

Major.

A od końca nie możnaby zacząć?

Orgonowa.

Cóżto za myśl dzika.

Major.

Bardzo roztropna, bo pamiętam com się dowiedział z przeszłej rozmowy, i jeśli teraz podobnie...

Orgonowa.

Jakim ty się, braciszku, z wiekiem gadułą zrobiłeś!

Major.

Milczę.

Orgonowa.

Do słowa przyjsć niemogę.

Major.

Słucham.

Orgonowa.

Ponieważ chcesz służbę porzucić...

Major.

Ale ja nie chcę służby porzucać.

Orgonowa.

Naco to kryć?

Major.

Szczerze mówię.

Orgonowa.

Na wsi chcesz osiąść...

Major.

Ani myślę.

Orgonowa.

Tylko nie sprzeczasz się ze mną, bo nigdy nie skończę.

Major.

Słucham więc.

Orgonowa.

Bardzo robisz rozumnie, ale trzeba... trzeba, trzeba, krótko mówiąc, abys się ożenił.

Major (*zrywając się*).

Czyś Waćpani szalona?

Orgonowa.

Grzecznie, niema co mówić.

Major (*siadając*).

Chciałem powiedzieć: chyba byłbym szalony!

Orgonowa.

Dla czego?

Major.

Spojrzyj na mnie a masz odpowiedź. Mnie? w tym wieku, brać młodą żonę? Co za myśl, co za myśl! Nigdy małżeństwa nie byłem przyjacielem a tém bardziej teraz. W obozie posiwiały, szabla i koń, to moje były kochanki; a jeślim czasem pokochał, to po huzarsku: póki dobrze, póty miłość. I ja teraz mam się w amory wdawać? Byłbym szalony, a jeszcze szaleńsza ta, coby się za mnie wybrała.

Orgonowa.

Ja więc dziś mówić nie będę.

Major.

Gadaj sobie Waćpani na wszystkie cztery wiatry, gadaj do sądnego dnia, ale nie o mojem ożenieniu.

Orgonowa.

Chwilę tylko cierpliwości; ożenienie ożenieniu nie równe.

Major *(na stronie).*

Zawsze diabła warte.

Orgonowa.

Nie wiesz kogo ci za żonę przeznaczam.

Major.

Nie ciekawym.

Orgonowa.

Moję Zosię.

Major.

To dziecię?

Orgonowa.

Ma lat ośmnaście.

Major.

A ja pięćdziesiąt sześć; cztery lata starszy od Waćpani.

Orgonowa.

Bez rachuby, bardzo proszę.

Major.

Nawet podobno Waćpani pięćdziesiąty trzeci.

Orgonowa.

Same, widzę, obelgi odnoszę za moje dobre chęci.

Major.

Za dobre chęci dziękuję, a układu nie przyjmuję.

Orgonowa.

Zastanów się tylko, uparty Majorze: dziewczyna na wsi bogobojnie wychowana, cały swój los wdzięczna ci będzie, będzie kochała, szanowała, więcej jak ojca, niż męża; a ty otoczony dziećmi...

Major.

Trudno, trudno.

Orgonowa.

Będziesz błogosławił chwilę, w której zostałeś po-

wolnym moim zamiarom. Nie gardź, proszę cię, szczęściem, które ci się zdarza.

Major.

Szczęściem nie gardzę; ale szczęścia nie widzę za-truć czyją młodość dolegliwościami wieku starego i wy-stawić się na pośmiewisko całego pułku huzarów.

Orgonowa.

Co za troska! Niechno się trafi któremukolwiek z tego całego pułku huzarów, młoda, ładna, dobra dziewczyna; a zobaczysz, że co innego drugiemu ra-dzić, a co innego samemu działać. Dlatego proszę pa-na brata, zaprzestać wszelkich narad z tym swoim Rot-mistrzem, z tym swoim kapelanem i z tym swoim wy-smukłym Porucznikiem. Każdy odradzać ci będzie a sam gdyby mógł, trzy razyby się ożenił. Namysł się więc, ale sam, bardzo proszę.

(odchodzi)

S C E N A XI.

Major.

Krótkie namyslenie, bardzo krótkie. Mam rozum, Bogu dzięki. *(woła przez okno)*

Chodźcie koledzy! — Powiem im: czemu nie mam powiedzieć? Będą się śmieli wraz ze mną. Mnie się żenić? mnie! Dreszcz mnie przechodzi. Młoda żona! ha, ha, ha, piękną zacząłbym kampanią.

S C E N A XII.

Major, Rotmistrz, Kapelan, Porucznik.

Major.

Siadajcie *(siadają wkoło stołu)*.

Dowiedziałem się nareszcie o co chodzi. Fraszka!
Co powiecie... chcą mnie ożenić.

Wszyscy.

Ożenić?

Major *(śmiejąc się).*

Tylko ożenić.

Porucznik.

Z kim?

Major.

Z Zosią, moją siostrzenicą.

Kapelan.

Nie uchodzi, nie uchodzi.

Porucznik *(na stronie).*

Co słyszę!

(do Majora)

A Major?

Major.

I możesz się pytać.

Rotmistrz.

Nie chce, oczywiście.

Major.

Chybabym oszalał.

Kapelan.

Brawo.

Major.

Ale miarkuję, że moje Panie siostry nie tak łatwo odstąpią zamiaru.

Porucznik.

Przymusić, nie przymuszają.

Major.

Zapewne. Ale chciałbym jak najmniej o tém słyszeć.

Rotmistrz.

Niech gadają, a my nie słuchajmy.

Major.

Nie sposób nie słuchać.

Rotmistrz.

Uprzykrzy im się nareszcie.

Major.

Co, gadanie? żartujesz, Panie kolego.

Porucznik.

Trzeba to rozważyć.

Major.

Bylem się nie żenił.

Kapelan.

Nie uchodzi.

Rotmistrz.

I ja tak myślę.

Porucznik.

I ja także. Ale cóż Zosia na to?

Major.

Jeszcze nie wiem.

Rotmistrz.

Moje więc zdanie...

SCENA XIII.

Ciż sami, Orgonowa, Zofia.

Orgonowa.

Cóżto? rada wojenna. *(Wszyscy wstają; milczenie.)*

Major

(cicho do Rotmistrza przy nim stojącego).

Rotmistrzu, powiedz, proszę, że to być nie może.

Rotmistrz *(podobnież do Kapelana).*

Kapelanie, powiedz jej co myślisz.

Kapelan *(do Rotmistrza).*

Nie uchodzi; niech Major mówi.

Rotmistrz *(do Majora).*

Powiedz, że nie chcesz.

Major.

Uradziliśmy...

Orgonowa.

Pewnie nic dobrego. *(milczenie)*

(biorąc na stronę Majora)

Zostańmy się sami.

Major.

Dziękuję, tego nie potrzeba.

Orgonowa.

Panowie pozwolą... *(kłania się, Oficerowie odchodzą)* No Majorze, teraz możesz z Zosią...

Major.

Ależ, pani sestro...

Orgonowa.

Zostawiam was sam na sam.

Major.

Ale... zatrzymaj się... później...

Orgonowa.

Trzeba skończyć. Zosiu, słuchaj...

Major *(idąc ku drzwiom).*

Pozwól... zaraz... krew z nosa...

Orgonowa.

Ale wrócisz?

Major.

Wróćę, wróćę. *(odchodzi)*

SCENA XIV.

Orgonowa, Zofia.

Orgonowa.

Proszę sobie z głowy wybić wszystkie romanse, jakieś tylko kiedykolwiek słyszała, albo może przypadkiem i czytała. Dla losu, nie dla miłości idzie się za mąż. Twój wuj jest człowiek uczciwy, ma dobrą wieś,

która pewnie w inne wpadnie ręce, jeśli się z tobą nie ożeni.

Zofia.

Ależ, kochana matko, mam nadto dobre o nim mniemanie, abym mogła myśleć, że mnie zechce mimo mojej woli.

Orgonowa.

Jakto mimo woli? czyż masz Waćpanna inną, jak wolę matki?

Zofia.

Wypełnić ją mogę; ale mieć tę samą, trudno sercu rozkazać.

Orgonowa.

Tylko nie o sercu.

Zofia.

Nareszcie, może on nie zechce dla siebie samego.

Orgonowa.

Zechce, jak ty zechcesz. Znam go dobrze, nieraz mi już ustąpił dla tego tylko, aby się nie sprzeczać.

Zofia.

Dlaczegoż, kochana matko, koniecznie pragniesz tego małżeństwa?

Orgonowa.

Dla twojego szczęścia.

Zofia.

Ale jeśli to będzie mojem nieszczęściem.

Orgonowa.

Nadtoś jeszcze młoda, byś to nadal rozpoznać mogła. Matka za córkę stanowić powinna.

Zofia.

Jestem jednak w stanie poznać, że jego wiek z moim wcale nie stosowny.

Orgonowa.

Jak się ząbki przecierają! ktoby się spodziewał... wiek

niestosowny... Młodziak jaki, trzpiot, byłby Waćpannie dogodniejszym?

Zofia.

Ten, coby mi się podobał, byłby najdogodniejszym.

Orgonowa.

Dość tego... więcej ani słowa... Nie pójdziesz za Majora, to wiesz co cię czeka.

Zofia.

Ach, kochana matko, cóż ja ci przewiniłam.

(placze)

Orgonowa.

Słuchaj, Zosiu, ja cię kocham, szczerze twego szczęścia pragnę. Nie bądź więc dzieckiem, nie opuszczaj losu, który ci się zdarza. Mój brat jest charakteru łagodnego, ulegającego, żona z nim robi co zechce; tylko nie trzeba tracić odwagi, jeśli z razu znajdują się trudności. Każdy mąż z początku o tém tylko myśli, aby nie dać się zawojować. Sroży, puszy się, rozkazuje, wszystko na swoim postawić musi, Pan, Pan samowładny, pierwszych tygodni. Ale tylko cierpliwości, tylko cierpliwości; zmorduje go, sprzykrzy mu się ciągle walka i ciągle straż siebie samego, a żona rozumna co sobie raz ułoży, nigdy odstąpić nie powinna i jedną zawsze drogą, krok po kroku stawiając, powoli, powoli, ale nieochybnie dojdzie do celu, a tym jest: być Panią w domu, *(z pokorą)* a Pana uznawać. Zostawiam cię; bądź rozsądną, bądź posłuszną matce a dobrze wyjdiesz; Major tu zaraz będzie, staraj mu się podobać

(głaszcząc ją pod brodę)

i pamiętaj, że na tém twojem zameściu polega szczęście twojej matki. *(odchodzi)*

SCENA XV.

Zofia później **Porucznik**.**Zofia** *(po krótkim myśleniu)*.

Myślę, myślę i pewnie nie dobrego nie wymyślę. Matce oprzeć się trudno; szczęścia wyrzec się trzeba. Ach, Edmundzie! Edmundzie! nie nie będzie z naszej miłości.

Porucznik*(który się był zatrzymał w głębi)*.

Zkądże ta smutna wróżba?

Zofia.

Dobrze, żeś nadszedł. Radź czémprędzej... zmiłuj się... radź co robić, bo zginiemy oboje.

Porucznik.

Zginiemy, a to dla czego?

Zofia.

Czyż nie wiesz, że jest wolą mojej matki, abym poszła za Majora?

Porucznik.

I cóż ztąd?

Zofia.

Edmundzie, cożto za pytanie? Miałoby twoje oświadczenie przed chwilą nie być szczére? Miałoby mnie zawieść serce moje?

Porucznik.

Ani jedno, ani drugie. Matka chce wydać cię za Majora, a ja właśnie z jego oświadczeniem przychodzę, że bardzo cię kocha i właśnie dla tego, że kocha, żenić się z tobą nie myśli i nie chce.

Zofia.

To jeszcze nie koniec.

Porucznik.

Droga Zofio! miejmy nadzieję; chcemy ją mieć. Od chwili jak cię tu zoczyłem, jakieś niewymowne prze-

czucie szczęścia, duszę moję napełnia. Ciebie tu spotykam, ciebie, którą od tak dawna napróżno szukałem.

Zofia.

Wszystkie i mego ojca były starania daremne; nie mógł się nawet dowiedzieć, z którego pułku żołnierze, na których czele wyrwałś go śmierci, a mnie najokropniejszemu nieszczęściu. W ostatniej życia godzinie wspominał cię z wdzięcznością i mnie ją przekazał w jedynej spuściznie.

Porucznik.

Więcej niż wdzięczność, zyskałem miłość twoję.

Zofia.

Najszczęśliwszą a i najświętszą, bo uprawnioną ostatnią wolą ojca.

Porucznik.

Innych praw nie roszczę.

Zofia.

A mogeż zapomnieć...

Porucznik.

Kochana Zofio! wierz mi... moja czynność wychodzącym z niebezpieczeństwa zdała się dziełem anioła; ale w rzeczy, ledwie warto ją wspomnieć. Żałowałem tylko, że zbliżający się nieprzyjaciół nie dozwolił mi zabezpieczyć dalszej waszej podróży i że w tém zamieszaniu żadnej a żadnej nawet o waszém nazwisku nie powziąłem wiadomości.

Zofia.

Mój ojciec w podróży, został przymuszony nagłą słabością zatrzymać się dni kilka w domku jednego leśniczego. W trzy dni po przechodzie naszego wojska, stanęło we wsi kilkuset różnej broni żołnierzy. Rabunek zaczął się wkrótce i do tego stopnia doszedł wście-

kłości, że podpalano domy bez żadnej przyczyny. Odciągnięta od ojca, widziałam już zajmujący się dach, gdy głos twój, słuch mój uderzył. Zdało mi się zaraz wtenczas, że słyszę głos znajomy, i potem, ilem razy cię wspomniała, zawsze jak dawną znajomość: serce moje twojém było, nim się jeszcze zbliżyłeś do niego.

Porucznik.

Jak ja, tak i każdy oficer byłby cię ojcu powrócił i kazał pożar ugasić. Szczęście więc tylko moje, że mnie się to trafiło. Patrz, Zofio, wstążka którąś upuściła; od tego czasu nie zeszła z serca mego: nie wiedząc gdzie, kto jesteś, jej wierny byłem.

Zofia.

Zosobna, widzę, Bóg przyjął przysięgi nasze. Ale, Edmundzie, moja matka nic nie wie o tém. Niestety rodzice moi nie żyli z sobą od lat dziesięciu i dośchy było powiedzieć, że to było wolą męża, aby ją nieprzebłaganą na zawsze uczynić.

Porucznik.

Nie więc jej jeszcze o tém nie mówmy.

Zofia.

Zwierz się Majorowi, wezwijmy jego pomocy.

Porucznik.

Mógłbym ufać jego pomocy, gdyby tylko nie w tej mierze. Jest niezwyćzony nieprzyjaciel małżeństwa i choćby mi nie przeszkadzał, straciłbym pewnie jego przyjaźń, może i szacunek.

Zofia.

Nieszczęsne uprzedzenia!

Porucznik.

Z drugiej strony jestem pewny, że moim rywalem nie będzie; raz, że się mniej boi całego szwadronu nieprzyjacielskiego, niż jednej żony; a powtórc, że nadto

szlachetnie myśli, aby chciał być sprawcą czyjegokolwiek nieszczęścia.

Zofia.

Ale wiedz jeszcze o tém, że jeżeli nie pójdę za niego, Smętosz, obrzydły człowiek, głupi, brudny, stary lichwiarz moję rękę ma otrzymać.

Porucznik.

Czy podobna? aby matka...

Zofia.

Podług niej, majątek szczęściem, a do tego, mówiąc między nami, jest trochę upartą.

Porucznik.

To źle, bardzo źle. *(myśli)*

Zofia.

Jednak kochających, mówią, Bóg nie opuszcza; może matka zmiękczy się prośbami naszymi.

Porucznik *(po krótkim milczeniu)*.

Nie, na niepewne losu nie stawmy.

Zofia.

Cóż robić?

Porucznik *(po krótkim milczeniu)*.

Przykra rzecz udawać, zwłaszcza z przyjaciółmi; ale ich uprzedzenia często nierozsądne, uprawniają poniekąd niewinne oszukaństwo. Trzeba więc, abyś oświadczyła Majorowi, że chcesz pójść za niego.

Zofia.

Dla Boga! to pójdę.

Porucznik.

Tego się nie lękaj, ja ręczę. Twoja matka, widząc cię przychylną zamiarowi swojemu, nie straci nadziei przywieść go do skutku i odpowie Smętoszowi, a Major coraz bardziej przynaglony, przyjmie łatwo ostrożnie podsuniętą myśl, mną wyręczyć siebie.

Zofia.

Ach, toby dobrze było.

Porucznik.

Staraj mu się jednak podobać; bo zakochać się nie zakocha, a dobrze będzie jak pojmie, dla czego ja kocham.

Zofia.

Mam więc...

Porucznik.

Być matce powolną i Majorowi przyjazną.

Zofia.

Jesteś jednak pewny, że nie zechce...

Porucznik.

Ach, tak pewny jestem, jak ty mojej, ja twojej miłości.

Zofia.

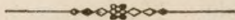
Jakikolwiek skutek otrzymamy, Edmundzie, serce Zofii twojem do śmierci

Porucznik *(całując ją w rękę).*

Już 'samo to zapewnienie jest mojem szczęściem. Ale idź, uwiadom matkę o odpowiedzi Majora i postępuj sobie stosownie do naszego układu; miłość i nadzieja niech naszym hasłem będzie.

Zofia.

Do zgonu.



A K T II.

Ten sam pokój. Zamiast broni pootwierane pudełka ze stroikami; zamiast szachów zwierciadło. Na tureckiej głowie czépeczek, na celu suknia. Mapy, klatki sprzątnięte. Słychać za sceną trąbienie, a potem mocny wystrzał.

S C E N A I.

Fruzia, potem **Juzia**, **Zuzia**.

Fruzia (*wybiegając*).

Juziu, Juziu! Zuziu! Juziu, Zuziu!

Juzia (*wbiegając*).

Czego?

Zuzia (*wbiegając*).

Cóż tam?

Fruzia (*biegając po pokoju*).

Panie się zlekły, Panie chcą zemdleć.

Zuzia (*ku drzwiom biegnąc*).

Dla Boga!

Juzia (*ku drzwiom*).

Może zemdlały?

Fruzia (*wybiegając*).

Niema gdzie! niema gdzie!

S C E N A II.

(Major prowadzi Panią Orgonową całkiem na nim wspartą, powoli do jej pokoju; przy niej Zosia, za nią Fruzia. Poczekawszy, Rotmistrz prowadzi podobnie Panią Dynalską z Juzią; przechodzą do swojego pokoju. Poczekawszy, Porucznik podobnie pannę Aniele, (Grzegorz z drugiej strony, trąba w rękę) i przy drzwiach zostaje. Kapelan na

końcu wchodzi z zawiązaną serwetą, staje w środku na przodzie sceny i tak nieporuszenie stoi do końca sceny.)
(słychać w pokojach)

Wody! wody! wody;

(Grzegorz wybiega i wkrótce wraca, w jednej ręce trąba, w drugiej konewka ogrodowa.)

Fruzia (we drzwiach).

Wody! (Grzegorz ku niej biegnie)

Juzia (we drzwiach).

Wody! (Grzegorz ku niej biegnie)

Zuzia (we drzwiach).

Wody! prędzej! (Grzegorz wybiega za nią)

(Dziewczęta i Porucznik przebiegają scenę w różnym kierunku z flaszeczkami, szklankami i t. d.)

SCENA III.

Major, Rotmistrz, Kapelan, Grzegorz.

(Kapelan zawsze w swoim miejscu z założonemi rękoma; Grzegorz zadyszany, w głębi.)

Major (obcierając czoło).

Ktoby się spodziewał!

Rotmistrz (podobnie).

Któż to mógł przewidzieć!

Major.

Nie trzeba było stawiać pod samém oknem.

Rotmistrz.

Wystrzał był za mocny.

Major.

W samej rzeczy, że mocny; któż nabijał?

Rotmistrz.

Grześ.

Major.

Pewnie daleś więcej prochu?

Grzegorz.

Troszeczkę, troszeczkę tylko, Panie Majorze.

Major *(chodząc)*.

Troszeczkę! U niego to nic nie znaczy! troszeczkę!
Otóż masz, co to troszeczkę narobiło.

Rotmistrz *(chodząc)*.

Nie byłyby się tak polekły.

Major *(chodząc)*.

Tak, nareszcie może byłaby jedna zemdląła.

Rotmistrz *(chodząc)*.

Tak, jedna, a niech i dwie.

Major *(chodząc)*.

Tak, niech i dwie, ale trzy!

Rotmistrz.

Trzy od razu!

Major.

Trzy, trzy od razu!

Kapelan.

Posłać po doktora... krew im puścić.

Rotmistrz.

Nim przyjedzie...

Major.

Lepiej niech im Grześ krew puści.

Kapelan.

Nie uchodzi, nie uchodzi.

Grzegorz

(stojąc prosto przed Majorem).

Panie Majorze, podejmuję się.

Kapelan.

Nie można.

Major.

Ale kiedy umie... sam widziałem... puszczał raz
mojemu trębaczowi, jak go koń uderzył... prawda że
nie do razu, ale jednak...

S C E N A IV.

Ciż sami i Porucznik.

Porucznik.

Przecie nasze damy przyszły do siebie. Pani Or-gonowa ma jeszcze tylko spazmatyczne ziewanie.. Pani Dyndalska lekką kolkę... a Panna Aniela cokol-wiek dreści.

Grzegorz.

Pan Major nie każe?

Major.Już nie potrzeba. *(Grzegorz odchodzi)***Porucznik.**

Wszystko ustanie po chwili spoczynku.

Major.

Bogu dzięki.

Rotmistrz.

Chodźmy do obiadu.

Fruzia*(wchodzi i dygając przed Majorem).*

Moja Pani prosi Pana, abyś Pan kazał, aby konie w stajni nie hałasowały. Bardzo tupają i kichają a to szkodzi nerwom mojej Pani. *(odchodzi)*

*(Oficerowie spoglądają na siebie w milczeniu.)***Rotmistrz.**

Nerwom szkodzi.

Major.

Koniom kazać, aby nie hałasowały. Grzesiu!

(Grzegorz wchodzi, Rotmistrz i Major chodzą.)

Konie ze stajni wyprowadzić.

Grzegorz.

Dokąd?

Major.

Dokąd chcesz... niech koczują.

(Grzegorz odchodzi, Juzia wchodzi.)

Juzia *(dygając przed Majorem).*

Moja Pani prosi, abyś Pan kazał powynosić z domu wszystkie armaty, fuzye i pałasze, bo się lęka nowego przypadku i spać nie może.

(Juzia odchodzi)
(chwila milczenia)

Rotmistrz.

Armaty powynosić.

Major.

I pałasze. Grzesiu! *(Grzegorz wchodzi)*

Broń zebrać i na strych wynieść.

(Grzegorz odchodzi, Zuzia wchodzi.)

Zuzia

(dygając przed Majorem).

Moja Pani prosi, abyś Pan kazał zakadzić pod oknami, bo proch bardzo śmierdzi, z czego dreszcz się powiększa. *(odchodzi)*

(chwila milczenia)

Major.

Grzesiu!

Rotmistrz.

Czegoż chcesz? *(Grzegorz wchodzi)*

Major.

Kazać zakadzić.

Rotmistrz.

Na dworze?

Kapelan.

Bądźcie zdrowi.

Major.

Dokąd?

Kapelan.

Jadę.

Rotmistrz.

Odstępujesz nas?

Kapelan.

Nie wytrzymam.

Rotmistrz.

A to i ja pojadę.

Major.

A to weźcież i mnie z sobą.

Porucznik.

Ale, moi Panowie, jakże chcecie same damy zostawić.

Major.

One sobie tu poradzą.

Porucznik.

Ale one was nie puszczą.

Major.

Cicho! *(ciszej)*

Trzeba w sekrecie odjechać.

Rotmistrz *(cicho).*

Trzeba uciec w sekrecie.

Kapelan.

Uciekajmy.

Major *(do Grzegorza cicho).*

Kulbaczcie konie.

Porucznik.

Majorze, Rotmistrzu!...

Major.

Pst... zbierzmy się...

Rotmistrz.

I w nogi.

(odchodzą na palcach do swoich pokojów)

Porucznik *(sam).*

A to pięknie! Jechać nie mogę... sam nie zostanę... co tu robić?... trzeba przeszkodzić tej ucieczce. Gdybym mógł...

(idzie ku drzwiom Zofii, powoli otwiera; na jego znak Zofia wychodzi)

S C E N A V.

Porucznik, Zofia.**Porucznik.**

Zofio, źle się dzieje.

Zofia.

Cóż takiego?

Porucznik.

Major, Rotmistrz i Kapelan, przestraszeni tém co się stało a bojąc się jeszcze bardziej, co ich nadal czeka, ułożyli ucieczkę.

Zofia.

Jako? chcą odjechać?

Porucznik.

Tak jest, tajemnie. Idź, powiedz to matce; tylko nie mów, że wiesz odemnie. Ja także z nimi muszę się wybierać.

Zofia.

Cóż pomoże moja matka?

Porucznik.

Już ona sobie poradzi, tylko idź i powiedz.

(Odchodzą w przeciwnie strony.)

Major, Rotmistrz, Kapelan wychodzą bardzo ostrożnie i na palcach powoli postępują; mantelzaczki pod pachą, przy pałaszach. Dają sobie znak, aby być cicho, a zszedłszy się na środku, wychodzą oglądając się i powoli.

Fruzia, a potem Juzia i Zuzia przebiegają ze drzwi do drzwi jak w scenie drugiej.)

S C E N A VI.

Orgonowa, Dyndalska, Aniela, Fruzia, Juzia, Zuzia.

(Wybiegają ze swoich pokojów; za każdą służąca kończąca ubierać. Stają bez tchu na przodzie sceny w koło tuż koło siebie; żadna przemówić nie może.)

*(chwila milczenia)***Dyndalska** *(odetchnąwszy).*

Chcą uciekać!

Aniela.

Uciekać!

Orgonowa.

...ciekać!

Dyndalska.

Nie puszczać!

Orgonowa.

Biegaj Dyndalsiu!

Dyndalska.

Skocz Anielko!

Aniela *(do dziewcząt).*

Biegajcie!

Orgonowa.

Czekajcie!... proście... Major niech tu przyjdzie...
Nie odstępujcie go i kroku... biegajcie!

SCENA VII.

Orgonowa, Dyndalska, Aniela.

(siadają)

Orgonowa.

Rzecz niesłychana!

Aniela.

Nie do uwierzenia.

Dyndalska.

Sprawka Panów doradców.

Orgonowa.

Nie inaczej, samby nie śmiał.

Dyndalska.

Panu Rotmistrzowi wszystko nie na rękę.

Orgonowa.

I Kapelanowi.

Aniela.

Albo i Porucznikowi.

Orgonowa.

Ten nic nie znaczy.

Aniela.

Nie wierz temu, siostruniu.

Orgonowa.

Już ja ci ręczę. On ani pomoże, ani zaszkodzi. Jest, czy go niema, wszystko jedno. Ale ci starzy, ci starzy, jak zaczęą ruszać wąsiskami, toby w ogień wlażł jeden za drugim.

Dyndalska.

Póki będą z sobą, póty próżne nasze starania. My gadamy, gadamy, a Pan kolega kiwnie głową, i jużci po wszystkimu.

Orgonowa.

Rotmistrz najstraszniejszy.

Aniela.

Kiedy tak... poświęcę się waszemu dobru: pójdę za niego.

Dyndalska.

Ależ on ma rozum, kochany aniołku.

Aniela.

A dowcip Waćpani.

Orgonowa.

Niech się stara mu podobać... albo go podbije, albo go wystraszy; zatém zawsze dobrze.

Aniela.

Chcę wam służyć mimo waszych urągania i zobaczycie, że swego dokażę.

Orgonowa.

Majora rozczulać.

Dyndalska.

Nie dać mu odetchnąć.

Orgonowa.

Ani momentu; jak go zmęczymy, to na wszystko przystanie. Ja go znam dobrze.

Dyndalska.

Kapelana z obydwoma poróżnić.

Orgonowa.

Ile możliwości mu dokuczać.

Dyndalska.

Zręcznie słówko wsunięte, najlepszych często poróżni przyjaciół.

Orgonowa.

Już ja to biorę na siebie; na waszém świadectwie polegam.

Aniela.

Otóż i Major.;

SCENA VIII.

Orgonowa, Dyndalska, Aniela, Major i dziewczęta.

(Fruzia wchodzi poważnie, za nią Major, za nim Juzia i Zuzia; zostają przy drzwiach chichotając się między sobą. Chwila milczenia. Na znak Orgonowej dziewczęta odchodzą.)

Orgonowa.

Witamy z podróży. *(Major się kłania)*

Dyndalska *(po krótkim milczeniu).*

Gdzież się Pan brat wybierał?

Major.

Chciałem konia przejechać.

Orgonowa.

Konia przejechać?

Major.

Konia przejechać.

Orgonowa.

Tak, mały spacer zrobić?

Major.

Mały spacer zrobić.

Orgonowa.

I wrócić?

Major (*z westchnieniem*).

I wrócić.

Orgonowa.

Prędko?

Major.

Tak... to jest... nie wiem... bo to...

Orgonowa.

Naco to udawać? lepiej prawdę powiedzieć.

Major.

Dobrze Waćpani mówisz, nie umiem i nie chcę udawać. (*wstają*)

Orgonowa.

Chciałeś nas więc odjechać?

Major.

Chciałem.

Orgonowa.

Same zostawić?

Major.

Same zostawić.

Orgonowa.

Tajemnie?

Major.

Bez pożegnania.

Orgonowa.

Do tego stopnia posunąłeś niegrzeczność.

Major.

Mylisz się Waćpani; to nie była niegrzeczność.

Orgonowa.

Tylko uprzejmość.

Major.

Nie inaczej.

Orgonowa.

W nowym wcale sposobie; gości w domu odjeżdżać.

Major.

Myślałem, że im beze mnie lepiej będzie. Nie umiem, przyznam się, dam przyjmować, i przy najlepszej chęci mógłbym nabroić z niewiadomości wiele złego. Już raz z mojej winy dostałyście mdłości; któż ręczy, że nie pomrzecie jak was jeszcze lepiej uczyć zechcę? Mógłbym zgadnąć, że konie powiększają spazmy, proch dreszcz a pałasze kolki? I mogęż wiedzieć, czego wam trzeba a czego nie trzeba?

Orgonowa.

Wszystkobyś wiedział, gdybyś był kontent z naszego przybycia. Ale, niestety! siostry kochające cię... siostry dawno cię niewidzące...

Dyndalska.

Uteśknione brata uściskać...

Orgonowa.

Mimo wszelkich trudności, wybierają się do ciebie...

Dyndalska.

W najniegodziwszą drogę...

Aniela.

Ugrzęzłyśmy dwa razy.

Major

(z westchnieniem na stronie).

Ach, któż was wyciągnął na moją biędę?

Orgonowa.

Przyjeżdżają zająć się twojem szczęściem...

Dyndalska.

Troskliwe o twoje dobro...

Orgonowa.

I tak je przyjmujesz?

Aniela.

Chcesz porzucać.

Orgonowa.

Uciekasz od nich.

Dyndalska.

Bez względu na ich słabe zdrowie...

Orgonowa.

Nerwy nadwreżone.

Dyndalska.

Takaż to miłość braterska!

Orgonowa.

Taka wdzięczność! ach, to boli! *(zaczyna płakać)*

Major.

Ale, moja Pani siostró...

Dyndalska.

Niewdzięczność, i od brata! *(zaczyna płakać)*

Major *(do Dyndalskiej).*

Ale, Pani siostró...

Aniela.

Odpycha serca nasze! *(zaczyna płakać)*

Major.

Ale moja Panno siostró...

Orgonowa.

Bądźże tu uczynną; ach! ach!

Dyndalska.

Ach! ach!

Aniela.

Ach! ach!

Dyndalska *(rzucając się na krzesło).*

Kolki!

Aniela *(podobnież).*

Słabo mi.

Orgonowa *(podobnież).*

Spazmy!

Major.

Tylko nie mdlejcie, dla Boga! *(milczenie)* Mdleją; co

tu robić? Hej! jest tam kto?... wody! wódki! octu!...
czy pogłuchli... Grzesiu! Grzesiu!

(wracając się ku nim)

Mdleją! co robić?... Grzesiu, wystrzel z moździerza!

(zrywają się wszystkie)

Orgonowa.

Nie wystrzel, nie wystrzel!

Dyndalska.

Dla Boga! nie wystrzel.

Aniela.

Już mi trochę lepiej.

Major.

Moje panie siostry, gadajcie, róbcie co chcecie,
tylko nie mdlejcie; bo do wszystkich diabłów...

Aniela.

Ach, fi! co za brzydkie słowo!

Major.

Widzisz Waćpanna, że ani dam przyjmować, ani
z niemi umiem rozmawiać. Jednak co każecie wypeł-
nić, prócz jednego ożenienia; tém służyć nie mogę.

*(Dyndalska i Aniela, którym Orgonowa szepnęła, wychodzą
do jej pokoju)*

SCENA IX.

Orgonowa, Major.

Orgonowa.

Któż Waćpana do ożenienia zmusić może? Kto
Waćpana ciągnie do ołtarza? Wszak wszystko od two-
jej woli zależy i tylko uprzejmości trochę od ciebie żą-
damy. Bądź z nami dni kilka, wierz że szczerze radzi-
my, nie słuchaj kolegów i staraj się poznać Zosię.

Major.

Na co to się wszystko przyda?

Orgonowa.

Przynajmniej jedno słowo przemów do niej. Dla czegoż tak niemiłosiernie gardzisz tém biedném dziećciem! Płacz biedaczka utulić nie może.

Major.

Znowu płacz; a to wszyscy...

Orgonowa.

Otóż i ona... (*Zofia przychodzi*) Zostawiam was sam na sam; spodziewam się, że się sobie podobacie. (*do Majora na stronie*) Miej wzgląd na jej młodość. (*do Zofii na stronie*) Bądź rozsądna, o twój los idzie.

SCENA X.**Major, Zofia.**

(*chwila milczenia*)

Major.

Mościa panno...

Zofia.

Kochany wuju.

Major (*łagodniej*).

Moja panienko.

Zofia.

Co każesz?

Major (*łagodniej*).

Moja Zosiu.

Zofia.

Słucham.

Major (*na stronie*).

Diabli nadali taką sprawę!

(*do Zofii*)

Zapewne... bez wątpienia... oczywiście... wiesz to... ten... to jest, zamiar twojej matki względem... względem...

Zofia.

Wiem.

Major.

Cóż ty na to?

Zofia.

Ja, nic.

Major.

Mów szczerze.

Zofia.

Szczerze mówię.

(na stronie)

Pierwsze kłamstwo.

Major.

Więc nic?

Zofia.

Nic.

Major *(na stronie)*.

Rzecz dziwna!

(do Zofii)

Jednak cię to trochę martwi?

Zofia.

Bynajmniej.

Major.

Widzę z oczów.

Zofia.

Mylisz się Waćpan dobrodziej.

Major.

Mylę się?

(na stronie)

Rzecz dziwna! Jakto tej biedaczce powiedzieć: ja ciebie nie chcę? czy diabli nadali!

(do Zofii, po krótkim myśleniu)

Moja panienko, chciałbym, abyśmy się mogli zrozumieć.

Zofia.

I ja tego jedynie pragnę.

Major.

Dla dobra nas obojga.

Zofia *(na stronie).*

Ach, Edmundzie, Edmundzie, jakże trudną mi dałeś rolę!

Major.

Twój los szczerze mnie zajmuje.

Zofia *(na stronie).*

I ja go muszę zwodzić!

Major.

Powiedz mi więc: chcesz iść za mąż?

Zofia.

Tak jest.

Major.

Za mnie?

Zofia*(po krótkim wahaniu się, cicho).*

Tak jest.

Major.

To nie dobrze.

Zofia.

Dla czego?

Major.

Dla czego?

Zofia.

Tak jest, dlaczego nie dobrze?

Major.

Zdaje mi się, że Wacpanna możesz to łatwo zmiarkować.

Zofia.

Wcale nie.

Major.

Przynajmniej, dobrego nic nie widzisz?

Zofia.

I owszem.

Major.

I owszem?

(na stronie)

Rzecz dziwna!

(do Zofii)

Mnie się zdaje, że nie byłabyś szczęśliwą.

Zofia.

Od niego to zależeć będzie.

Major.

Ach, nietylko od mojej woli zależeć będzie, ale i od wielu, wielu okoliczności.

Zofia.

Tych trudno przewidzieć.

Major.

Po części, moja panienko, po części. Nigdy nie zgłębiałem, co stanowi istotne szczęście w małżeństwie; mniemam jednak, że dwie osoby dobierać się powinny, jak para koni: równy chód, równy zwrot, równy ogień, wtedy dobrze się jedzie a mniej się morduje. Ale kiedy jeden bystry a drugi leniwy, ten miękki, tamten twar-do-usty, ten ciągnie, tamten skacze; to diabła warto! prawda panienko! Powiedźże mi teraz Waćpanna, jak-byśmy się pobrali, do której pary koni będziemy podobni? do pierwszej, czy do drugiej? — Podobnoś do drugiej: Waćpanna byś biegła, ja się już potykam; Waćpanna byś skakała, ja już pokaszluję. Śmiej się, śmiej; lepiej śmiać się, niż głupstwo zrobić.

Zofia.

Nie myśl, ale porównanie rozśmieszyło mnie trochę.

Major.

Więc bez porównania. Waćpanna młoda, lubisz bawić się, i dobrze że lubisz, bo to na to pora. Potrzebujesz zatem męża, coby się także lubił bawić; coby cię woził po spacerach, ucztach, balach, teatrach, coby

po nocy na piszczałce przygrywał gdzieś tam nad strumykiem, gdzieś tam przy księżycu, jak to tam w waszych romansach opisują. A ja, moja panienko, nie do tego: w dzień służbę zajęty, wieczór fajkę palę a w nocy chrapie, aż się okna trzęsą.

Zofia.

Czyliż tylko uciech i rozrywek w małżeństwie upatrywać trzeba? Jestże młodość wieczną, abyśmy zapominali o późniejszym wieku? Za nicże liczyć uczciwość, łagodność, stałość charakteru tego, z którym mamy przebyć jak wiosnę tak i zimę życia naszego? Mężkami tylko cnotami mężczyźni zyskać mogą nasze serca. Dobra sława męża jest także sławą żony, a jednostajna spokojność jest podług mnie istotnym szczęściem.

Major.

Bardzo rozsądnie, bardzo, bardzo rozsądnie; z tém wszystkiém mój wiek...

Zofia.

Wiek doświadczenia.

Major.

Niektóre dolegliwości...

Zofia.

Któż bez nich?

Major.

Moje wady...

Zofia.

Ktoż ich niema?

Major.

Ja sam czuję, że można być grzeczniejszym, przyjemniejszym w towarzystwie. Trudno mi się będzie odmienić; nie umiem w bawełnę obwijać.

Zofia.

Dowodzi otwartość.

Major.

Przykrą czasem bywa ta żołnierska otwartość.

Zofia.

I owszem.

Major.

I owszem?

(na stronie)

Rzecz dziwna! dziewczyna młoda, ładna a rozsądna...
rzecz dziwna!

(do Zofii)

Ale, moja panienko, nie mówiąc do ciebie, wiele bardzo idzie za mąż dla zyskania wolności... wolności... rozumiesz Waćpanna, jak ja to rozumiem? Jeślim więc na męża niestworzony, to tém więcej na takiego, coby cierpiał pewne figle.

Zofia.

Zbytecznej wolności, wolności bez granic nie pragnę, ale i niewoli w małżeństwie nie spodziewam się znaleźć; wzajemne we wszystkiém obowiązki rządzić powinny.

Major.

Bardzo rozsądnie.

(na stronie)

I chce pójść za mnie... rzecz dziwna!

(do Zofii)

Z tém wszystkiém... ja myślę... że potrzebaby...

Zofia *(śmiejąc się).*

Wyraźnie, wyraźnie, kochany wuju.

Major *(na stronie).*

Rozsądna!... chce pójść za mnie, żal mi ją zmartwić.

(do Zofii)

Bo widzisz moja Zosiu, że...

Zofia.

Na co przyczyn szukać? nie znasz mnie jeszcze

Waćpan Dobrodziej... to dosyć... ale mnie poznać możesz... zostawmy więc czasowi a mam nadzieję zyskać na tém.

Major.

Nie trudno ci to będzie, moja Zosiu.

Zofia.

Czy tak?

Major (*zbliżając się*).

Z temi oczkami.

Zofia.

O! nie o tém mowa.

Major.

Z tą buzią.

Zofia.

O, bardzo proszę.

Major (*biorąc ją za rękę*).

Z tą rączką.

Zofia.

Panie Majorze!

Major (*obejmując ją*).

Z tym kształtem, z temi ..

Zofia.

Dla Boga, co to jest?

Major.

Ja się sam dziwię.

Zofia.

Spodziewam się.

Major.

Wszystkiego się spodziewaj.

Zofia

(*wyrywając się*).

Ach, tego nadto!...

Major.

Jeszcze mało!..

(*Zofia wybiega do swojego pokoju*)

S C E N A X I.

Major (*prostując się*).

Ech! ech, że mi teraz uszła!

(chodzi prostując się)

Odmłodniałem, odmłodniałem... dalibóg czuję, że odmłodniałem... i niedziw; luba dziewczyna, ładna dziewczyna, rozsądna, gwałtem chce iść za mnie!... Gdybym się ożenił?... Niech się co chce dzieje... Nie, to nie; niech się nie dzieje co chce... ale ja... tylko że to... bo znowu z drugiej strony... ale jednak... nareszcie w przypadku... a diabła tam, źle! Co tu robić?

S C E N A X I I.

Major, Dyndalska.**Dyndalska.**

No, panie bracie, jakże stoją interesa?

Major.

Różnie, różnie.

Dyndalska.

Zosia pomieszana, Waćpan zamyślony; dobry znak.

Major.

Znak nie zły, to prawda.

Dyndalska.

Jakże ci się podobała?

Major.

Ładna dziewczyna, niema co mówić.

Dyndalska.

A widzisz.

Major.

Miła.

Dyndalska.

A widzisz.

Major.

Dobra.

Dyndalska.

A widzisz.

Major.

Rozsądna.

Dyndalska.

Nie mówiłam?

Major.

Bardzo rozsądna.

Dyndalska.

To wszyscy wiedzą.

Major.

Gwałtem chce iść za mnie.

Dyndalska.

Gwałtem.

Major.

To nie źle.

Dyndalska.

Bardzo dobrze.

Major.

Ale z drugiej strony...

Dyndalska.

Niema drugiej strony... Podobają ci się?

Major.

Podobać się, podobała.

Dyndalska.

Więc się żeń.

Major.

Żeń się, łatwo mówić.

Dyndalska.

Cóż ci przeszkadza?

Major.

Co przeszkadza?

Dyndalska.

Na przykład?

Major.

Zgadnij Waćpani.

Dyndalska.

Nie chcę zgadywać.

Major.

Lat pięćdziesiąt sześć.

Dyndalska.

Fraszki.

Major.

Jej lat ośmnaście.

Dyndalska.

Fraszki.

Major.

Złe ztąd skutki.

Dyndalska.

Fraszki.

Major.

A, diabła tam fraszki!

Dyndalska.

Kobiety prędko się starzeją.

Major.

No, to prawda.

Dyndalska.

Zosia ma lat ośmnaście?

Major.

Ośmnaście.

Dyndalska.

Za dziesięć lat będzie miała dwadzieścia ośm.

Major.

To prawda.

Dyndalska.

Za piętnaście, trzydzieści trzy.

Major.

Prawda.

Dyndalska.

I już po młodości.

Major.

I to prawda.

Dyndalska.

Cóż za wielka różnica między wami?

Major.

A jużci!

Dyndalska.

Żadnej.

Major.

Jest, jest, niema co mówić.

Dyndalska.

Bardzo mało. A potem Waćpan nie masz pięćdziesięciu sześciu lat.

Major.

A mam, mam.

Dyndalska.

Ale nie masz.

Major.

Przecież muszę wiedzieć.

Dyndalska.

Ale ja mówię, że nie masz.

Major.

Mylisz się, mylisz.

Dyndalska.

Ale nie myślę.

Major.

Mam metrykę.

Dyndalska.

Nic nie znaczy. Aniela ma czterdziesty, a ja czterdziesty drugi skończę, Pani Orgonowa zacznie czter-

dziesty szósty, a Waćpan o cztery lata starszy, więc masz rok pięćdziesiąty; rzecz jasna.

Major.

Chyba myłka w metryce.

Dyndalska.

Pewnie.

Major.

No, pięćdziesiąt, to co innego.

Dyndalska.

A potem, powiedz mi, czy nigdy ci się nie trafiło widzieć szczęśliwe małżeństwo, a nierównego wieku.

Major.

I owszem. Właśnie niedawno Pan Prezes Radosław ożenił się z młodą osobą.

Dyndalska.

I kontent?

Major.

Kontent.

Dyndalska.

Szczęśliwy?

Major.

Szczęśliwy... tylko mówią że jego własny sekretarz...

Dyndalska.

Sekretarz, sekretarz; ale ty nie masz sekretarza.

Major.

I to prawda. A! a! Pan Fontaziński od trzech lat z młodziuchną żoneczką...

Dyndalska.

Żyje dobrze?

Major.

Dobrze... A diabła tam! zapomniałem, przeszłego roku musiał się rozwieść i jeszcze za rozwód zapłacić.

Dyndalska.

Ależ bo wyszukujesz przykłady...

Major.

Młody Radost, coto się dla dożywocia ożenił...

Dyndalska.

Żyje szczęśliwie.

Major.

Żył dosyć szczęśliwie, tylko że wkrótce zwaryował i zamknąć go musiano.

Dyndalska.

Na cóż szukać daleko. Wiesz w jakim wieku był nieboszczyk Dyndalski, kiedym szła za niego; jednak, Bóg widzi, nie miał przyczyny narzekać na mnie.

Major.

To prawda. Ale też nieboszczyk był zawsze jak nieboszczyk: Waćpani robiłaś coś chciała.

Dyndalska.

Pocziwa dusza! Wreszcie, on tak chciał a Waćpan jak zechcesz, to żona będzie robiła co jemu się podoba; wszystko zależy od układu.

Major.

I to prawda... niema co mówić... wszystko od układu zależy.

Dyndalska.

Pójdę więc...

Major.

Ale czekajno...

Dyndalska.

Spuść się na mnie.

Major.

Ale bo...

Dyndalska.

Bądź spokojny.

Major.

Nareszcie...

Dyndalska.

Rzecz skończona.

Major.

Tylko niech to jeszcze między nami zostanie, muszę wprzód...

Dyndalska.

Z koleżkami się naradzić.

Major.

Oczywiście.

Dyndalska.

Niepotrzebnie.

Major.

O, proszę...

Dyndalska.

Niech i tak będzie.

(na stronie)

Nie traćmy czasu. *(odchodzi)*

SCENA XIII.

Major *(sam).*

No, kiedy mi kto co do rozumu powie, to i ja umiem ustąpić, nie jestem uparty. Nie utrzymuję złego, dla tego aby nie przyznać, że się dotąd błądziło... Luba dziewczyna!... Ale ci co powiedzą?... hm, hm, hm... Miła dziewczyna!... Otóż i oni; trochę natrętni, prawdę mówiąc.

SCENA XIV.

Major, Rotmistrz, Kapelan, Porucznik.

Major

(z przymuszonym uśmiechem).

Chcą mnie gwałtem ożenić, ale to powiadam wam, gwałtem.

Rotmistrz.

One myślą, że trafiły na swego, z którym zrobią co zechcą, którego za nos będą wodzić,

(Major marsa stawia)

gdzie im się podoba.

Porucznik.

Niech sobie daremnie głowy nie łamią. Ale zabawić tu z nami mogą.

Major.

Mam lat pięćdziesiąt.

Rotmistrz

(odpowiadając Porucznikowi).

Pewnie że mogą, bo je trudno minami wysadzić.

Major.

Rozsądna wcale dziewczyna.

Porucznik

(odpowiadając Rotmistrzowi).

Nawet nie należy im zupełnie odejmować nadziei dopięcia zamiaru. Niech się same powoli domyślą.

Major

(z przymuszonym śmiechem).

Koniecznien chce iść za mnie.

Rotmistrz.

Nie dowodzi wielkiego rozsądku.

Major.

Mam lat pięćdziesiąt.

Porucznik

(odpowiadając Rotmistrzowi).

Kto wie, co ją zmusza; może rozkaz matki... może chęć stania się jej pomocną...

Major.

Gwałtem chcą mnie ożenić.

Kapelan.

Nie uchodzi, nie uchodzi.

Rotmistrz.

Ale to każdy wie.

Major.

Bardzo rozsądna.

Rotmistrz.

Co tam rozsądna, rozsądna... jakby tu szło tylko o rozsądek.

Major.

No, prawdę mówiąc, rozsądek rzecz nie mała.

Rotmistrz.

Chcesz więc się żenić?

Major.

Tego jeszcze nie mówię.

Rotmistrz.

Jeszcze? ale z czasem?...

Major.

Należy wszystko rozważyć... wszystko od układu zależy... Mam lat pięćdziesiąt.

Porucznik *(na stronie).*

Cóżto za odmiana? truchleję, to być nie może!

(do Majora)

Nie żartuj sobie z nas Majorze; znamy cię dobrze. Rotmistrz zapala się daremnie, ja gardło moje stawię, że nigdy nie zrobisz takiego szaleństwa.

Major.

Coto szaleństwa! szaleństwa! Proszę być grzeczniejszym, Panie poruczniku!... szaleństwa!

Kapelan.

Porucznik dobrze mówi. Mój Majorze, mój Majorze...

Major.

Mój Kapelanie, mój Kapelanie, gadaj prędzej, albo nie gadaj wcale.

Rotmistrz.

Żenisz się więc?

Major.

Żenię czy nie żenię, a szaleństwem mojej czynności nikt nazwać niema prawa, i kwita.

Kapelan.

Ale kiedy nie uchodzi...

Major.

Co mnie kto ma uczyć, co uchodzi albo nie uchodzi.

Kapelan.

Rób co chcesz. *(odchodzi)*

Porucznik *(do Kapelana).*

Zaczekaj, pójdziemy razem; jeszcze słowo.

(do Majora)

I szczerze to mówisz? bez żartów?...

Major.

Nie mam potrzeby sprawiać się przed nikim.

(Porucznik odchodzi z Kapelanem)

Hm! szaleństwo! szaleństwo! jaki do rady!

SCENA XV.

Major, Rotmistrz.**Rotmistrz.**

Nie masz się czego gniewać; chciałeś rady, bierz że taką, jaką dają.

Major.

Co innego rada, co innego nagana. Jeślim dotychczas miał fałszywe wyobrażenie o małżeństwie, nie widzę konieczności, abym je do śmierci zachował. Pięknato rzecz stan wojskowy, ale sprzykrzyć się z czasem może: wolność, wolność głosim a zawsześmy pod rozkazami, i na końcu staremu choremu, niema komu

i poduszki pod głowę położyć. I cóżto tak straszego mieć miłą, lubą, dobrą, młodą osobę zawsze koło siebie, co o nas pamięta, co nas głaszcze, cacka, pieści; cóż to tak straszego? I dla tego żem nie uparty, mam być szalonym! szalonym? Szalony, kto inaczej myśli. Prawda?

Rotmistrz.

Nieprawda.

Major.

Nieprawda?

Rotmistrz.

Nieprawda.

Major.

Bądź zdrow.

Rotmistrz.

Najniższy. (*Major odchodzi*)

SCENA XVI.

Rotmistrz.

Przyjechało ich trzy jak jedna, z kotami, mopsami, srokami, małpami, i jak zaczęły, tyr tyr tyr, tur turtur, tyr tyr tyr... z rozumnego człowieka głupiec. Jemu się żenić i żenić z dzieckiem! Kiedy już tak zachciał koniecznie, niechby sobie był poszukał co dojrzalszego... tylko że to... hm hm hm... (*siada*)

SCENA XVII.

Rotmistrz, Aniela.

Aniela.

Dobrze, że tu zastaję Waćpana. Jak też możesz być tak spokojnym będąc przyjacielem Majora? jak możesz zezwalać na jego ożenienie?

Rotmistrz*(po krótkim milczeniu, zadziwiony).*

Nie zezwalam.

Aniela.

Ale nie starasz się odwieść od tego szalonego zamiaru.

Rotmistrz.

Zabronić nie mogę.

Aniela.

Potrzeba jemu odmiany losu? niech mi kto powie.

Rotmistrz.

Zapewne, że nie.

Aniela.

Cóż przyjemniejszego nad stan wojskowy.

Rotmistrz.

Zapewne.

Aniela.

Używa obecności, o przyszłość się nie troszczy.

Rotmistrz.

Zapewne.

Aniela.

Podległy ty'ko swemu obowiązkowi.

Rotmistrz.

Zasługa jawna, ta za mną mówi, nie potrzebuję łaski niczyjej.

Aniela.

Nigdy sam, nigdy opuszczony.

Rotmistrz.

Zawsze w towarzystwie...

Aniela.

Przyjaciół doświadczonych. Bo gdzież lepiej poznać człowieka jak w trudach, biędzie, niebezpieczeństwie?

Rotmistrz.

To prawda.

Aniela.

Tam nie popłacają wykształcone słówka.

Rotmistrz.

Ho, ho!

Aniela.

Tam działać potrzeba.

Rotmistrz.

Jak na męża przystoi.

Aniela.

I na dobrego żołnierza; źle albo dobrze, ale otwarcie.

Rotmistrz.

Prostą drogą i śmiało.

Aniela.

Nigdy się nie bać.

Rotmistrz.

I samego diabła!

Aniela.

Ach!

(pomiarkowawszy się)

O tak, tak... szczęśliwy, szczęśliwy kto ten stan obrał. Ach, gdybym nie była kobietą, byłabym żołnierzem całe moje życie.

Rotmistrz.

Proszę!

(na stronie)

Do rzeczy kobieta.

Aniela.

Raz nawet myśl mi przychodziła, ale to dawniej, ukryć płęć moję, przywdziać mundur i stanąć w szeregu Huzarów.

Rotmistrz.

W szeregu Huzarów, i ukryć...

(na stronie)

Rzadka kobieta.

Aniela.

Ale tylko w kawaleryi chciałabym służyć.

Rotmistrz.

W kawaleryi?

Aniela.

Tak konie lubię.

Rotmistrz.

Konie Pani lubisz?

Aniela.

Szalenie.

Rotmistrz.

To rozum dowodzi.

Aniela.

Sama nawet konno jeżdżę.

Rotmistrz.

Konno jeździsz?

(na stronie)

Coto za kobiéta!

Aniela.

Coto za uciecha dobrego dosiąść rumaka, a jeszcze młodego, trochę dzikiego.

Rotmistrz

(z wzrastającym zapalem).

Uczyć go prawie chodzić.

Aniela.

Powoli.

Rotmistrz.

Cierpliwie jak z dzieckiem.

Aniela.

Potém żwawiej.

Rotmistrz.

A ostrożnie.

Aniela.

Kłusować.

Rotmistrz.

Niech się wyciąga.

Aniela.

Galopować.

Rotmistrz.

W koło, w prawo, w lewo.

Aniela.

Spiąć ostrogą.

Rotmistrz.

A to na co?

Aniela.

Czasem, czasem.

Rotmistrz.

Ale na co?

Aniela.

Tak... ale...

Rotmistrz.

Chyba że uparty, i to...

Aniela.

Tak, tak, kiedy uparty, i to...

Rotmistrz.

Ostrożnie.

Aniela.

O, ostrożnie.

Rotmistrz.

Bo można znarowić.

Aniela.

O, można znarowić. Cały dzień siedziałabym w stajni: tego, to tamtego, to znowu tego kazałabym przejeżdżać lub sama przejeżdżała. Coto za rokosz!

Rotmistrz *(na stronie).*

Na honor, rzadka kobiéta.

Aniela.

A potem wieczór fajeczkę zapalić.

Rotmistrz.

Ten smak trudno damom pojąć.

Aniela.

Jakto? Alboż jedna, ja pierwsza tytuń lubię.

Rotmistrz.

Lubisz Pani?

Aniela.

Sama palę.

Rotmistrz.

Sama tytuń pali!

(na stronie)

Coto za kobiéta! co to za kobiéta!

Aniela.

Tak mam odrębne gusta od całej płci mojej, żem dotąd za mąż pójść nie chciała. Ci miejscy panicze pragną, aby żona tylko się stroiła, bawiła, kręciła, trzpiotała; nie mogą pojąć kobiętę, coby lubiła życie obozowe.

Rotmistrz.

Szalone głowy.

Aniela.

Marsze, koczowania, ruch, pracę...

Rotmistrz.

Lecz czemuż Pani wojskowego rączką swoją nie zaszczyciła?

Aniela.

Sama płocha młodzież trafiała mi się tylko.

Rotmistrz.

Sama płocha młodzież.

Aniela.

Nikt w wieku rozsądnym.

Rotmistrz.

Nikt w wieku rozsądnym.

Aniela.

Coby cenił mój sposób myślenia.

Rotmistrz.

Być nie może.

Toma I.

Aniela *(dotykając jego ręki)*.

Serca żołnierzy z kamieni.

Rotmistrz *(całując w rękę)*.

Nie zawsze.

Aniela.

Niewzruszone, twarde.

Rotmistrz.

I lód twardy a przecie się topi od słońca.

(całuje w rękę)

Aniela *(niby wyrrywając rękę)*.

Fi, Rotmistrzu.

Rotmistrz.

Nic złego.

Aniela.

Ach, jak mi gorąco.

Rotmistrz *(do siebie)*.

Coto za kobiéta!

Aniela.

Chodźmy do ogrodu, tam chłodniej.

Rotmistrz.

Może do stajni?

Aniela.

O, potem, później.

Rotmistrz.

• Może fajeczkę?

Aniela.

Później, później.

Rotmistrz.

Idę gdzie każesz.

(do siebie)

Coto za kobiéta! Coto za kobiéta!

A K T III.

Tenże sam pokój, w kwiaty ozdobiony.

SCENA I.

Fruzia, Juzia, Zuzia.

(Fruzia prasuje; Juzia szyje; Zuzia przyszyja czépeczek na tureckiej głowie.)

Fruzia.

Cóż ty, Juziu, na to?

Juzia.

Na co?

Fruzia.

Na tych naszych panów. Jakeśmy przyjechały, jako się patrzyło, jako się srożyło!

Juzia.

Jak gdyby nas połknąć chcieli.

Zuzia.

Żaden dobrego słowa nie przemówił.

Fruzia.

A teraz jak baranki.

Juzia.

Na jedwabiu możnaby prowadzić każdego.

Fruzia.

Dobrze moja matka mawiała, że kobiety rządzą stworzone.

Juzia.

Ale czemu nie rządzą?

Fruzia.

Jakie ty dziecko! albożto jedno złe na tym świecie?

Zuzia.

Już ja bym tu i rządzić nie chciała.

Juzia.

O, i ja nie; mnie strach bierze jak spotkam którego, a zwłaszcza Majora.

Fruzia.

Mnie się zdaje, że gdybym była najodważniejszym żołnierzem, tobym zaraz uciekła, jakbym go tylko zobaczyła. Co to za wasy! dla Boga!

Juzia.

A Rotmistrz jeszcze straszniejszy ze swojemi miotłami.

(pokazując)

Jak jedna idzie do góry, to druga na dół; to znowu tamta na dół a ta do góry; aż dreszcz przechodzi.

Fruzia.

To prawda, że tu między temi wąsiskami, człowiek jak w lesie.

Zuzia.

Obrzydłe Huzary!

Fruzia.

A, dajno pokój, Zuziu; Porucznik...

Zuzia.

A, Porucznik.

Juzia.

A, Porucznik. Ten wart być Pułkownikiem.

Fruzia.

A jaki swawolny, fe!

Juzia.

Mnie się o to pytaj.

Zuzia.

Jakie wy szczęśliwe; do mnie i nie zagadał.

Juzia.

Ale zato pan Grzegorz.

Zuzia *(śmiejąc się)*.

To mój kochanek.

Fruzia *(śmiejąc się)*.

I mój także.

Juzia *(śmiejąc się)*.

Muszę go wam odebrać.

Fruzia.

Pst!

S C E N A II.

Fruzia, Juzia, Zuzia, Grzegorz.*(po krótkim milczeniu)***Fruzia.**

Czemuż Pan Grzegorz tak smutny?

Grzegorz.

Ach!

Fruzia.

I wzdycha.

Juzia.

Pewnie się kocha.

Grzegorz.

Ach!

Zuzia.

Szczęśliwa ta, co się podobać umiała.

Grzegorz *(na stronie)*.

Która tu ładniejsza?

Fruzia.

Kochasz się więc Waćpan?

Grzegorz.

Kocham, dalibóg kocham.

Fruzia.

Czemuż się nie żenisz?

Grzegorz.

Myślę, dalibóg myślę.

Juzia.

Czy jeszcze co przeszkadza?

Grzegorz.

Nie wiem czy mnie zechcą.

Fruzia.

Którażby nie chciała!

Juzia.

Tylko że z Waćpana wielki trzpiot być musi.

Grzegorz.

Nie, nie, wierz mi Waćpanna, że nie.

Fruzia.

Motylek płochy, niema i wątpienia.

Grzegorz *(na stronie).*

Nie rozumiem.

Fruzia *(kiwając głową).*

Jakibyto był los biednej żony.

Grzegorz.

Dla czego biednej? Mojej żony los byłby najprzyjemniejszy.

Fruzia, Juzia, Zuzia

(otaczając go; ironicznie przez całą scenę).

Najprzyjemniejszy.

Grzegorz.

Zaraz po ślubie wróciwszy do pułku, kupiłbym jej ładnego... konika.

Fruzia, Juzia, Zuzia

(kłaszcząc w ręce).

Konika, ach konika!

Grzegorz.

Potém porządną, mocną... baryłeczkę.

Fruzia, Juzia, Zuzia *(jak wprzód).*

Baryłeczkę, ach baryłeczkę!

Grzegorz.

I piękny, z przykrywką, zamykany... koszyk.

Fruzia, Juzia, Zuzia.

Koszyk, koszyk! ach to pięknie! to ślicznie!

Grzegorz.

Miałyby trunki i żywność. A że jestem dobrze znany Panom Oficerom, moja żonaby im tylko dostarczała.

Juzia, Zuzia.

Ach to pięknie! to ślicznie!

Fruzia.

Ale Panie Grzegorzu, a w czasie wojny, jak będzie?

Grzegorz.

Właśnie wtenczas najlepiej.

Fruzia.

Ale strach!

Grzegorz.

Gdzie tam strach. To jest, co może być najpiękniejszego. Proszę widzieć, kiedy szwadron Huzarów na harc wyjedzie.

Fruzia.

Na harc, słyszycie?

Grzegorz.

Pif paf, pif paf!

Fruzia, Juzia, Zuzia.

Pif paf!

Grzegorz.

Dalej piechota: brr... brr...

Fruzia, Juzia, Zuzia.

Br... br...

Grzegorz.

Tu znowu armaty: bom... bom...

Fruzia, Juzia, Zuzia.

Bom... bom...

(biegając i skacząc wkoło niego)

Pif paf... br... br... bom... bom...

Grzegorz

(kręcąc się wkoło i patrząc za niemi).

Lube, lube dziewczęta! Teraz żałuję, że nie jestem Turkiem.

Fruzia.

A fe, Turek.

Grzegorz.

Ja wiem, że fe! ale tą razą dobrzeby mi było, bo mógłbym się z wami trzema, razem ożenić.

Juzia.

Chyba że tak.

Dyndalska *(z za sceny).*

Juziu!

Juzia.

Słucham, zaraz idę.

Grzegorz *(zatrzymując ją).*

Zaczekaj.

Juzia.

Nie mogę.

Grzegorz.

Trochę.

Juzia.

Pani woła. *(odchodzi)*

Aniela (*z za sceny*).

Zuziu!

Zuzia.

Idę.

Grzegorz (*zatrzymując*).

Nie chódź.

Zuzia.

Muszę; do zobaczenia. (*odchodzi*)

SCENA III.

Fruzia, Grzegorz.

Grzegorz.

Ach, panno Fruzio! kochasz mnie Waćpanna?

Fruzia.

Jakże kochać, kiedyś jeszcze między nami nie wybrał.

Grzegorz.

Ciebie wybieram, sroczko moja.

Fruzia.

Pewnie?

Grzegorz.

Dziś się ożenię, jeśli zechcesz.

Fruzia.

O, na to dość jeszcze czasu.

Grzegorz.

Ale moja niecierpliwość.

Fruzia.

Tak mnie mocno kochasz?

Grzegorz.

Więcej, niż własnego mego konia. Jednak muszę ci wyznać, że ci twój los przyszedł ze mną, tylko z pięknej strony wystawił, są i niektóre...

Orgonowa (*z za sceny*).

Fruziu!

Fruzia.

Zaraz, zaraz.

Grzegorz (*zatrzymując ją*).

Jakże będzie?

Fruzia.

Wszystko dobrze.

Grzegorz.

Ach Fruziu!

Fruzia.

Ach Grzesiu! (*wybiega*)

Grzegorz (*sam*).

Mam, którą zechcę. Najlepiej zawsze: z miejsca nacieraj! Coto myśleć; nikt jeszcze samą myślą nic nie zrobił. I Juzia ładna... i Zuzia ładna... i Fruzia ładna... najładniejsza... ta będzie moją.

SCENA IV.

Rotmistrz, Grzegorz.

(*Rotmistrz wchodzi, troskliwiej ubrany, nalewając perfumy z flaszeczki na chustkę.*)

Grzegorz (*nie widząc Rotmistrza*).

Luba dziewczyna!

Rotmistrz (*nie widząc Grzegorza*).

Rzadka kobieta!

Grzegorz (*usłyszawszy*).

Pan Rotmistrz ją widział?

Rotmistrz (*z uśmiechem*).

Widziałem.

Grzegorz.

Prawda, Panie Rotmistrzu, że jak sarneczka.

Rotmistrz.

Jak sarneczka? hm... tego nie znajduję.

Grzegorz.
Ciągłe skacze.

Rotmistrz.
Skacze?... hm... tego nie widziałem.

Grzegorz.
Nigdy stępo, zawsze kłusem.

Rotmistrz.
Kłusem... hm... A tak, chcesz powiedzieć, że konno jeździ kłusem.

Grzegorz.
Konno jeździ?

Rotmistrz.
Jeździ, jeździ.

Grzegorz.

A do diabła, za pozwoleniem, w to mi graj; to się każdemu podoba, prawda Panie Rotmistrzu?

Rotmistrz *(z uśmiechem).*

Grześ ma rozum.

Grzegorz.
Z taką się żenić.

Rotmistrz.
Jaki pochlebniś.

Grzegorz.

Dziś się jeszcze z nią ożenię.

(Rotmistrz odskoczywszy wpatruje się w niego; milczenie)

Rotmistrz.

Ty?

Grzegorz.

Ja.

Rotmistrz.

Ty, ty?

Grzegorz.

Jużci nie pan Rotmistrz.

Rotmistrz *(w złości).*

Co ty gadasz?

Grzegorz.

Ja... ja... ja...

Rotmistrz.

Z kim ty śmiesz się żenić?

Grzegorz.

Z Fruzią, za pozwoleniem.

Rotmistrz.

Z Fruzią?... stary gaduła!..., idź precz!

(Grzegorz odchodzi)

Rotmistrz *(sam).*

Oszalał, jemu się żenić... w tym wieku! Co on sobie dobrego obiecywać może?... Ale cóż się panna Aniela tak spóźnia? Może już w ogrodzie...

(patrzy przez okno)

Nie widać.

(podstuchuje pod jej drzwiami; usłyszawszy nadchodzącego, odskakuje na środek pokoju)

SCENA V.

Rotmistrz, Porucznik.

Porucznik.

Mówiłeś z Majorem?

Rotmistrz.

Mówiłem... ale... *(wzrusza ramionami)*

Porucznik.

Uparty.

Rotmistrz.

Uparty, jeśli to uporem nazwać można.

Porucznik.

Ktoby się był spodziewał.

Rotmistrz.

Rozsądny człowiek, mój kochany, wszystkiego się spodziewa.

(Rotmistrz coraz bardziej roztargniony, patrzy często przez okno, odpowiadając od niechcenia.)

Porucznik.

Żadnej więc nadziei, aby zamysłu odstąpił.

Rotmistrz.

Żadnej, zapewne żadnej.

Porucznik.

Wiem, wiem dobrze i jeszcze się pytam. Wprawdzie nie mogę mu radzić, ale i odradzać nie mogę.

Rotmistrz.

Najlepiej.

Porucznik.

Będzie z nią szczęśliwy.

Rotmistrz.

Będzie, będzie.

Porucznik.

Ja odjeżdżam... ale wprzód wymagam od twojej przyjaźni jednej usługi. Słuchaj mnie: przeszłej wojny...

(Rotmistrz spojrzawszy w okno, nagle wybiega)

Cóż to znaczy?... nie rozumiem... nie odkryję mu więc smutnej tajemnicy... i lepiej... bo czémżeby mógł mój nagły odjazd uniewinnić przed Majorem. Przyjaźń potępiać mnie będzie, kiedy ja dla niej wszystko poświęcam, wszystkiego się wyrzekam.

SCENA VI.

Porucznik, Zofia.

Porucznik.

Ach, Zofio!

Zofia.

Edmundzie, cośmy zrobili! żadnejże już niema nadziei?

Porucznik.

Żadnej.

Zofia.

Rozłączyć się musimy?

Porucznik.

Na zawsze.

Zofia.

Odkryj mu miłość naszą.

Porucznik.

Nie mogę. Cóż za cel? Major odstąpiłby pewnie, ale będziesz przez to moją?

Zofia.

Może matka...

Porucznik.

Nie zwódźmy się; nigdy nie zezwoli. W czasie i pomocy przyjaciela, pokładałem nadzieję; wszystko mnie zawiodło. Mamże cię za sobą w nieszczęście pociągać? rożnić z rodziną? Nareszcie nie Majora, to Smętosza zostaniesz żoną.

Zofia.

Okropnie.

Porucznik.

Odjeżdżam.

Zofia.

Kiedy?

Porucznik.

Tej godziny.

Zofia.

Już, już tak prędko.

Porucznik.

Mamże być świadkiem...

Zofia.

Nie kończ, nie kończ. Jedź, uchodź, Edmundzie!

Porucznik.

Nasza tajemnica wiecznie nią zostać dla Majora powinna. Kapelan wie tylko i ten jedzie wraz ze mną.

Ten uczciwy człowiek wsparł mój chwiejący się zamiar i ustalił w drodze, której honor trzymać się każe.

Zofia.

Sama więc zostanę; znikąd ulgi; znikąd pocieszenia!

Porucznik.

Wiele, wiele cierpieć mamy!

Zofia.

Może nad siły.

Porucznik.

Nie, Zofio; siły muszą wystarczyć, gdy czystém jest źródło nieszczęścia.

Zofia.

Ciebie kochając, drugiemu miłość przysięgać!

Porucznik.

Kochając mnie, i jego jak ojca kochać będziesz. Poznasz najlepszego, najszlachetniejszego człowieka. Jedyne, jedyna moja ulga, jedyne pocieszenie, że to dla niego szczęścia się wyrzekam, że on je z tobą znajdzie niezawodnie. Ach, pamiętaj Zofio, że to ja powierzam tobie los, szczęście, spokój dni jego; upiększaj mu każdą chwilę, a przez to i moje życie osładzać będziesz.

Zofia (*ocierając łzy*).

Ach, czemuż cię coraz więcej kochać muszę!

Porucznik.

Serca nasze razem zostaną.

Zofia.

Na zawsze.

Porucznik.

Rozłączeni, oddaleni, myśli nasze szukać, spotykać się będą. Uspokój się; są jeszcze... dla nas.... pociechy... czyste.... lube...

Zofia.Jak uśmiech konających. *(krótkie milczenie)***Porucznik.**

Raz ostatni pewnie cię widzę. Jak już upłynie czasu wiele, jak już o mnie słyszeć nie będziecie, wspominał mu czasem o mnie; on mnie także kochał. Powiedz mu, że dla niego wyrzekłem się więcej niż życia, bom się wyrzekł ciebie.

(Zofia siada zakrywając oczy)

Albo nie, nie; nie mąć swojej i jego spokojności...

(kłękając i biorąc ją za rękę)

Zofio, tém pożegnaniem, tém uściśnieniem, [tracę prawo do twojego serca; zapomnij o mnie.

Zofia.

Nigdy.

Porucznik.

Bądź szczęśliwa.

Zofia.

Bez ciebie.

Porucznik.

Dla mnie.

Zofia *(płacząc).*

O Boże!

Porucznik *(całując ją w rękę).*

Raz więc ostatni.

Zofia.

Edmundzie! raz ostatni...

(skłania się w jego objęcie).

Tu wchodzi Aniela, postrzega, wznosi ręce do góry i wbiega do swego pokoju; poczem Porucznik i Zofia w przeciwnie strony nagle odchodzą).

SCENA VII.

(Dziewczęta w różnym kierunku przebiegają scenę; potem wychodzą spiesźnie.)

Orgonowa, Dyndalska, Anieli,

Dziewczęta *(w głębi).*

Orgonowa.

Cóż takiego?

Dyndalska.

O co idzie?

Anieli *(miedzy niemi).*

O co idzie? co takiego? Będziecie wiedzieć.

Orgonowa.

Słuchamy.

Anieli.

Rzecz straszna!

Dyndalska.

No, dalej.

Anieli.

Rzecz okropna!

Orgonowa.

Gadajże.

Anieli.

Niespodziewana!

Orgonowa.

Cóż takiego?

Anieli.

Co?

Dyndalska.

Co? słuchajmy.

Anieli.

Porucznik....

Orgonowa.

Cóż Porucznik?

Anieli.

Porucznik... kocha się... w Zofii.

Orgonowa.

Ha, ha, ha, ha,

Dyndalska.

Zbytńia przenikliwość.

Aniela.

Kiedy przenikliwość, kiedy ha ha ha, nie powiem
com widziała.

Orgonowa.

Coś widziała?

Aniela.

Na własne oczy.

Dyndalska.

Cóżeś widziała?

Aniela.

To tylko przenikliwość.

Orgonowa.

Powiedz aniołeczku; ty taka dobra, ty się nigdy
nie gniewasz; mój aniołeczku, prędzej.

Aniela.

Więc słuchajcie.

Dyndalska.

Słuchamy.

Aniela.

Porucznik...

Orgonowa.

Cóż!

Aniela.

Porucznik... Zofią... w rękę całował.

Orgonowa, Dyndalska.

W rękę całował?

Aniela.

W rękę.

Orgonowa.

Czy być może!

Aniela.

To jeszcze nic.

Orgonowa.

Cóż takiego?

Dyndalska.

Mówże prędzej.

Aniela.

Porucznik...

Orgonowa.

Cóż Porucznik?

Aniela.

Porucznik... klęczał przed nią.

Orgonowa, Dyndalska.

Kłęczał przed nią?

Aniela.

Kłęczał przed nią... tu... w tém miejscu.

Dyndalska.

Co za zgroza!

Aniela.

To jeszcze nic.

Orgonowa.

Dla Boga, cóż jeszcze?

Aniela.

Porucznik...

Dyndalska.

No, no.

Aniela.

Porucznik... trzymał ją... w objęciu.

Dyndalska.

Ach!

Orgonowa.

A Zosia?

Aniela.

Zosia?

Orgonowa.

Zosia, Zosia.

Aniela.

Zosia... była... w jego objęciu.

Orgonowa.

Rzecz straszna!

Dyndalska.

Niesłychana!

(Chodzą obydwie dużym krokiem, stawając przy każdym zapytaniu koło Anieli, która stoi z założonemi rękoma.)

Orgonowa.

Kocha się,

Aniela.

Kocha.

Dyndalska.

W rękę całował?

Aniela.

Całował.

Orgonowa.

Kłęczał przed nią?

Aniela.

Kłęczał.

Dyndalska.

Trzymał ją w objęciu.

Aniela.

Trzymał.

Orgonowa.

Fruziu! wołaj Zosię. Nie, czekaj... Juziu! biegaj... czekaj... wołajcie prędko.

Dyndalska.

Juziu! Porucznika, Porucznika!

Orgonowa.

Nie, nie; czekaj, biegaj, szukaj; biegajcie a prędko. No, jeszcze tu?

Gdzie?	Fruzia.	}	(razem)
Co?	Juzia.		
Kogo?	Zuzia.		

Orgonowa.

Majora, gawrony, Majora. (*Dziewczęta wybiegają*)
Rzecz straszna!

(*obie rzucają się zmordowane na krzesła*)

A ja mówiłam, ja mówiłam, że ten Porucznik niebezpieczny. Ja wiem coto Porucznik! Ale co ja mówię, to zawsze źle... mnie niema co słuchać... mnie i gęby otworzyć nie wolno. Otóż teraz pokazało się, że ja gadać muszę. Teraz nikt mnie nie przekona; zawsze, zawsze gadać będę.

S C E N A VIII.

Orgonowa, Dyndalska, Aniela, Major.

Orgonowa.

Panie bracie, Panie bracie! dla Boga, chodźże prędzej! nic nie wiesz co się dzieje; wszystko spoczywa na naszych głowach.

Major.

Coż się stało?

Orgonowa.

I jeszcze się pyta!

Major.

Ale kiedy nie wiem, muszę się spytać.

Orgonowa.

Ów wysmukły Poruczniś, ów przyjaciel, ów towarzysz, ów, już nie wiem co...

Major.

Coż zrobił?

Orgonowa.

Chciał Zosię... słów mi nie staje.

Major.

Chciał?...

Orgonowa.

Wykraść ją chciał, wykraść.

Major.

To być nie może.

Dyndalska.

Spytaj się Anielki.

Orgonowa.

Na własne oczy widziała.

Major.

Co widziała?

Dyndalska.

Że ją kocha, że ją w rękę całował, że klęczał przed nią, że...

Major.

To wszystko być nie może. Aniela źle widziała.

Aniela.

Gdybyś sam widział, możebyś także nie wierzył? To człowiek na męża!

Major.

Ale jak, gdzie, kiedy?

Aniela.

Jak? Tak jak wszyscy. Gdzie? Tu w tém miejscu. Kiedy? Przed kwadranssem.

Major *(po krótkim myśleniu).*

Tegom się nie spodziewałem. I Zosia także go kocha?

Orgonowa.

Zosia? Co za myśl. Gdyby kochała, jużby z nim o kilka mil była.

Major.

Edmund! Edmund! mój Edmund! mnie zwodzić! wolał byłby strzelić do mnie, ranić, nie tyleby bolało.

Orgonowa.

Takato rada panów kolegów.

Dyndalska.

Niczyja sprawka tylko Kapelana; gwałtem stara się przeszkodzić twemu zamiarowi.

Orgonowa.

Starał się nas o różnych rzeczach przekonać, i wcale nie ładnie wyrażał się względem ciebie.

Major.

Kapelan? Cóż mówił?

Orgonowa.

Prawdziwie, wstydzę się powtórzyć.

Dyndalska.

Wcale nieobyczajnie się wyrażał; niech Anielka powie.

Aniela.

Ja słyszałam, ale nie zrozumiałam; wszystkiego jeszcze zrozumieć nie mogę.

Major.

Co, jak on może wiedzieć? co jemu do tego? jak on może zapewnić? Ale Edmund, Edmund!

Orgonowa.

Jeśli nam nie wierzysz, spytaj się Rotmistrza, to godny człowiek.

Dyndalska.

Ten zawsze jednego zdania będzie z nami.

Major.

Bardzo wątpię.

Dyndalska.

Nie masz co wątpić: kocha się w Anieli.

Major.

Nieprawda.

Dyndalska.

Grzecznie.

Major.

Chciałem powiedzieć, że to być nie może.

Aniela.

Ślub nasz przekona.

Major.

Co? chce się żenić?

Aniela.

Nie inaczej.

Major.

Z Waćpanną?

Aniela.

Ze mną.

Major.

Czy oszalał stary!

Aniela.

Tak jak i Waćpan.

Dyndalska *(na stronie do Anieli).*

Zmiłuj się, ostrożnie.

Major.

Ale Edmund, Edmund! Zostawcie mnie, proszę.
Grzesiu!

Orgonowa *(do sióstr, na stronie).*

Idę strzedz Zosię.

Aniela *(podobnież).*

Ja Rotmistrza.

Dyndalska *(podobnież).*

Ja podsłuchiwać będę...

Orgonowa *(podobnież).*

Albo nie, chodźmy się naradzić; tu będziemy same.

*(wchodzą do pokoju Dyndalskiej)***Major** *(do Grzegorza).*

Proś do mnie Pana Porucznika. *(Grzegorz odchodzi)*

SCENA IX.

Major *(sam).*

Żeby był do mnie przyszedł i powiedział: Majorze,
i mnie się ta dziewczyna podobała. Działajmy przeciw

sobie, ale działajmy otwarcie. Otwarcie, jak ludzie honoru; ale nie jak węże, do stu paraliżów, jak węże! Komuż, komuż teraz wierzyć? Takem go kochał! chciałem podzielić się majątkiem, życiem byłbym się podzielił. Ach to boli, boli; ale kwita z przyjaźni, kwita, panie: adjutanta mi nie trzeba.

SCENA X.

Major, Kapelan.

Major.

Dobrze że i Waćpan przyszedłeś.

Kapelan.

Szukam cię także.

Major.

Coś to Waćpan przed kobietami na mnie naga-
dał? Domyślam się co... ale to potwarz... i co tobie
w to się mieszać? Powiedziałeś dwa tysiące razy:
nie uchodzi, nie uchodzi, i zrobiłeś swoją powinność;
a ja powiadam: *uchodzi, uchodzi i uchodzi*, i zrobię
co mi się dobrém zdawać będzie. Ale tajemnie wdawać
się z kobietami, plotki na mnie robić... tegom się praw-
dziwie nie spodziewał...

Kapelan.

Ale Majorze, Majorze, co ty gadasz, co ty gadasz?

Major.

Siebie się spytaj: co ja gadał, co ja gadał? Na-
mowy z Porucznikiem, spiski, wykradzenie; przy-
stoi to na stan Waćpana? fe! wstydź się. Gdyby
dawny towarzysz mnie to powiedział, co ja teraz
mówię Waćpanu, tobym się na pierwszym drzewie ob-

wiesił: rozumiesz Waćpan, obwiesiłbym się do stu paraliżów! *(odchodzi)*

Kapelan.

Co się dzieje! co się dzieje!

SCENA XI.

Kapelan, Orgonowa.

Orgonowa.

Nie kładź palca między drzwi, palca nie przyskrzynią. Kto radę powtarza, natręt z doradcy; złe oczy wszystko krzywo widzą. Pająk szuka jadu, ale pszczoła miodu; rozumiesz Waćpan? Milczenia rzadko kto żałował, a mówności często. Proszę to pamiętać; służa uniżona.

Kapelan

(ukłoniwszy się nisko i tak ją oczami odprowadziwszy).

Ja mam mówności żałować. Co się dzieje! Co się dzieje!

SCENA XII.

Kapelan, Aniela.

Aniela.

Jednego razu byłam w domu mojej przyjaciółki; dawałam jej rady, rady prawdę mówiąc, które więcej moje, niż jej dobro miały na celu. Poznała się w końcu na tém; powiedziała mi, że rad nie potrzebuje i że się jej staje natrętną. Na to oświadczenie... wiesz Waćpan com zrobiła? Kazałam zaprządz i wyjechałam... i wyjechałam.

(odchodzi za Orgonową)

Kapelan *(jak wprzód).*

Jakie rady? cóż ja zrobiłem? co się dzieje!

S C E N A XIII.

Kapelan, Dyndalska.**Dyndalska.**

Cóżto Mości Panie! Jakieżto jego postęпки? Któżto uprawniał Waćpana w cudze sprawy się mieszać? Pókiż tych plotek, tych namów, tych spisków będzie? Takito z Waćpana przyjaciel? taki doradca? Cobyś miał skłaniać do zgody, pokój ustalać; wzniecasz niesnaski, kłócisz brata z siostrą, siostrę z siostrą, córkę z matką, przyjaciela z przyjacielem. Waćpan tu niezgodę utrzymujesz, Waćpan spiski knowasz, Waćpan zdrady snujesz, Waćpan pragniesz sprzeczeki, kłótni, kłesk i mordów? *(odchodzi)*

Kapelan.

(najniżej ukloniwszy się, patrząc za nią; potem ocierając czoło)

Mój dobry Boże! kłesk i mordów! co ja przewiniłem? co ja przewiniłem?

S C E N A XIV.

Kapelan, Rotmistrz.**Rotmistrz**

(wchodząc prędko).

Gdzie jest Major?

Kapelan.

Nie wiem.

Rotmistrz.

Szalonym mnie nazywać! szalonym, że się chcę żenić!

Kapelan *(ubolewając).*

Jakto? i ty także?

Rotmistrz.

Nie o tém mowa; Major mi chybił... boleśnie obraził... Przed panną Anielą nazwał starym szalonym.

Kapelan.

Ale od przyjaciela...

Rotmistrz.

Uraza nie zna przyjaciela. Gdzie jest Major?

Kapelan.

Nie wiem.

Rotmistrz.

Ja wiem, że wiesz.

Kapelan.

Ale nie wiem.

Rotmistrz.

Nie chcesz powiedzieć.

Kapelan.

Dalibóg nie wiem.

Rotmistrz.

Byleś przeszkodził..byleś się sprzeciwił..hm? wszystko ci szkodzi; nasze szczęście solą w oku.

Kapelan.

Piękne szczęście!

Rotmistrz.

Wiem, wiem, mówiła mi Panna Aniela, coś przed nią nagadał; ale nie dbam o to. Rady nie potrzebuję...i na złość się ożenię,.. rozumiesz mnie Waćpan?

Kapelan.

Dla Boga, słuchaj tylko...

Rotmistrz.

Nic słyszeć nie potrzebuję.

Kapelan.

Tobie się żenić?

Rotmistrz.

Mnie, mnie, mnie, i tego nie zabronisz.

Kapelan.

Ale...

Rotmistrz.

Ale, sam się żenić nie możesz, to chcesz aby nigdzie małżeństwa nie było.

Kapelan.

Broń Boże; ale twój wiek.

Rotmistrz *(w złości).*

Mości Panie! Lat moich mi nie rachuj. Ja wiem, to dosyć...Nie rachuj! to ci powiadam, do stu piorunów! *(odchodzi)*

Kapelan.

Co się dzieje! Dla Boga, co się dzieje! Mnie się zdaje, że oni poszaleli.

S C E N A XV.

Kapelan, Grzegorz.**Grzegorz.**

Upraszałbym jednej łaski.

Kapelan.

Cóż tam pocziwy Grzegorzu?

Grzegorz.

Niech się Pan za mną wstawi.

Kapelan.

Do kogo?

Grzegorz.

Do Pana Majora.

Kapelan.

I owszem; względem czego?

Grzegorz.

Chcę się żenić.

(Kapelan odskakuje od niego; milczenie)

Z Fruzią, pokojówką Pani Orgonowej. *(milczenie)*

Ładna dziewczyna. *(milczenie)*

Kocha mnie tego. *(milczenie)*

Prosiłbym więc...

Kapelan.

Chcesz się żenić?

Grzegorz.

Choćby i dzisiaj.

Kapelan.A, tego już nie mogę... *(odchodząc)*

Niech was Bóg ma w swojej opiece.

(wychodząc)

Co się dzieje! co się dzieje!

Grzegorz *(sam).*

Hm, hm, hm; nie w swoim humorze. No, odłożone nie stracone... Kilka dni tu zabawią, mam dość czasu. *(śmiejąc się)*

To się koledzy zadziwią... nie wiedzą, co ich czeka!

S C E N A XVI.

Grzegorz, Rembo.**Rembo.**

Winszuję, winszuję panie Grzegorzu!

Grzegorz.

Czego?

Rembo.

O! niby nie wiesz! czegożbym winszował, jeśli nie ładnej oblubienicy.

Grzegorz.

A tak... dziękuję ci.

Rembo.

Jak się ożenisz, będę ci winszował imieniem całego pułku.

Grzegorz.

Nie rozumiem. Bardzo mądrze gadasz; widać żeś syn organisty.

Rembo.

Wszyscy cieszyć się będą.

Grzegorz.

To dobrze.

Rembo.

Coto przyjaciół będzie miał pan Grzegorz!

Grzegorz.

Tyle co i teraz.

Rembo.

Wszyscy kochać go będą.

Grzegorz.

Doprawdy?

Rembo.

Za to ręczę... a nie Grzegorza, to Grzegorzową.

Grzegorz.

O, tego wcale nie chcę!

Rembo.

Chcesz czy nie chcesz, to tak będzie.

Grzegorz.

Dajno mi pokój... nie lubię takich żartów.

Rembo.

Przyzwyczajaj się potrochu.

Grzegorz.

Szalony! jakby to być musiało.

Rembo.

Będzie niezawodnie.

Grzegorz.

Proszę cię, dajże mi pokój.

Rembo.

Nie dam, bo mi cię żal, że takie robisz głupstwo.

Grzegorz.

Tobie zazdrość.

Rembo.

Ale stary, stary!

Grzegorz (*przederżniając*).

Ale młodziku, młodziku!

Rembo.

Pomiarkuj...

Grzegorz.

Idź do diabła!

Rembo.

Żeń się kiedy chcesz; ale potem nie gniewaj się, gdy cię palcem wytykać będą.

Grzegorz.

Nikt mnie wytykać nie będzie.

Rembo.

Ja pierwszy.

Grzegorz.

Kto mnie wytykać będzie, temu przytnę wąsa.

Rembo.

Chcąc przyciąć, trzeba swego nadstawić.

Grzegorz.

Choć nadstawię, bezpieczny od ciebie.

Rembo.

Ciszej! bo ci pokażę, że nie jest bezpieczny!

Grzegorz.

Pokażesz? chodź, chodź! pokaż, pokaż!

Rembo.

Jednak...

Grzegorz.

Aha! boisz się.

Rembo.

Co? ja się boję! chodź! weźmiem pałasze!

Grzegorz.

Chodź chodź! *(odchodzą do pokoju Majora)*

SCENA XVII.

Major, Rotmistrz.

Rotmistrz.

Jeszcze raz powtarzam, wszystko przyjmę od ciebie między swoimi, którzy wiedzą jak sobie życzymy; ale

nie przed Panną Anielą. Tego znieść nie mogę i trzeba, abyś mnie przy niej przeprosił...

Major.

Tu cię przepraszam, a przy niej nie warto...

Rotmistrz.

Majorze, z większym uszanowaniem.

Major.

Moja siostra, ale tobie lepiej życzę i powiadam, że ten stary grat do niczego.

Rotmistrz.

Majorze, do stu piorunów!...

(Grzegorz i Rembo wchodzą z pałaszami w ręku)

SCENA XVIII.

Major, Rotmistrz, Grzegorz, Rembo.

Grzegorz.

Chodź, chodź, ja ci zaraz pokażę!

Rembo.

Do ogrodu, do ogrodu!

Major.

A to co? Co to znaczy? Rembo, gadaj zaraz, co to znaczy?

Rembo.

Kiedy Pan Major każe, to powiem jak się ma rzecz cała. Oto Grzegorz, taki jak go tu widzimy, zakochał się w Fruzi... w takim wieku... to proszę Pana Majora, trzeba być głupim.

Major.

No, no, cóż dalej?

Rembo.

I chce się z nią żenić. Na starość żenić się... to proszę Pana Majora, trzeba być szalonym.

Major.

No, no, cóż dalej?

Rembo.

Chciałem mu wystawić, jakiego kłopotu nabędzie, chciałem mu powiedzieć, aby sobie przypomniał, że ile razy mąż stary, żona młoda, albo stara żona a mąż młody, tyle razy niezgodne małżeństwo. Bo proszę Pana Majora, co młode to młode, co stare to stare: ogień pali, woda gasi. Chciałem mu powiedzieć, że jemu tak będzie jak wszystkim dotąd było w podobnym razie; bo on, proszę Pana Majora, myśli, że dla niego inna kobieta urodziła się na żonę i że on inaczej stary, jak wszyscy co już długo żyją. Otóż zacząłem mu o tém mówić, on mnie nie chciał słuchać, przymówiliśmy sobie i ztąd przyszło do kłótni.

Grzegorz.

Nie mogłem ścierpieć jak mi powiedział, że mnie koledzy palcem wytykać będą, jak moja żona, jak... to jest... jak...

Major.

Rozumiem.

Grzegorz.

A ja wiem, żem w równym wieku z Panem Majorrem, i kiedy...

Major.

Ciszej! zgoda!

Rotmistrz.

Dla czegoż gwałtem mu radzisz, kiedy on nie chce twojej rady?

Rembo.

Bo mi go żal, Panie Rotmistrzu; na honor żal mi go. I wiem, że sam będzie żałował, wkrótce będzie żałował; bo kto miał rozum do tego wieku, na długo stracić go nie może. Dotychczas był dobry żołnierz,

rozsądny człowiek, każdy go lubił, szacował, a teraz takie głupstwo chce zrobić, taką śmieszność na siwą głowę ściągnąć. Mnie to przykro, raz, że mój przyjaciel, a potem, co mam stać w szeregu obok jelenia!

Major.

Ciszej! zgoda!

Rembo.

Niech mu Pan Major także powie z łaski swojej, że kto z młodu się nie ożenił, niech się na starość nie żeni, a jeśli się żeni, to niech sobie każe głowę ogolić...

Major.

Precz! dość tego! zgoda! marsz!

SCENA XIX.

Major, Rotmistrz.

(Chodzą czas długi gwiżdżąc i nucąc, potem stają, patrzą na siebie i parsknąwszy śmiechem, ściskają się wzajemnie.)

Rotmistrz.

Chcieliśmy podobno głupstwo zrobić!

Major.

I mnie się tak zdaje.

Rotmistrz.

Wielkie głupstwo.

Major.

Niema co mówić, wielkie głupstwo!

Rotmistrz.

Niech go Bóg kocha, jak nam ostro prawdę wypowiedział.

Major.

Po huzarsku.

Rotmistrz.

Dawnom się tak nie czerwienił.

Major.

Pot ciekł ze mnie.

Rotmistrz.

„Na długo nie może stracić rozumu.“

Major.

I prawda.

Rotmistrz *(śmiejąc się).*

„Jeleń w szeregu.“

Major *(śmiejąc się).*

Cóż dopiero przed frontem!

Rotmistrz.

Co te kobiety z nas nie zrobiły!

Major.

W jednym dniu.

Rotmistrz.

Przewróciły dom cały.

Major.

I głowy nasze.

Rotmistrz.

Chcieliśmy się zenić!

Major.

Na co? po co?

Rotmistrz.

Kłóciliśmy się z sobą.

Major.

To nie na długo... *(podając mu rękę)*

Rotmistrz.

Tego byłyby nadal nie dokazały.

(ściskając się)

Jakże ciebie czuć szolwija.

Major.

A ciebie piżmem.

Rotmistrz.

Panna Aniela tak mnie udarowała.

(stawia flaszeczkę)

Major.

Mnie Dyndalska pokropiła.

S C E N A XX.

Major, Rotmistrz, Kapelan.

Kapelan.

Moi panowie, nie wiem co się tu dzieje... nie chcę wiedzieć... nie chcę i dłużej bawić. Bądźcie zdrowi.. szczęścia życzę... bardzo życzę.

Major.

Kochany Józefie! przebacz, zapomnij co się działo... zostań... zostań... wszystko już do porządku wróciło.

Rotmistrz.

Ty stary i na mnie się gniewasz?

Kapelan.

Na żadnego, na żadnego. I cóż się tu dzieje?

Major.

Przyszedłszy do rozumu.

Kapelan.

Brawo. *(kładzie kapelusz)*

Major.

Kochaliśmy się, chcieliśmy się żenić.

Kapelan.

Nie uchodzi, nie uchodzi.

Major.

Teraz się nie kochamy i nie żenimy.

Kapelan.

Mądrze, mądrze.

Major.

Ale wiecie, przyjaciele, nie to żem zbłądził na chwilę, nie to mnie boli; bo któż nie potknie się czasem. Ale czynność Edmunda, ta mi na sercu jak kamień.

Kapelan.

Jaka czynność?

Major.

Wiedząc, że mi się Zosia podoba, chciał ją zbałamucić, chciał ją wykraść.

Rotmistrz.

To być nie może!

Kapelan.

Majorze, Majorze, co ty gadasz?

Major.

Tak jest, niezawodnie.

Rotmistrz.

To być nie może.

Kapelan.

Któż ci to powiedział?

Major.

Moje siostry.

Kapelan.

I tyś uwierzył jak temu, żem z niemi o tobie rozmawiał.

Rotmistrz.

Ja niczemu nie wierzę: na raz sztuka.

Major.

Kłęczał przed nią.

Kapelan.

Prawda, przy pożegnaniu, polecając jej szczęście twoje.

Major.

Nie rozumiem.

Kapelan.

Edmund i Zofia kochali się oddawna. Zofia pewna, że jej ręki nie przyjmiesz, ulegając na pozór woli matki, chciała czas zyskać i oddalić jakiegoś nienawidzonego zalotnika. Ale jak rzeczy inny obrót wzięły, Edmund postanowił odjechać, wyrzec się miłości, nigdy już Zofii nie widzieć i abyś nie miał na sercu jego nieszczęścia, wiecznie ci to ukrywać; poświęcił ci więcej niż życie...

Major.

Tak, tak Edmund myślał? *(ścisnąc gwałtownie Kapelana)*
Edmundzie! kochany Edmundzie! *(wybiega)*

SCENA XXI.

Rotmistrz, Kapelan, *(następnie)* Orgonowa, Dyndalska,
Aniela.

Orgonowa.

Cóż tu za wiwaty?

Rotmistrz.

Obchodzimy powrót rozumu.

Dyndalska *(do Kapelana)*.

Waćpan tu jeszcze?

Kapelan *(klaniając się)*.

Tu jeszcze.

Aniela.

Rotmistrzu płochy, czekałam na ciebie.

Rotmistrz.

Prawdziwie, bardzo żałuję, ale rozważywszy wszystko, widzę że... że jednak... to jest... że pomimo...

Major *(za sceną)*.

Zosiu, Zosiu!

(wchodząc i prowadząc Porucznika)

Zosiu! *(Zofia wchodzi)*

SCENA XXII.

Orgonowa, Dyndalska, Aniela, Rotmistrz, Kapelan,
Major, Zofia, Porucznik.

Major *(do Zofii)*.

Mój zastępcą... twój mąż.

Dyndalska.

Cóż to jest?

Aniela.

Cóż to znaczy?

Orgonowa.

Panie bracie?

Major.

Wraz z moim majątkiem, którym mu już oddawna przeznaczał, zastąpi mnie przy Zofii. Kapłanie, uchodzi?

Kapelan.

Uchodzi, uchodzi i pobłogosławię.

Porucznik.

Nie mówiłem ci, Zofio, że jak ojca będziesz go kochać musiała?

Zofia.

Przyjemny obowiązek, tak zgodny z sercem.

Orgonowa.

Miło mi dostać zięcia, który już zyskał mój szacunek. Bądźcie szczęśliwi.

Dyndalska.

I pamiętajcie o ciotkach.

Aniela *(do Rotmistrza)*.

Jakże będzie?

Rotmistrz.

Trudno, aby co było.

Aniela.

Przyrzekłeś.

Rotmistrz.

Nie mogę służyć.

Aniela.

Zdrajca!

Major.

Cicho, cicho. Niech wam dość będzie moje damy, żeście Huzarów zwyciężyły... że musieli kapitulować i jednego oddać wam w niewolę... i to przyznajcie... najlepszego.

ZRZĘDNOŚĆ I PRZEKORA.

KOMEDYA

W JEDNYM AKCIE, WIERSZEM.

Złej naturze nie wygodzisz: jakbyś węża
ugłaskać chciał, a on przecie kąsa.

And. Max. Fredro.

O S O B Y:

PAN JAN ZRZĘDA }
PAN PIOTR ZRZĘDA } bracia, opiekuny Zofii.
ZOFIA, synowica Panów Zrzędów.
LUBOMIR.
LOKAJ.

Rzecz dzieje się na wsi, w majątności Zofii.

ZRZĘDNOŚĆ I PRZEKORA.

SCENA I.

Teatr wystawia pokój.

Pan Jan, Pan Piotr.

(Słychać mocne dzwonienie na lewo i prawo.)

Pan Jan

(po prawej stronie w pokoju).

Jest tam kto!

Pan Piotr

(po lewej stronie w pokoju).

Hej! jest tam kto!

Pan Jan.

Głosu mi nie staję!

Pan Piotr.

To służba!

Obydwa

(krzyczą).

Jest tam który!

(wypadają z gabinetów; lokaj ze środkowych drzwi)

Pan Piotr.

Lajdaki!

Pan Jan.

Hultaje!

Cóżto, czyście pogłuchli? I krzyczę i dzwonię,

Aż mi język odrętwiał, aż mi spuchły dłonie...

Gdzie... poco... dokąd lata i jeden i drugi?

Wszyscy są do zapłaty, niema do usługi!

Już ja was do porządku doprowadzić muszę,
Ale aż z was każdemu dobrze karku wzruszę.

Pan Piotr *(mówiąc powoli)*.

A że też, Panie Janie, zrzedzisz jak najęty!
Jeszcze u ciebie gęby nie widział zamkniętej.

Pan Jan.

A Pan brat niemy? nigdy, nigdy już nie gada
Ani słówka?

Pan Piotr.

I owszem, gdy mówić wypada.

Pan Jan.

Gdy się klócić wypada, dokuczyć, sprzeciwić;
Bo cóż to może szkodzić, co to może dziwić,
Że za niepilną służbę służącego łaje?
By siedzieli kamieniem na to są lokaje.
Musiałem wprzód ochrypnąć, nim usłyszeć raczył,
Chciałem go właśnie posłać, byś chwilę naznaczył,
W którejbyśmy raz mogli rozmówić się z sobą:
Niechaj napróżno doba nie mija za dobą,
Niech nasza synowica już dłużej nie czeka,
A zwłaszcza, niech się skończy ta nudna opieka.

Pan Piotr.

Przyszedłem, jestem, słucham; o cóż ci więc chodzi?
Czegoż sobie krew psujesz, jeszcze ci zaszkodzi.

Pan Jan.

O! i u pana Piotra żółci jest nie mało.
Mówię biało, on czarno; ja czarno, on biało,
I tak prawie od wschodu do zachodu słońca
Nigdy klótnie nie mają między nami końca.
Już dalej żyć nie mogę w nieustannej wojnie,
Chcę być panem nie sługą i rządzić spokojnie.
Ach, nimem tu przyjechał, bodajem kark skręcił!

Pan Piotr.

Dzień, w którym tu stanąłem, bodaj się nam święcił.

Pan Jan.

Mój luby, słodki bracie, powiedzże mi, proszę,
Jakież tu masz uciechy, jakie masz rokosze:
Dla niezdolnej opieki w cudzym domu siedzieć,
Pannę, jak ochmistrzynie pilnować, strzedz, śledzić.
Na co, po co, dla czego? niechże mi kto powie.
Dla tego, że Waćpanu ubrdało się w głowie,
By moja synowica nie była w mym domu.

Pan Piotr.

Nadanej współopieki nie zwierzę nikomu;
Zofia nie potrzebuje zakosztować miasta,
Gdzie, im dłużej się bawi, chęć bawienia wzrasta.
Cóż tam w rzeczy dobrego nauczyć się może?
Szukać uciechy w zbytkach a chwały w ubiorze,
Gadać, prawić bez celu, oczkiem wabić skrycie
I o niczym nie myśleć przez całe swe życie.
Nie, tego znać nie będzie nasza synowica:
Cnotą skromną, lecz trwałą niech duszę zaszczycą,
Niech czczemi próżnościami nie zaprzęta głowy,
Niech umie cenić mierność i spokój domowy,
I na wsi podług stanu, niech męża wybierze.

Pan Jan.

Na mnie pewnie Zofia spuści się w tej mierze.

Pan Piotr.

W tej mierze na Waćpana wybór nie zezwolę.

Pan Jan.

Czemu?

Pan Piotr.

Bo zły.

Pan Jan.

Wszak nie wiesz.

Pan Piotr.

I nie wiedzieć wolę.

Wiem tylko, że we wszystkiém chcesz stanowić prawa:
Ztąd zawsze gdzie ty jesteś, te kłótnie, ta wrzawa;
Lecz i ja też czasami, chcę mieć moje zdanie,
Nie wszystko zatém tutaj na twojém się stanie,
I jeśli cię opieka tak trudzi, tak dręczy,
Jedź, wracaj...

Pan Jan.

A braciszek chętnie mnie wyręczy,
Sam będzie rządzić! dobrze wyszukał to w głowie.
Pojadę, lecz los Zosi pierwszej postanowię.

Pan Piotr.

Póki ty tu, nie z tego, żebyś o tém wiedział.

Pan Jan.

Ty mnie tu nie *przesiedzisz, będę sto lat siedział.

(siadają)

Lokaj.

Mam czekać?

Pan Jan.

Idź do diabła!

Pan Piotr.

Czekaj!

Pan Jan.

Niech więc czeka;

Lecz na cóż masz daremnie udreć człowieka?

Czyż mu nie wolno zrobić i jednego kroku,

Ma-że wciąż jak niewolnik stać przy twoim boku?

Nie dośćże już nieszczęścia, że musi mieć pana,

Trzebaż jeszcze by zawsze widział w nim tyrana?

Ach, wolałbym pług ciągnąć, jak służyć u rzędy,

Który tylko we wszystkiém na siebie ma względy,

Który...

Pan Piotr.

Lecz panie Janie, zrządzisz nadaremno,
 Służący mi potrzebny i już idzie ze mną.
(Pan Piotr z lokajem odchodzi)

S C E N A II.

Pan Jan.

Zrządzisz! proszę, ja zrządzę! brawo, to mnie bawi!
 Ja zrządzę! Nie, już nigdy świat się nie poprawi,
 Wszak takich jak braciszek, posiada bez miary,
 Co liczą chęć poprawy pomiędzy przywary.
 Niech mi żona mniej gada, córki mniej się stroją,
 Niech mnie słucha rodzeństwo, synowie się boją;
 Niech sługa wierny, trzeźwy, zważny na me słowa
 Swojej służby pilnuje, a mego nie chowa,
 Słowem niech wszystko idzie jak chcę i ułożę,
 A nigdy nie połaję, — gęby nie otworzę.

S C E N A III.

Pan Jan, Zofia.**Zofia.**

Miałabym małą prośbę...

Pan Jan.

Fe, to wstyd dla Zosi,
 Wstyd zawsze dla panienki, kiedy o co prosi:
 Proszoną być powinna panna znakomita;
 Ale każda z was dzisiaj o to się nie pyta
 Czy to tak skromnie, ładnie, czy to tak przystoi,
 I starego panieństwa jedynie się boi,
 A gdy duży majątek obejmie przed czasem,
 Zaraz piskliwy szpaczek zacznie śpiewać basem.

Przypatrz się której: nóżka naprzód, nosek w górę,
 Wie pewnie, jako mężom podnoszą fryzurę,
 A przytém są ciekawe, złośliwe uparte...
 Słowem, żeście wraz wszystkie nic a nic niewarte.
(odchodzi)

SCENA IV.

Zofia, Lubomir.

Lubomir.

Jakiż, piękna Zofio, twojej prośby skutek?

Zofia.

Znikły nasze nadzieje, został tylko smutek;
 Nawet mnie stryj nie słuchał, łąał mnie przed czasem,
 Ganił szpaki w fryzurach i odszedł z hałasem.

Lubomir.

Przecież coś odpowiedział?

Zofia.

Nie, nie, ani słowa.

Dobrze była w mej głowie ułożona mowa,
 Chciałam wszystko wystawić rozsądnie, dokładnie:
 Że długo nie iść za mąż dla panny nieładnie,
 I że... że... Pan Lubomir pokochał mnie szczerze...

Lubomir.

I zawsze kochać będzie...

Zofia.

I że temu wierzę;

Więc kiedy mam chęć dobrą i zdatność po temu,
 Trzeba zadość uczynić żądaniu naszemu.

Lecz cóż? stryjasek wszystko łajaniem pokrywa.

(zaczyna płakać)

Ja już nie wiem, co pocznę dalej, nieszczęśliwa:

Jeden z drugim się kłóci, a mnie uciemieża;
Nie wiem, co to im szkodzi, abym miała męża.
O Boże! dobry Boże! coto z tego będzie!
Że już mam rok szesnasty, mówią o tém wszędzie,
Za każdą moję wolę odbieram nagane,
A czas mija... i w końcu... i w końcu zostanę...

(szlochając)

Starą panną..

Lubomir.

Zofio! umiem te łzy cenić,
Lecz się uspokój, nasz los musi się odmienić:
Stryjowie bez wątpienia przy końcu zezwolą,
Jeżeli twoje szczęście nad swój upór wolą.
A posądzać ich nie chcę o myśli niegodne:
Nasze majątki równe, nasze serca zgodne,
Żadne więc mych zamiarów sprzeczności nie wzruszą,
I nie dzisiaj, to jutro, spełnione być muszą.

Zofia.

Wcale mnie nie pociesza ten widok daleki.

Lubomir.

Przecież się z czasem kończą najdłuższe opieki.

Zofia.

Ach, ja bardzo nie lubię na cokolwiek czekać.
Ale są tacy... o są... co lubią odwlekać.

Lubomir.

Ach, całe szczęście moje w tej złożone dobie,
W której przysięgnę kochać, żyć wiecznie przy tobie;
I możesz ty postrzegać obojętność we mnie?
Z tamtym stryjem mówiłem.

Zofia.

I pewnie daremnie.

Lubomir.

I owszem.

Zofia.

Owszem? jakto? więc się już nakłania?

Lubomir.

Swoim świętym zwyczajem zaczął od łajania.
Kłócił się, choć milczałem, a gdym wyrzekł słowo,
Przeciwnych sto dowodów leciało nanowo,
I już myślałem odejść, ujść tego zapału;
Gdy przecie w końcu zaczął ostygąć pomału
I przyrzekł prawie...

Zofia.

Prawie!

Lubomir.

... Ziścić nasze chęci.

Chciałem nawiasem, niby dla lepszej pamięci,

(pokazując papier)

Aby nam to podpisał prawne zezwolenie;
Bo zawsze wolę pismo, choć i słowa cenię.

Ale...

Zofia.

Ale...

Lubomir.

Odłożył na wolniejszą chwilę.

Zofia.

Na nic więc zeszło kłótni i gadania tyle.

Lubomir.

Nie, wszak niepotrzebuje, i pewnie nie zwodzi;
O drugie zatém tylko zezwolenie chodzi.

Idź, Zofio najdroższa, błagaj twego stryja,
Kocha cię niezawodnie, bo któż ci nie sprzyja?

Nie będzie więc nieczułym na twoje żądanie

I szczęście nas obojga spełnioném zostanie.

Na wszystkie jego słowa bądź na chwilę głucha,

Powiedz...

Zofia.

Wiem, co mam mówić, jeśli mnie posłucha.

Lubomir.

Któżby twego boskiego nie chciał słuchać głosu!
Pewnie więc dobre zyskasz rozstrzygnięcie losu;
Ja zaś w czas należyty drugiego sprowadzę,
A jeśli się nie uda, i temu zaradzę. *(odchodzi)*

Zofia *(sama).*

Żeby mi też kto mądrze wytłómaczył przecie,
Na co się opiekuny przydadzą na świecie?
Dla płochych dzieci jeszcze, bo te mogą błędzić;
Ale dla mnie!... Ja sama potrafię się rządzić,
Nie potrzebuję, nie chcę w niczem mieć zawady,
Niktby mi, gdybym chciała, nie dał tutaj rady.
Ach stryj!...

S C E N A V.

Zofia, Pan Jan.**Pan Jan.**

Czegoż Waćpanna stoisz jak na straży?
Pewnie jakiś koncepcik po głowie się marzy.
Ale muszą złe myśli błędzić po rozumie:
Kiedy kto się czém dobrém zatrudnić nie umie,
Wtedy z kąta do kąta włóczy się i ziewa
I patrzy kto odchodzi albo kto przybywa.
Czegoż Waćpanna żądasz, czy dzisiaj usłyszę?
Przerwijże już łaskawie świętobliwą ciszę;
Nie lubię tej pokory, milczenie mnie nudzi!

Zofia.

Boję się ...

Pan Jan.

Cóżto znowu, czym straszylłem ludzi?

Od jakiegożto czasu tak strasznym zostałem?
 Kiedyż Pannie Zofii powód strachu dałem?
 Możem się nie dość umiać jej piękności dziwić,
 Możem się jej układow ośmielił sprzeciwić?

Zofia.

Ach nie...

Pan Jan.

Skromność, łekliwość, piękne w płci niewieściej,
 Lecz czasem w tym układzie i chytrłość się mieści:
 O, znano już nie jedną z tak miłym pozorem,
 Co była trusią z rana a lwicą wieczorem.
 Jednak raz jeszcze pytam, bo chcąc odpowiedzieć,
 O co rzecz idzie, muszę, muszę przecie widzieć?

Zofia.

Chciałabym pójść... pójść...

Pan Jan.

Dokąd? co? gdzie? mów potroszę.

Zofia.

Pójść za męż.

Pan Jan.

Czy tak pilno?

Zofia.

O, i bardzo!

Pan Jan.

Proszę!

Pójść za męż bardzo łatwo!

Zofia.

Ach, stryjaszku drogi,
 Niema nic łatwiejszego, bez najmniejszej trwogi...

Pan Jan.

Księdza kazać zawołać, da błogosławieństwo,
 Goście się zjadą, spiją, i będzie małżeństwo.

(Zofia biegnie z radością ku drzwiom)

Gdzież?

Zofia.

Po Księdza proboszcza!

Pan Jan (z ironją).

Już go zamówiono.

Ale wiesz téż Waćpanna, coto jest być żoną?

Zofia.

O, wiem: trzeba być dobrą...i kochać potrzeba.

Pan Jan.

Przy dobroci, miłości, potrzeba i chleba,
Trzeba to, co posiadasz, wiedzieć komu zwierzyć
I trzeba przed ołtarzem całą przyszłość zmierzyć.
Ale to wszystko u was tylko pośmiewisko:
Być Panią, mieć dom własny, odmienić nazwisko,
Wyrwać się z pod opieki, wstrętem płacić za tę,
W mieście tracić w kwartale dwuroczną intratę,
Na balach, jak mężatka zaczynać mazury,
Na mężczyzn patrzeć śmiało a na panny z góry,
W modnych fiokach z ulicy latać na ulicę,
Wzbudzając zazdrość, gnębić swoje rówiennice,
Mieć prawo szczebiotania i wolności w świecie,
Otóż to jest, dla czego iść za mąż pragniecie.

Zofia.

Tak wysoko, stryjaszku, myśl moja nie lata:
Pragnę miłości męża i szacunku świata.

Pan Jan.

Szacunku każda pragnie, lecz nie każda godna;
I ta co kielich roszkosh wypila aż do dna,
Co przy zwiedłej piękności z potrzeby cnotliwa,
Obiadem albo balem szacunku przyzywa,
Dom swój dobrego tonu chce uczynić tronem
I zawsze otoczona pieczeniarzów gronem,

Mniema, że nikt nie pomni, co się dawniej działo;
O, jak przenikliwości i rozumu mało!
Każdy chętnie zje u niej, butelkę wysuszy,
Wdzięczy się jej i kłania, ale gardzi w duszy.

Zofia.

Pan Lubomir wie wszystko, zna i świat i ludzi.

Pan Jan.

Zatém to Pan Lubomir słówkami cię łudzi?

Zofia.

Nie łudzi, bo mnie kocha.

Pan Jan.

O, dziewczyno płocha!

Któż ci, kiedyś bogata, nie powie że kocha?
Znam ja dobrze paniczów w terazniejszej chwili,
Co już w szesnastym roku pół życia przeżyli.
Paryż! kochany Paryż! to ich hasło lube:
Pędzi jeden i drugi jak na swoją zgubę,
A gdy tam, co posiada, wszystko wraz utracą,
Pełen najdroższych wspomnień, ale goły wraca,
I kiedy już ostatki swej spuścizny trwoni,
Jak pies gończy za lisem, za posagiem goni.
Dla takiego i przysiądz znaczy bardzo mało,
Byle mu się najprędzej zbogacić udało;
Byle mógł, choćby kosztem szczęścia i pokoju,
Żyć czas jakiś i huczno i w przyjaciół roju.

Zofia.

Nie turbuj się, stryjaszku, ja sobie poradzę,
Jużem przecie nie dziecko, miej to na uwadze;
Daj tylko zezwolenie: on młody, ja młoda,
On kocha i ja Kocham, a tak będzie zgoda.

Pan Jan.

Nie jestem opiekunem jakich wielu liczą,

Którzy wiecznej opieki chętnie sobie życzą.
 Małoletni dla takich najczystsza intrata,
 I kiedy chce wyjść na świat, nim jeszcze ma lata,
 Musi wprzód opiekuna nie mało opłacić,
 By miał wolność przed czasem swój majątek stracić.

Zofia.

Więc jeśli moje szczęście masz szczerze na względzie,
 Zezwól, nasze żądanie niech spełnioném będzie:
 A przez cały ciąg życia, w każdej, w każdej dobie,
 Za wszelkie pomyślności będę wdzięczna tobie.

Pan Jan.

No, więc dobrze, za męża, weź swego kochanka,
 Weź, weź tego słodkiego, miłego baranka;
 Lecz nigdy mnie już nie nudź w najgorszej potrzebie.

(na stronie)

Zbędę się raz kłopotu i wrócę do siebie.

(do Zofii)

Jeszcze ci powiem...

SCENA VII.

Pan Jan, Zofia, Pan Piotr, Lubomir.

Pan Piotr

(mając papier w ręku).

Dobrze, zaraz ci podpiszę.

Zofia *(do Lubomira).*

Oba więc zezwalają?

Pan Piotr.

Zezwala! co słyszę!

Pan Jan.

Zezwala! więc to łapka!

Pan Piotr.

Jegoto układy?

Pan Jan.

Tak? chcieliście mnie podejść?

Pan Piotr.

Nienawidzę zdrady.

Pan Jan.

O, nic z tego nie będzie.

Pan Piotr.

Pewnie, że niebędzie.

Pan Jan z swoim projektem na łodzie osiedzie.

Pan Jan.

Wszystko było usnute zręcznie i dokładnie,
Lecz szkoda, że lis stary rzadko w łapkę wpadnie;
Braciszek, krótko mówiąc, chciał mnie ztąd oddalić,
Potem, że w pole wywiódł, przed światem się chwalić.
Sam zaś zostawszy w domu, cudzym *nota bene*,
Wyciągnąć swoje łaski na wysoką cenę,
Wśród grona zalotników, jakby sam był Panną,
Niszczyć prawem wieczorném obietnicę ranną,
Wymyślać, gdérać, zrządzić choćby i dwa wieki,
Słowem: żyć póki można, plonem tej opieki.

Pan Piotr.

Gdybym cię zrządą nie znał...

Lubomir.

Panowie łaskawi!

Czyż udrczenie drugich tak was wielce bawi?

Jeden i drugi prawo opieki posiada;

Lecz jeśli jeden zniszczy, gdy je drugi nada,

Wieczna kłótnia trwać będzie, końca temu niema,

I nikt ręki Zofii pewnie nie otrzyma.

Pan Jan.

Czemużeś się wprost do mnie nie udał, mój Panie?

Lubomir.

Wtedy Pan Piotr toż samo zadałby pytanie.

Zofia *(do pana Piotra).*

Ach, luby stryju, zezwól...

Pan Piotr.

Nie, to być nie może.

Zofia *(do pana Jana).*

Stryju, błagam...

Pan Jan.

Nic z tego.

Zofia.

Cóż czynić, o Boże!

(płacze)

Lubomir.

Wskażcież mi Waćpanowie sposób, czynność, drogę,
Jak Zofią zasłużyć i pozyskać mogę.

Pan Jan.

Wcześniej tak trzeba było mówić ze mną szczerze,
A teraz tej pokorze nie ufam, nie wierzę,
I bądź pewnym, że głowy dla kształtu nie noszę.

Lubomir.

Proszę...

Pan Jan.

Dłużej nie nudzić, ja go także proszę.

Lubomir.

Rzecz dziwna, niesłychana! niechże wiem przyczynę,
Niechże poznam przestępstwo albo moję winę.

Pan Piotr.

Jesteś młodym, więc słuchaj, co stary powiada:

Każda, jakabądź władza przywilej posiada,

Że czy szczęściem, czy smutkiem swych niższych na-
bawia,

Nigdy się i z niczego przed nimi nie sprawia.

Lubomir.

Szanuję ten przywilej; ale każde dzieło
 Musi się kiedyś skończyć, gdy początek wzięło;
 Zatem i każda władza, zwłaszcza nadużyta,
 W szczęściu lub smutku niższych, niech swój wyrok
 czyta;
 Nie jeden trwogi dozna, co rozrzuca trwogę.
 Tę małą, od młodego, chciej przyjąć przestrożę.

(odchodzi)

S C E N A VIII.

Pan Jan, Pan Piotr, Zofia.

(długie milczenie; wszyscy chodzą wzdłuż i poprzek)

Zofia *(głośno i z determinacją).*

Kiedy tak... więc powiadam...

Pan Jan, Pan Piotr *(razem).*

Cóż?

Zofia *(przestraszona).*

Nic... lecz chcę prosić.

Chciejcie raz wasze myśli wyraźnie ogłosić,
 Aby się Pan Lubomir mógł do nich stosować;
 Wszak mnie żywą w klasztorze nie chcecie pochować.
 Trzeba, abym wiedziała, co się ze mną dzieje,
 Chcę się dowiedzieć, jaką mieć mogę nadzieję.
 W szesnastym roku życia myśli nie są płochę,
 I można swoim losem zatrudnić się trochę;
 Ślepo wierzyć nie będę lada jakiej radzie,
 Zwłaszcza, gdy mojej woli stanie na zawadzie.
 Zatem powiadam... męczcie, dręczcie moję duszę,
 Róbcie, co tylko chcecie, ja męża mieć muszę.

Pan Piotr.

Tam do kata! do prawdy?

Pan Jan.

Wszakżem rzekł dopiéro,
 Że panieńska lekliwość nie zawsze jest szczérą;
 Otóż ta, co dwóch zliczyć nie umie z pozoru,
 Patrzcie, jak nas odważnie wyzywa do sporu.

Pan Piotr.

Co ja chcę, Mościa Panno, w jakimkolwiek względzie,
 Niech zawsze dla niej prawem, świętém prawem będzie;
 Łzom kobiecym nie wierzę, fochów się nie zleknię,
 I błagać przebaczenia przed nią nie ukłęknię;
 Proszę więc pójść i czekać, aż przyszlemy po nią.

Zofia *(odchodząc, na stronie).*

Sami kochać nie mogą, to i drugim bronią.

S C E N A IX.

Pan Jan, Pan Piotr.**Pan Piotr** *(na stronie).*

Czy to brata był układ, Bóg to raczy wiedzieć.

Pan Jan *(na stronie).*

Trzeba więc będzie tutaj sto lat jeszcze siedzieć;
 Jednakże nie zezwolę.

Pan Piotr *(na stronie).*

Zezwolić nie mogę.

Pan Jan *(na stronie).*

Byłoby tryumfalną uścielić mu drogę.

Pan Piotr *(na stronie).*

Bo jeśli jego wola, drwiłby potem ze mnie.

Pan Jan *(na stronie).*

O zgrozo! chcieć mnie, brata, podejść tak nikczemnie!
 Ale może na kogo innego się zgodzi,
 A dając Zosi męża, i mnie oswobodzi.

(do Pana Piotra)

Chciałbym, mój Panie Piotrze, pomówić z nim szczerze,
I stałe jego zdanie usłyszeć w tej mierze.
Kiedy się już tak stało, jak my sobie życzym,
I Lubomir nie wskórał i odjedzie z niczém,
Dobrzeby przecie było ukończyć te zwady
I na jedne, raz w życiu, zgodzić się układy.
Dużo o rękę Zosi... stara się młodzieży,
Kiedyśmy opiekuny, wybrać nam należy.
Zosia dziecko, pomału na wszystko zezwoli;
Nie umie poznać nadal szczęścia lub niedoli
I jedynie nasz rozkaz stanowić tu będzie.
Mów więc, kogo wybierasz w zalotników rzędzie?

Pan Piotr.

A, nie do mnie należy w tej mierze wybierać:
Ja tylko słuchać będę...

Pan Jan.

I będę się spierać.

O, znam tę skromność twoję, nikt z nią nie poradzi,
Niech cię kto, jak chce mija, a przecie zawadzi;
Ale kiedy tak żądasz, bez złości, uporu,
Pierwszy do tak ważnego przystąpię wyboru.
Na przykład: cóżbyś sądził... młody Kasztelanie?...

Pan Piotr.

Co? ha, ha, ha; ten burda, król wszystkich pijanic,
Który wszystkich zaczepia, aby pił przy zgodzie,
Co ciężarem sąsiadów, zakałem w swym rodzie?
Jakże go, Panie Janie, mogłeś wybrać sobie?
Nikt go trzeźwym nie widział, chybaby w chorobie.
Každy go pilnie stroni, i powab kielicha
Zwabi tylko czasami spragnionego mnicha
Lub tego, co niebaczny z kim się dzisiaj brata,

Jutro się zmartwi stratą szacunku u świata.
A! pozwól, nad tą myślą niech się jeszcze dziwię,
Chciałeś Zofii zjednać piękny los prawdziwie!
Obcą zawsze, czasami i zbytnią w swym domu,
Być świadkiem, towarzyszką szaleństwa i sromu,
Słyszeć i w dzień i w nocy krzyki i wiwaty,
Bać się i nie módz wstrzymać majątku utraty,
Nareszcie zwykłym skutkiem podobnego życia,
Szukać gdzie w cudzym domu lichego ukrycia;
To jest przyszłość niechybna i ta Zosię czeka,
Jeżeli ją tak nasza obdarzy opieka.
Lecz na cóż długo szukać, gdy potrzeby niema?
Pan Smętosz, blizki sąsiad, niechaj ją otrzyma.

Pan Jan.

Ten kutwa, co do skrzyni przed gośćmi się chowa,
Który już wszedł w przysłowie, gdy o skąpych mowa;
Nędzą, głodem, wśród złota napół umorzony,
Jakże mu myśl przyjść mogła szukać sobie żony!
I którażto pomyśli zostać jego żoną?
Nie było jeszcze takiej i nie będzie pono.
Wszakto jego zdarzenie tak sławném zostało,
Że o niem niewiedzących znajdziesz bardzo mało.
Onto, sług wypędziwszy swém sknerstwem bez miary,
Został się sam przy skrzyni, przy bramie pies stary,
Wierny, bo na łańcuchu, zażarty, bo głodny,
Był straszny dla hultajów, dla pana dogodny.
Lecz gdy pan zawsze pościł, jak i teraz pości,
A pies już nie dostawał ni chleba ni kości,
Wychudł... nareszcie skonał jednego wieczora,
A w nim razem i sługa i straży podpora.
Wtedyto nasz pan Smętosz tając śmierć brytana,
Właził w wieczor do budy i szczekał do rana;

Lecz choć dobrze udawał brysia nieboszczyka,
Łotr jakiś z lepszym węchem do domu się wmyka,
I gdy sknera aż chrypnie, tak wyje i szczeka,
Złodziej z jego pieniędzmi szczęśliwie ucieka.

Pan Piotr.

Hm, *species* dykteryjki...

Pan Jan.

Prawda, prawda czysta,
Zaświadczy sto żyjących, zaświadczy ich trzysta.
A, pozwól, nad tą myślą niech się jeszcze dziwię,
Chciałeś Zofii zjednać piękny los prawdziwie!
Jednak nie mogę myśleć abyś mówił szczerze,
Żeś się tylko chciał spierać, temu chętniej wierzę.

Pan Piotr.

Czy tak?

Pan Jan.

Tak, tak, tak!

Pan Piotr.

Prawda, ja zrządzę od rana!

Pan Jan.

Bo jakże... ale proszę... bo czy rzecz słychana,
Żeby chcieć synowicę zrobić Smętoszową!
Ten, co...

Pan Piotr.

Coś już powiedział, nie wszczynaj na nowo.
Mniejsza z tém... bierz go lichu!

Pan Jan.

Kiedy tak, więc za nic
Niech będzie i mój projekt, za nic Kasztelanic;
Bo nie jestem uparty...

Pan Piotr.

Któż zatem zostaje?

Pan Jan.

Pan Szambelan Dorancki godnym mi się zdaje.

Pan Piotr.

Ten z miechowskim orderkiem fircyk posiwiiał,
Co diabli wiedzą na czém strawił wiek swój cały,
Nie w wojsku, i nie na wsi, ani na podróży,
Z państwem się tylko brata lub mu raczej służy;
Wprawdzie ma dość majątku, posag miernie ceni,
Lecz mniema, że zaszczyci, z którą się ożeni.
Nie odwyknie, do czego nawykał tak długo:
Będzie miał przyjaciółki, żona będzie sługą,
I szczęście, jeśli z wiekiem, w obliczu swych dzieci,
Nierządem, jak Pan Zdzisław, scen brudnych nie
wzniesieci.

Ale, to wszystko mniejsza, bo może się mylę;
Lecz to dobrze zważałem i to razy tyle,
Że kiedy w towarzystwo wejdzie niespodzianie,
Pół słowa na języku każdemu zostanie;
Nikt już śmiało nie mówi, nikt sobie nie wierzy
I nim głosu dobędzie myśli swoje mierzy.
Nie wiem, co za przyczyna i nie chcę dochodzić,
Lecz, co na Szambelana, nie mogę się zgodzić;
Wszakże już Pan Rymowicz godniejszy, jak wnoszę.

Pan Jan.

Ach! tylko mi poety nie wspominaj, proszę!
Żaden z nich ni o sobie ni też w sobie myśli:
Jakieś światy nieznane wrzącym duchem kręśli,
Nie lubi się zatrudnić ni dziećmi ni żoną,
Bo go gdzieś jakieś wabi nieśmiertelnych grono;
Lecz gdy się tak z dnia na dzień zajmuje Parnasem,
Tu go na ziemi skubią i kradną tymczasem.

Zostaje potem zwykle bez grosza dochodu,
I chociaż nieśmiertelny, musi umrzeć z głodu.
Tak, jak Pan Pegaziński... znałem go przed laty;
Wziął po ojcu majątność, miał piękne intraty,
Lecz cóż, kiedy nieszczęściem pomyślał o Febie
I zapomniał o ludziach, zapomniał o chlebie.
Koło jego wrót jechać bały się sąsiady,
Aby nie spotkać bajki, ody lub balady,
A gdy złapał, to szczęście, jeśli o zachodzie
Mógł kto dwudziestej czwartej wyśliznąć się odzie.
O przyszłości nie myślał, wszystko wniwecz tracił,
Długów dużo narobił, podatków nie płacił,
Rymował a rymował i latał Pegazem;
Aż prozą wzięto wioskę za sądu rozkazem,
I teraz gdzieś pod strychem pewnie z nędzy ginie
I ukończa przy wodzie, co zaczął przy winie.
Cóż z tego, proszę, dzieciom i zgłodniałej żonie,
Że mąż w biedzie wawrzynem uwieńcza swe skronie?
Cóż są te chwały, sławy, świątynie, kościoły,
Kiedy każdy poeta całe życie goły?

Pan Piotr.

Ten zły i ten nie dobry... i cóż Panie Janie,
Jak tak zaczniesz wybierać, młodzieży nie stanie,
I chociaż to ja niby chętnie się przeciwie,
Milczę całą godzinę... ty gadasz szczęśliwie.

Pan Jan.

Więc może znowu zrządzę?

Pan Piotr.

To nie twoja wada.

Pan Jan.

Jużci mówię czasami, gdy mówić wypada,

Zwłaszcza kiedy nie jeden rozprawia od rzeczy,
Swoje złe utrzymuje a dobremu przeczy.

Pan Piotr.

Każdy chętnie swe zdanie za dobre uważa.

Pan Jan.

Zbłądziwszy, kto błąd wspiera, swą winę pomnaża.

Pan Piotr.

Więc błądzi, kto Waćpanu nie da sobą rządzić.

Pan Jan.

Kto się lubi sprzeciwiać musi często błądzić.

Pan Piotr.

Trzeba milczeć, gdy mówisz...

Pan Jan.

Lub mówić rozumnie.

Co jest dobrém u świata, jest dobrém i u mnie,

Nie lubię drugich ganić, roztrząsać ich winy,

I gęby nie otwieram, gdy nie mam przyczyny;

Ale ścierpieć nie mogę, zatém nie zezwolę,

By wtrącić synowicę w dozgonną niewolę.

Co? miałyby do twego przystąpić wyboru?

Niech raczej jeszcze dzisiaj idzie do klasztoru.

SCENA X.

Pan Jan, Pan Piotr, Lubomir.

Lubomir.

Zawsze razem i zawsze w najpiękniejszej zgodzie!

Drogi przymiot, jak zważam, w ich szlachetnym rodzie.

Prawdziwie, mało znałem tak uprzejmych braci;

Żaden z was sposobności najmniejszej nie straci,

By drugiemu usłużyć, być pomocnym w radzie;

Uprowadzić, zobowiązać, ustąpić w układzie;

Bo też nic piękniejszego, jak zgoda w rodzinie:
 Wspólnie podzielać chwałę, gdy dobrze uczynię,
 Znaleść wad pobłażenie, przestrogę w złym kroku,
 Mieć doradcę w braterskiem i sercu i oku,
 Ufnością ufność płacić, wszystko poddać zgodzie,
 Znachodzić łzę w strapieniu a uśmiech w swobodzie,
 I słowem, do krwi związków, przyjaźń złączyć jeszcze;
 Ach, tę roskosz ja w liczbie boskich roskosz mieszczę.

Pan Piotr *(do pana Jana).*

Drwi z nas pono.

Pan Jan *(do pana Piotra).*

Wyrażnie.

Pan Piotr *(do pana Jana).*

A może i w błędzie.

Pan Jan *(do pana Piotra).*

Wszakżeśmy rzadko w zgodzie.

Pan Piotr *(do pana Jana).*

Mówią o tém wszędzie.

Pan Jan *(do pana Piotra).*

Czasem nadto się gniewam.

Pan Piotr *(do pana Jana).*

Jam trochę uparty...

Pan Jan *(do pana Piotra).*

Ale cóż ma za prawo stroić sobie żarty?

(do Lubomira)

Nadszedłeś Waćpan właśnie nieszczęściem w tej chwili,
 Kiedyśmy trochę z bratem za głośno mówili,
 Widzę więc, że te szczęścia i zgody pochwały
 W wyśmianiu naszej sprzeczki jedyny cel miały.

Lubomir.

Poznałeś się pan przecie na mnie i na sobie?

Tak jest, chciałem żartować, sekretu nie robię,

I zdaje się, że kiedym tak długo w tym domu,
W którym dobrego słowa nikt nie da nikomu,
Gdzie od samego rana i kłótnia i wrzawa,
Zdaje się, żem zrzęczenia już dostąpił prawa.
Prawdziwie, mało znałem tak niezgodnych braci:
Żaden z was sposobności najmniejszej nie traci,
By drugiemu dokuczyć, być nieszczerým w radzie,
Przeciwić się i nudzić w najlichszym układzie.
Złém jest każda niezgoda, lecz zgrozą w rodzinie:
Doznawać wciąż niesnasek, dobrze czy źle czynię,
Mieć zawsze prześladowcę, szpiega w każdym kroku,
Czytać niechęć w braterskiém i sercu i oku,
Chytróścią, chytróść płacić, żyć ciągle w niezgodzie,
Widzieć radość w strapieniu a zazdrość w swobodzie,
I czuć, że się serc naszych natura wyrzekła,
Takie życie, mém zdaniem, czysty obraz piekła.

Pan Jan.

A, już tego za nadto! cóż to jest u kata?

Lubomir.

Że Waćpan jesteś zrzędą nieznosnym dla świata.

Pan Jan.

Ale...

Lubomir.

Słusznie, niesłusznie, wszystkiemu przyganasz.

Pan Jan.

A już!...

Lubomir.

A od nagany siebie nie zasłaniasz.

Pan Jan.

Panie...

Lubomir.

Co ci dobrém dziś, jutro złém się staje.

Pan Jan.

Słuchaj...

Lubomir.

Nie chęć poprawy, złość nauki daje,
I jak żmija zjadliwa, co się wkoło ciska,
Waćpan tego kaleczysz, kogo zoczysz zbliśka.

Pan Jan.

Niemieję! czy ja żyję?

Lubomir *(do pana Piotra).*

A Waćpan, mój panie,
Czego się śmiejesz, czego? tak śmieszne me zdanie?
A!e nie, znam go dobrze; udręczenie brata.
Jakby największa rokosz do duszy mu włata
I ten uśmiech sprowadza; dobrze, wyśmienicie!
Pięknemi uczuciami oba się szczycicie!
Waćpan to iesteś pierwszą zawadą do zgody:
Mogące przekonywać zarzucasz dowody,
Najświętsza prawda, równie jak i błędne zdanie,
Znajduje w tobie sprzeczność, podlega naganie;
Myślisz tylko, czém wzniecić, czém utrzymać kłótnie,
Smutném zwaśnieniem drugich pastwisz się okrutnie,
I tak jesteś nie tylko dla swoich zgryzotą,
Lecz i całej ludzkości szkodliwą istotą. *(odchodzi)*

SCENA XI.

Pan Piotr, Pan Jan.**Pan Jan.**

No, i cóż Panie Piotrze, dosyć niespodzianie
Usłyszałeś rzetelne, potężne kazanie.

Pan Piotr.

I Waćpan...

Pan Jan.

Ostrej prawdy słuchałeś cierpliwie.

Pan Piotr.

I Waćpan...

Pan Jan.

Jeszcze dotąd śmieję się i dziwię;

Wszak językaś zapomniał...

Pan Piotr.

Ja się także śmieję,

Kiedy wspomnę, jak Waćpan...

Pan Jan.

Tak się zawsze dzieje,

Kiedy kto zna swe wady a wspierać je żąda,

Wtedy komubądź w oczy nieśmiało spogląda.

Pan Piotr.

Ależ mój Panie Janie...

Pan Jan.

I co mnie w tém bawi,

Że ten, co tak zuchwale zwierciadło ci stawi,

Jest ów dzisiaj wybrany, ów przyjaciel drogi;

Dla niegoś spiski knował, szukał krętej drogi,

Jemuś dawał Zofią, mnieś chciał wywieść w pole.

Pan Piotr.

I może na ten związek jeszcze dziś zezwolę.

Pan Jan.

O, raczej na śmierć swoją.

Pan Piotr.

Co zechcę, uczynię!

Pan Jan.

Wszystko, wszystko, nie wątpię, prócz tego jedynie,

By za takie urazy...

Pan Piotr.

Jakież te urazy?

Jeślim słyszał com nie chciał, Waćpan dwa kroć razy,

I żebym cię przekonał, jak to mało cenię,
Oto jest opiekunów prawne zezwolenie,
Siadam i podpisuję. (*siada i podpisuje*)

Pan Jan (*na stronie*).

Ten człowiek szalony!

Pan Piotr.

Któż z nas teraz obydwoch mocniej urażony?
Masz w rzeczy i przyczynę, łajał cię bez miary.

Pan Jan.

Co, mnie?

Pan Piotr.

Wszakże przyrównał do jakiejś poczwary.

Pan Jan.

Nie słyszałem.

Pan Piotr.

Co wściekle rzuca się na ludzi.

Pan Jan.

Nie słyszałem.

Pan Piotr.

Czyjegoż to śmiechu nie wzbudzi?

Nie gniewać się nie możesz.

Pan Jan (*na stronie*).

Pęknę, umrę, zgine!

Pan Piotr.

A gniewając się, trzeba powiedzieć przyczynę.

Czemuż się już nie śmiejiesz?

Pan Jan.

Czemu się nie śmieję?

Pan Piotr.

Zgryzło cię, żem podpisał.

Pan Jan (*na stronie*).

Przekłęcie, szaleję!

(*głośno*)

Podpisałeś? więc dobrze; wiem, wszystko rozumiem,
 Znam całą myśl twoją, znam, zamiar pojąć umiem:
 Wszystkobyś wolał stracić, niżli szczęście sprawić
 Tego, co ci tak gorzko śmiał prawdę wystawić.
 Lecz chcesz, bym się sprzeciwiał a dogadzał tobie,
 Tak miałbyś plon żądany i tryumf przy sobie,
 Ale nic z tego; gdzie? daj! na złość ci podpiszę.

(siada i podpisuje)

Pan Piotr *(na stronie).*

Podpisał! czy szalony!

S C E N A XII.

Pan Jan, Pan Piotr, Lubomir.

Lubomir

(który we drzwiach podsluchiwał chwilę).

Co widzę, co słyszę?

Zezwalacie obydwu!

Pan Jan *(posuwając papier).*

Na, masz zezwolenie.

Pan Piotr *(z ironią).*

Kaducznie mi dokuczył!

Pan Jan *(z ironią).*

To dla mnie zmartwienie!

Pan Piotr.

Rób co chcesz, ja odjeżdżam.

Pan Jan.

I ja tu nie bawię.

Pan Piotr *(odchodząc).*

Toś wyszedł doskonale!

Pan Jan *(odchodząc).*

Toś zyskał w tej sprawie!

S C E N A X I I I .

Lubomir.

Dobrze więc przewidziałem i poznałem braci:
 Za zmartwienie drugiego każdy mi dziś płaci;
 Co nie mogła cierpliwość, nie mogło błaganie,
 Przez sparte, sprzeczne siły spełnioném zostanie.
 Teraz kłóćcie się, krzyczcie, zrządźcie w dzień i w nocy,
 Wyrok naszego szczęścia już jest w mojej mocy.

S C E N A X I V .

Lubomir, Zofia.**Lubomir** *(otwiera drzwi).*

Zofio! chodź Zofio! szczęście nam jaśniej!

(Zofia wchodzi)

Spełnione przecie nasze najdroższe nadzieje!

Zofia.

Czy być może? stryjowie?

Lubomir.

Zezwolenie dali.

Zofia.

Jakże, powiedz, tak prędko, tak nagle przystali?

Lubomir.

Później twoję ciekawość całkiem zaspokoję.

S C E N A X V .

Zofia, Lubomir, Pan Jan.

(Pan Jan w płaszczu, kapeluszu, laska w ręku, słucha pierwszego wiersza w głębi stojąc.)

Lubomir.

A teraz przyszlém szczęściem cieszymy się oboje!

Pan Jan.

Szczęście? brawo, wybornie; każdy co się żeni,
Chwilę, w której ślub bierze, chwilą szczęścia mieni;
Ale gdy roczek jeden i drugi upływa,
Nie każdy dzień swych ślubów dniem szczęścia nazywa.
Waćpanna pewnie mniemasz, że ów panicz młody
Zawsze będzie zajęty celem jej swobody?
Że zawsze znajdziesz w mężu czułego kochanka,
Jakiego snadnie kręśli romans lub sielanka:
Coby mierność przekładał nad zaszczyty tronu,
By swą lubą w zaciszu mógł wielbić do zgonu,
Któryby pełen czucia, w każdej życia porze
Miłością jej weselną przypominał zorzę?
Poznasz, poznasz, lecz późno, coto jest mieć pana,
I czy tak, jak kochanka, jest żona kochana.
A Waćpan, co się cieszysz, prawie jak szalony,
Że dojdiesz tego szczęścia i dostąpisz żony,
Powiedz, czyli nie widzisz, co się z ludźmi dzieje?
Jak częstokroć mąż płacze, gdy się drugi śmieje,
Jak rzadko jedność w domu do końca utrzyma,
I jak głupią gra rolę, gdy pieniędzy niema.
Na wsi wciąż bawić nudno, w mieście niebezpiecznie,
Zawsze być na rozkazy i lękać się wiecznie;
Ach wierzaj, będziesz płakał wolnych chwil utraty,
Wierzaj mi, mogę mówić, bom i ja żonaty.

SCENA XVI.**Zofia, Lubomir, Pan Jan, Pan Piotr.***(Pan Piotr w płaszczu i w kapeluszu)***Pan Piotr** *(w głębi).*

Znowu zrzedzi.

Pan Jan.

Cóż z tego?

Pan Piotr.

Gdérāj sobie, ale...

Pan Jan.

Chcesz się kłócić?

Pan Piotr.

Ja?

Pan Jan (*idąc ku drzwiom*).

A ty.

Pan Piotr.

Nie mówię nic wcale...

Pan Jan.

Mówisz albo nie mówisz...

Pan Piotr.

Zawsze źle.

Pan Jan.

Szkaradnie.

Pan Piotr.

Czy tak?

Pan Jan.

Tak, bo co myślisz, każdy łatwo zgadnie.

(*ostatnie dwa wiersze mówią idąc, i kończą za drzwiami*)

Zofia.

Ach, czyliż między nimi nigdy nie ustanie.

Lubomir.

Do nas teraz należy przykładem swobody

Zmusić ich do milczenia, zachęcić do zgody;

A jeśli zawsze kłótnia będzie im tak drogą,

Niech się kłóć, że szczęścia zaprzec nam nie mogą.

KOMEDYE

ZAWARTE W PIERWSZYM TOMIE:

	stron.
PAN GELDHAB, komedia we trzech aktach, wierszem.	1.
CUDZOZIEMCZYŻNA, komedia we trzech aktach, wierszem.	67.
DAMY I HUZARY, komedia we trzech aktach, prozą.	139.
ZRZĘDNOŚĆ I PRZEKORA, komedia w jednym akcie, wierszem.	249.

Wyższa Szkoła Pedagogiczna
w Kielcach
BIBLIOTEKA

277231

Biblioteka WSP Kielce



0059090